

# POKONAĆ KOSTUCHE

SKRZYŻOWANIE  
RODZINY SOPRANO  
I DR. HOUSE'A

JOSH  
BAZELL



# Radio ZET

poleca

**P**eter Brown jest lekarzem w najgorszym szpitalu na Manhattanie. Ukrywa mroczną tajemnicę – tak naprawdę nazywa się Pietro Brnwa i niegdyś był zabójcą na usługach mafii, ale po konflikcie z mocodawcami zaczął współpracować z FBI. Teraz został objęty programem ochrony świadków. Nagle powraca do niego przeszłość... Zdany tylko na siebie Peter stara się za wszelką cenę pozostać przy życiu i pokonać kostuchę... W 2010 roku do kin trafi ekranizacja tego pełnego czarnego humoru thrilleru, w której główną rolę ma zagrać Leonardo DiCaprio.

„Debiutancka powieść Josha Bazella to szaleńcza jazda od pierwszej strony, szybka, wściekła i – wiercie lub nie – zabawna. (...) To skrzyżowanie *Ostrego dyżuru* i *Rodziny Soprano*, *Dr House* na haju, z dodatkiem *Dextera* i dowcipnych dialogów”.

„Daily Mail”

**J**osh Bazell studiował literaturę angielską i medycynę. Obecnie jest rezydentem na University of California w San Francisco i pracuje nad drugą powieścią.

[www.beatthereaper.com](http://www.beatthereaper.com)

PATRONI MEDIALNI

**CKM onet.pl**

Zmiana w subskrypcji

**książki**



REBIS [www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)



Cena 29,90 zł



**JOSH BAZELL**

**POKONAĆ  
KOSTUCHE**

Przełożył Jarosław Rybski

DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2009

Tytuł oryginału *Beat the Reaper*

Copyright © 2009 Josh Bazell *All rights reserved*

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2009

Redaktor Zofia Zawadzka

Projekt i opracowanie graficzne okładki Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce © Randy Faris/Corbis

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-270-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74

e-mail; rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Skład: AKAPIT, Poznań, tel. 061-879-38-88

*In memoriam*  
*Stanley Tanz, MD*  
*1911-1996*

*Jeśli Nietzsche ma rację, że okrycie człowieka  
niesławą równa się uśmierceniu go,  
to każda szczerą próbą autobiografii  
będzie aktem samozniszczenia.*

Camus

**I**dę sobie do pracy i zatrzymuję się, by popatrzeć, jak gołąb walczy w śniegu ze szczurem, a tu jakiś obszczymur chce mnie obrobić! Oczywiście ma spluwę. Staje za mną i przystawia mi lufę do podstawy czaszki. Jest zimna i nawet jest to dość przyjemne uczucie pod względem akupresury.

- Spokojnie, doktorku - mówi.

Co przynajmniej wszystko wyjaśnia. Nawet o piątej nad ranem nie jestem typem ofiary. Wyglądam jak posąg z Wyspy Wielkanocnej, który przedstawiałby dokera. Ale okurwienie widzi tylko błękitne lekarskie spodnie pod płaszczem i zielone plastikowe saboty z dziurami, więc myśli, że mam przy sobie prochy i kasę. A może też, że złożyłem jakąś tam przysięgę, że nie skopię mu dupska, kiedy spróbuje mnie obrobić.

Prochów i kasy mam tyle, że ledwo dociągnę do końca dnia. I jak sobie przypominam, złożyłem tylko jedną przysięgę, że przede wszystkim nie będę szkodził. Myślę, że ten etap już mamy za sobą.

- Dobra - mówię i unoszę ręce.

Szczur i gołąb uciekają. Tchórze jedne.

Odwracam się, w wyniku czego lufa zsuwa mi się z czaszki, a moja prawa dłoń wciąż pozostaje uniesiona nad ramieniem tego kutasa. Zakleszczam jego łokieć i szarpnię w górę. Słyszę, jak więzadła strzelają niczym korki od szampana.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tak wdzięcznym temacie, jakim jest łokieć.

Dwie kości przedramienia, kość łokciowa i promieniowa, poruszają się i obracają niezależnie od siebie. Można to zobaczyć, jeśli ustawi się rękę dłonią do góry, kiedy to kość łokciowa i promieniowa znajdują się równoległe do siebie, a następnie obróci dłoń ku dołowi, kiedy krzyżują się, tworząc „X”\*. [Można to porównać z dolną częścią nogi, gdzie w szczątkowej formie występuje ten sam mechanizm. Kość piszczelowa i kość strzałkowa są sprzęgnięte. Zewnętrzna kość strzałkowa nawet nie podtrzymuje ciała. W istocie można wyjąć większą jej część - na przeszczep czy coś podobnego - i jeśli się nie rozpierdoli kostki czy kolana, nie wpłynie to na zdolności ruchowe pacjenta.] Wymagają zatem skomplikowanego systemu mocowania w łokciu, w którym więzadła owijają różne krawędzie kości rozciągliwymi i nierozciągliwymi pasmami, wyglądającymi jak owijka rączki rakiety tenisowej. To straszne, jak się takie więzadła rozerwie.

Ale obszczymur i ja mamy teraz jeszcze poważniejszy problem. Otóż kiedy moja prawa ręka rozpierdalała mu łokieć, lewa jakoś znalazła się na wysokości prawego ucha i szukała miejsca, żeby wbić mu się w gardło.

Jeśli cios padnie, zmiażdży wrażliwe chrząstki, przez które przechodzi wdychane przez niego powietrze. Kiedy będzie próbował zrobić wdech, jego krtań skurczy się jak odbyt i Kostucha



za jakieś sześć minut zabierze kolejną ofiarę. Nawet jeśli zdecyduję się połamać moje pióro Propulsatil, żeby zrobić mu tracheotomię.

Tak więc nadludzkiem wysiłkiem zmieniam trajektorię ciosu i kieruję dłoń wyżej. Mijam podbródek, nawet usta - byłoby to obrzydliwe - i celuję prosto w nos.

Zapada się jak wilgotna glina. Wilgotna glina z gałązkami w środku. Okurwieniec pada nieprzytomny na chodnik.

Badam stan nerwów - jestem tylko rozdrażniony - po czym klękam ciężko koło niego. W tej pracy, zapewne jak w każdej innej, planowanie i spokój bardziej się liczą niż szybkość.

Nie, żeby ta konkretna sytuacja wymagała specjalnego planowania czy zachowania spokoju. Przewracam gnoja na bok, żeby się nie udławił, i zginam zdrową rękę, podkładając mu ją pod głowę, żeby nie przymarzył do chodnika. Potem sprawdzam, czy jeszcze dycha. Dycha, co prawda z bulgoczącą *joie de vivre*. Badanie pulsu w nadgarstkach i kostkach również daje zadowalające wyniki.

I jak zwykle w tego typu sytuacjach wyobrażam sobie, że pytam Wielkiego Człowieka - profesora Marmoseta - czy mogę już teraz pójść.

I, jak zwykle w tego typu sytuacjach, wyobrażam sobie, że profesor Marmoset mówi: „Nie” i dodaje: - „A co byś zrobił, gdyby to był twój brat?”

Wzdycham. Nie mam brata. Ale wiem, co chce mi przez to powiedzieć.

Przykładam kolano do spierdalonego łokcia tego typu i naciągam kości tak daleko, jak tylko pozwalają ściągnąć, po czym wolno ustawiam je na właściwym miejscu ostatniej reduuty oporu.

Nieprzytomny kutafon jęczy z bólu, ale co tam - to samo zrobiliby mu na żywca na izbie przyjęć.

Przeszukuję go w poszukiwaniu komórki. Naturalnie jej nie ma, a ze swojej nie będę korzystał. Czy gdybym miał brata, to pozwoliliby gnębić mnie glinom?

Dlatego chwytam pojeba i nakładam go sobie na ramię. Jest lekki i śmierdzi jak ręcznik, którym ktoś wycierał siki.

I zanim się podnoszę, zabieram jego broń.

Ta spluwa to prawdziwy złom. Dwa kawałki szajsmetalu - nawet nie ma okładek - i lekko przekrzywiony bębenek. Wygląda jak coś, co kiedyś służyło za pistolet startowy na bieżni. Przez chwilę bawi mnie myśl o 350 milionach spluw w Stanach Zjednoczonych. Lecz potem spostrzegam jasne, mosiężne końcówki kul, co przypomina mi, jak niewiele trzeba, żeby kogoś zabić.

Powinienem się tego pozbyć. Wygiąć lufę i spuścić gdzieś do kanału ściekowego.

Zamiast tego wkładam broń do tylnej kieszeni lekarskich spodni.

Stara miłość nie rdzewieje tak szybko.

W windzie jadącej na medycynę stoi reprezentująca firmę farmaceutyczną drobna blondynka w czarnej sukience wieczorowej i z torbą na kółkach. Z przodu deska, ale dzięki temu, że jest wyprostowana, eksponuje tyłek, tak że ma kształt smukłej

zmysłowej fasolki. Ma ponad dwadzieścia sześć lat, nieco zbyt spieczona słońcem\*, [Lekarz zawsze pozna wiek człowieka. Wykorzystujemy to, by sprawdzić, czy pacjent nie próbuje łąć. Jest na to wiele sposobów - porównanie zmarszczek na szyi z żyłami na wierzchu dłoni i tak dalej - ale nie są one naprawdę konieczne. Jeśli widywałeś po trzydzieści osób na dzień i pytałeś, ile mają lat, nabrałeś wprawdy.] a jej nos wygląda jak po operacji, choć nie jest. I ma piegi, nie ściemniam. W całym szpitalu nie znalazłbym niczego czystszeo od jej zębów.

- Cześć - mówi jak ktoś z Oklahomy. - Czy ja cię znam?

- Nie, jeszcze nie - odpowiadam.

Myślę sobie: Bo jesteś tu nowa, inaczej nie miałabyś tak gównianych godzin pracy.

- Jesteś sanitariuszem? - pyta.

- Jestem stażystą na internie.

Stażyci to lekarze podczas pierwszego roku pracy, rok po studiach, zazwyczaj sześć lat młodszy ode mnie. Nie wiem, kto to jest sanitariusz. Wydaje mi się, że ktoś, kto pracuje w domu dla psychicznie chorych, jeśli jeszcze takie istnieją.

- No, niech mnie - mówi przedstawicielka. - Jesteś fajny jak na lekarza.

Jeśli „fajny” oznacza dla niej tępego brutala, tak jak dla większości znanych mi kobiet, to ma rację. Moja koszula jest tak opięta, że odsłania tatuaże na ramionach.

Na lewym laska z węzami, na prawym Gwiazda Dawida\*. [Tatuaż na lewym ramieniu - uskrzydłona laska, dwa węże - okazał się symbolem Hermesa i tym samym symbolem handlu. Symbolem Eskulapa i tym samym medycyny jest laska z jednym węzem, bez skrzydeł. Ale kto miał to wiedzieć?]

- Jesteś z Oklahomy? - pytam ją.
- No tak.
- Dwadzieścia dwa lata?
- Chciałabym. Dwadzieścia cztery.
- Wrzuciłaś sobie parę lat na luz.
- Tak, ale o Boże, to nudna historia.
- Jak dotąd jest w porządku. Jak masz na imię?
- Staaaacy - mówi, zbliżając się do mnie z rękami z tyłu.

Powinienem tu powiedzieć, że chroniczne niedosypianie jest tak otwarcie podobne do upojenia alkoholowego, że szpitale często sprawiają wrażenie wielkich, nieprzerwanych, biurowych przyjęć bożonarodzeniowych. Tylko że na przyjęciu bożonarodzeniowym palant, który stoi obok ciebie, nie będzie siekał ci trzustki tak zwanym „gorącym nożem”.

Powinienem być może również dodać, że przedstawicielkom firm farmaceutycznych - z których jedna przypada na siedmiu lekarzy w USA - płacą za to, żeby były zalotne. Albo może za to, żeby z nimi faktycznie się pieprzyły - nigdy nie miałem co do tego jasności.

- Dla jakiej firmy pracujesz? - pytam.
- Martin-Whiting Aldomed - mówi.
- Masz moxfane?

Moxfane to lek podawany pilotom bombowców, którzy muszą wystartować z Michigan, zbombardować Irak i wrócić od razu do Michigan. Można go połknąć albo dodać do paliwa samolotowego.

- No mam. Ale co mi dasz w zamian?
- A co chcesz? - pytam.

Już stoi tuż przy mnie.

- Czego chcesz? Jakbym zaczęła się nad tym zastanawiać, to płakałabym cały dzień. Nie mów, że chciałbyś to zobaczyć.

- To lepsze niż praca.

Żartobliwie klepnęła mnie w policzek i nachyliła się, by rozpiąć zamek torby. Jeśli miała na sobie bieliznę, to z tkaniny wyprodukowanej w nieznannej mi technologii.

- Tak czy owak - mówi - chodzi o takie rzeczy jak kariera. Albo o to, żeby nie mieć trzech współlokatorek. Albo nie mieć rodziców, którzy chcą, żebym została w Oklahomie. Nie wiem, czy możesz mi w tym pomóc.

Podnosi się z próbką moxfane i parą dermagli, gumowych rękawic firmy Martin-Whiting Aldomed za osiemnaście dolarów. Mówi:

- Tymczasem zadowolę się prezentacją naszych nowych rękawic.

- Już je znam - mówię.

- Próbowałaś kiedyś kogoś przez nie pocałować?

- Nie.

- Ja też nie. Ale strasznie mnie to rajcuje.

Biodrem wciska przycisk „stop” w windzie.

- Ojej - rzuca.

Odgryza skuwkę w opakowaniu rękawic, a ja wybucham śmiechem. Znacie to uczucie, kiedy człowiek nie wie, czy jest nagabywany czy stoi przed prawdziwą ludzką istotą?

Uwielbiam je.

- Ten oddział to, kurwa, jakiś koszmar - mówi Akfal, inny stażysta ze służby, kiedy w końcu się zjawiam, by go zmienić. Zwykle „Dzień dobry” u stażystów brzmi: „Ten oddział to, kurwa, jakiś koszmar”.

Akfal jest nostrykiem z Egiptu. Nostrycy są absolwentami zagranicznych uczelni medycznych, którym można cofnąć wizę, jeśli nie zadowolą zarządzających nimi kierowników. Można ich też określić mianem „niewolników”. Podaje mi wydruk listy pacjentów - w dłoniach trzyma identyczną listę, choć ta jest pokreślona grubym mazakiem - i omawia ją ze mną. Bla, bla, bla, sala 809 w południowym skrzydle. Bla, bla, bla, infekcja po kolo stomii. Bla, bla, trzydziestosiedmiolatka na wyznaczoną chemioblaterapię. Bla, bla, bla, bla, bla. Nie można wszystkiego spamiętać, nawet gdyby ktoś się wydał i natężył.

Opieram się o krawędź łóżka na kółkach i uświadamiam sobie, że w moich lekarskich portkach wciąż tkwi spluwa\*.[Kitle i spodnie lekarskie są dwustronne i mają kieszenie po obu stronach, na wypadek gdyby lekarz miał kogoś znieczulić czy co innego, ale ze zmęczenia źle włożył spodnie.]

Muszę gdzieś upchnąć ten rewolwer, ale pomieszczenie z szafkami znajduje się cztery piętra w dół. Może schować go między podręcznikami w pokoju pielęgniarek. A może pod łóżkiem w dyżurce. To naprawdę nie ma większego znaczenia, bylebym tylko skoncentrował się na tyle, żeby później pamiętać, gdzie go zostawiłem.

W końcu Akfal przestaje mówić.

- Załapałeś? - pyta mnie.

- Jasne - odpowiadam. - Idź do domu i walnij się do wyra.
- Dzięki - mówi Akfal.

Akfal ani nie pójdzie do domu, ani się nie położy. Akfal będzie teraz przez przynajmniej cztery godziny wypełniał dokumenty ubezpieczeniowe dla naszego kierownika, doktora Nordenskirka.

U stażystów zdanie „idź do domu i walnij się do wyra” jest odpowiednikiem „do widzenia”.

Podczas obchodu o wpół do szóstej rano zwykle przynajmniej kilku pacjentów mówi lekarzowi, że czułoby się o wiele lepiej, gdyby takie gnojki nie budziły ich co cztery godziny, żeby zapytać, jak się czują. Inni zachowują tego typu spostrzeżenia dla siebie, za to pierdolą o tym, jak to im wciąż ktoś kradnie odtwarzacz mp3, leki czy jeszcze coś innego. Tak czy inaczej, podczas obchodu bada się pobieżnie pacjenta, zwracając szczególną uwagę na choroby jatrogenne, spowodowane przez lekarza, i zakażenia szpitalne, które wspólnie stanowią ósmą przyczynę zgonów w Stanach Zjednoczonych. Potem się ucieka.

Czasami zdarza się również podczas porannych obchodów, że nikt nie narzeka.

Nigdy nie wróży to nic dobrego.

Piąty czy szósty pokój, do którego wchodzię, to sala Duke'a Mosby'ego, pacjenta, który ostatnio wzbudza u mnie najmniej nienawiści. To dziewięćdziesięcioletni czarny obywatel z powikłaniami cukrzycowymi, w tym z gangreną obu stóp. Był jednym z dziesięciu czarnych Amerykanów, którzy służyli w oddziałach specjalnych podczas drugiej wojny światowej, i w 1944 roku uciekł z Colditz. Dwa tygodnie temu uciekł z tej właśnie sali w Manhattan Catholic Hospital. W samych majtkach. W styczniu. Stąd wdała się gangrena. Cukrzyca potrafi spierdolić człowiekowi cyrkulację krwi, nawet jeśli masz na sobie choćby buty. Na całe szczęście Akfal miał wtedy zmianę.

- Co się dzieje, doktorku? - zwraca się do mnie Mosby.
- Nie za wiele, proszę pana.
- Ty mi tu nie seruj. Ja mam pracę - mówi. Zawsze to mówi. To jakiś kawał z wojska - chyba chodziło o to, że nie był oficerem, albo o coś podobnego. - Po prostu powiedz, co nowego, doktorku.

Nie ma na myśli stanu zdrowia, który specjalnie go nie interesuje, więc walę mu jakiś kit na temat rządu. Wierzy święcie w każde słowo.

Kiedy zaczynam mu bandażować cuchnącą stopę, dodaję:

- Widziałem też dziś rano w drodze do pracy, jak szczur walczył z gołębem.
- Taak? I kto wygrał?
- Szczur - mówię mu. - Bez wysiłku.
- No bo zdaje się szczur jest mocniejszy niż gołąb.



Odpowiadam:

- Najdziwniejsze było to, że gołąb i tak próbował. Nastroszył pióra, które całe były pokrwawione. Za każdym razem kiedy atakował, szczur wbijał w niego zęby i powalał na ziemię. Chyba jestem za ssakami, ale to było dość obrzydliwe.

Przykładałam mu stetoskop do piersi. Głos Mosby'ego dudni w słuchawkach.

- Szczur musiał zrobić coś strasznego gołębiowi, że ten się tak stawiał.

- Bez wątpienia - mówię.

Naciskam jego brzuch, starając się znaleźć bolesne miejsce. Mosby jakby tego w ogóle nie zauważał.

- Widział pan rano jakąś pielęgniarkę? - pytam go.

- Jasne. Cały czas łążą w tę i we w tę.

- Którąś z tych w białych spódniczkach i z czepkami?

- Wielokrotnie.

Aha. Jeśli widzisz babkę w takim stroju, to nie jest to pielęgniarka, ale striptizerka. Badam gruczoły na szyi Mosby'ego.

- Mam dla pana kawał, doktoru - mówi Mosby.

- Taak? Jaki?

- Lekarz mówi do faceta: „Mam dla pana dwie złe wiadomości. Po pierwsze, ma pan raka”. - Facet na to: „O Boże! A druga?” Doktor mówi: „Ma pan alzheimera”. A facet na to: „No, ale przynajmniej nie mam raka!”

Śmieję się.

Jak zawsze, kiedy opowiada mi ten kawał.

W łóżku przy drzwiach sali Mosbyego - w tym samym łóżku, które kiedyś zajmował Mosby, zanim oddziałowa zdecydowała, że jak znajdzie się z dala od drzwi, to może nie będzie mu się chciało uciekać - jest nieznanymi mi tłusty biały facet z krótką blond bródką. Lat czterdzieści pięć. Leży na boku przy włączonej lampce, nie śpi. Kiedy sprawdzałem wcześniej w komputerze jego „główną dolegliwość” - to rubryka, która bezpośrednio cytuje pacjenta, przez co wychodzi on na idiotę - okazało się tylko „ból tyłka”.

- Tyłek pana boli? - pytam.
- No. - Zgrzyta zębami. - A teraz jeszcze ramię.
- Zaczniemy od tyłka. Kiedy zaczął boleć?
- Już to przerabiałem. Wszystko jest w karcie.

Pewnie jest. Przynajmniej w karcie t e c z k e . Ale ponieważ pacjent ma wgląd do tej teczki na życzenie, a sędzia może ją też udostępnić w sądzie, to nie ma specjalnego powodu, żeby wypełniać ją czytelnie. Karta Duposzczaka wyglądała tak, jakby jakieś dziecko kreśliło sobie na niej szlaczki.

Jeśli chodzi o kartę w k o m p u t e r z e - która jest całkowicie utajniona i zawiera informacje przeznaczone dla dyżurnego lekarza - to obok „Gł. doleg.: Ból tyłka” napisano jedynie: „Jaja? Rwa kulszowa?” I nie wiem, czy „jaja” oznaczają „jądra” czy to, że facetowi odbiło.

- Wiem - mówię. - Ale czasami powtarzne zwierzenie się ze swoich kłopotów pomaga.

Nie jest przekonany, ale co ma zrobić?

- Tyłek zaczął mnie boleć - zaczyna, pełen urazy. - Coraz

bardziej od jakichś dwóch tygodni. W końcu poszedłem na pogotowie.

- Przyszedł pan na pogotowie, bo bolał pana tyłek? Musiało być naprawdę ciężko.

- Rozpierała mnie ten ból.

- Nawet teraz?

Spoglądałam na kroplówkę ze środkiem przeciwbólowym. Dostał tyle dilauidu, że mógłby sobie oskórować dłoń za pomocą strugaczki do warzyw.

- Nawet teraz. I nie, nie jestem jakimś ćpunem. I teraz zaczęło mnie jeszcze rwać w ramieniu.

- Gdzie konkretnie?

Pokazuje mi miejsce pośrodku obojczyka. Nie nazwałbym tego ramieniem, ale co mi tam. Nic nie widać.

- Boli? - pytam, lekko dotykając tego miejsca.

Facet się drze.

- Kto to?! - pyta stanowczym głosem Duke Mosby z sąsiedniego łóżka.

Odchylam zasłonę, żeby Mosby mnie zobaczył.

- To tylko ja, proszę pana.

- Nie seruj mi tu... - mówi.

Opuszczam zasłonę z powrotem.

Spoglądałam na wyniki Duposzczaka. Temperatura 36,6, ciśnienie 120/80, oddech 18, puls 60. Wszystko w normie. Tak samo jak na karcie Mosbyego i innych pacjentów odwiedzonych przeze mnie tego ranka na oddziale. Przykładam matczynym gestem dłoń do czoła Duposzczaka. Jest rozpalone.

Kurwa.

- Trzeba zrobić tomografię komputerową - mówię mu. -  
Widział pan tu gdzieś jakąś pielęgniarkę?
- Nie widziałem od wczorajszego wieczoru - odpowiada.
- Kurwa mać - mówię na głos.

I rzeczywiście, pięć sal dalej leży kobieta sztywna jak sztetke, z wyrazem przerażenia na twarzy, a jej karta głosi: „temperatura 36,6, ciśnienie 120/80, oddech 18, puls 60”. Pomimo tego że krew osadziła się już w dole jej ciała i baba wygląda, jakby leżała w kałuży niebieskiego atramentu.

Żeby się uspokoić, idę się pokłócić z dwiema dyżurującymi pielęgniarkami. Pierwszą z nich jest otyła Jamajka, zajęta wypisywaniem jakichś czeków. Drugą - irlandzka starucha, która buszuje po internecie. Znam i lubię obie - Jamajkę, bo czasami przynosi dobre żarełko, a Irlandkę, bo ma już regularny zarost, który goli w kozią bródkę. Jeśli istnieje dobitniejszy sposób powiedzenia wszystkim „spierdalać”, to ja go nie znam.

- To nie nasza sprawa - mówi Irlandka po tym, jak przedstawiam zarzuty. - My nie mamy z tym nic wspólnego. Mieliśmy w nocy na dyżurze te łotewskie pizdy. Pewnie już sprzedały komórkę tej paniusi.

- No to wylejcie je z roboty - mówię.

Na te słowa obie zarechotały.

- Mamy małe trudności kadrowe z pielęgniarkami - wyjaśnia Jamajka. - Jeśli pan doktor nie zauważył.

Zauważyłem. Najwyraźniej wykorzystaliśmy wszystkie pielęgniarki z Karaibów, Filipin i południowo-wschodniej Azji, a teraz drenujemy Europę Wschodnią. Kiedy członkinie kultu supremacji białej rasy założonego przez siostrę Nietzschego w Paragwaju wyłonią się z dżungli, to przynajmniej będą miały zapewnioną pracę.

- I tak nie będę wypełniał papierów - rzucam.

- Niezlomny. I pierdolić Pakistańca, co? - mówi Irlandka. Jej twarz niemal zlewa się z ekranem komputerowym.

- Akfal jest Egipcjaninem - mówię. - I nie, nie zostawiam mu tego na głowie. Zostawiam to waszym lotewskim siksom. Stat.

Jamajka smutno kręci głową.

- To nie wróci życia biedaczce - mówi. - Jak im każesz wypełniać papiery, to powiedzą, że miały nagle wezwanie\*. [„Stat” to skrót, choć nieszczególny od *statim*. Na „nagle wezwanie” powołujesz się, kiedy udajesz, że nie wiesz, że ktoś już zmarł.]

- Mnie to koło dupy lata.

- Pamela? - pyta Jamajka.

- Mnie również - mówi Irlandka. - Tępa suka - dodaje pod nosem.

Po reakcji Jamajki można się zorientować, że wie, iż Irlandka mówi o mnie, a nie o niej.

- Powiedzcie tylko, że mają to zrobić - mówię na odchodnym.

Od razu poczułem się lepiej.

Ale pomimo tego i tak muszę zrobić sobie krótką przerwę. Moxfane, który przeżulem pół godziny temu, oraz deksedryna, którą znalazłem w kopercie w fartuchu i zjadłem na wypadek, gdyby moxfane działał za wolno, utrudniają mi koncentrację. Szło to nieco za szybko.

Uwielbiam deksedrynę. Tabletkę ma kształt tarczy przedzielonej pionową linią, więc wygląda jak srom\*. [W istocie angielskie słowo *escutcheon*, medyczne określenie owłosienia łonowego, oznacza „tarczę”, chociaż wśród ludzi hodowanych w naturalnych warunkach jedynie kobiece włosy łonowe przyjmują kształt tarczy. U mężczyzny owłosienie łonowe ma kształt rombu, skierowanego ku pępki oraz ku kroczu. Dlatego właśnie kobiety, które golią sobie włosy łonowe w kształt rombu, podświadomie się z człowiekiem drażnią.] Ale nawet sama deksedryna sprawia, że trudno się skoncentrować czy choćby cemuś się przyjrzeć. W połączeniu z moxfane’em sprawia, że wszystko się rozmywa.

No to idę do pomieszczenia wypoczynkowego dla lekarzy, by nieco ochłonać i może wziąć benzodiazapiny, którą schowałem w ramie łóżka.

Jednakże w chwili, w której otwieram drzwi, zdaję sobie sprawę, że ktoś tam jest w ciemnościach. W pokoju unosił się smród czyjegoś ciała i nieświeżego oddechu.

- Akfal? - mówię, chociaż wiem, że to nie może być Akfal. Zapach Akfala zabiorę ze sobą do grobu. Ten jest gorszy. Gorszy niż smród stopy Duke’a Mosbyego.

- Nie, stary - dobiega mnie słaby głos z kąta, w którym stoi piętrowe łóżko.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - warczę.

- Pewnie jakiś duch\*.[Rzeczywiście istnieje taka funkcja, choć nie ma się specjalnie nad czym rozwodzić.]

- Skąd się wziąłeś w pomieszczeniu dla lekarzy?
- Ja... musiałem znaleźć jakieś miejsce do spania, stary.

To znaczy: „Miejsce, w którym nie będą mnie szukać”. Wspañiale. Facet nie tylko zasmradza cały pokój, ale jeszcze zajmuje jedyne wolne łóżko, bo na wyższym leżą kompletne roczniki magazynu „Oui” z lat 1978 do 1986, których usunięcie, co wiem z doświadczenia, byłoby niezwykle pracochłonne.

Zastanawiam się, czy nie pozwolić mu tu zostać. Pomieszczenie cuchnie w taki sposób, że nie nada się do użytku w najbliższej przyszłości. Ale jestem na haju Moxfane™ i zawsze istnieją jakieś zagrożenia, nad którymi trzeba się zastanowić.

- Masz pięć minut, żeby stąd wypierdolić - mówię mu. - Potem wyleję ci mocz z kaczki na łeb.

Włączam światło, kiedy wychodzę.

Teraz jestem mniej rozkojarzony, ale jeszcze nie na tyle skupiony, żeby móc rozmawiać z pacjentami, więc sprawdzam wyniki badań laboratoryjnych na komputerze. Akfal już przekopiował prawie wszystkie do kartoteki. Ale jest tu też raport z patologii jednego ubezpieczonego pacjenta doktora Nordenskirkka, więc Akfal go nie ruszy. Doktor Nordenskirk nie pozwala śniadym czy żółtym pracownikom zajmować się pacjentami z ubezpieczeniem.

Przeglądam więc raport na ekranie. Pana o nazwisku Nicholas LoBrutto czekają same złe wiadomości. Na widok włoskiego

nazwiska w mojej głowie zapala się ostrzegawcze światełko, ale jestem więcej niż pewien, że nigdy nie słyszałem o tym facecie. Poza tym gangsterzy -jak większość ludzi z wieloma możliwościami - nie trafiają do Manhattan Catholic. Dlatego pozwolono mi tu pracować.

Kluczowym zwrotem w wyniku badania patologicznego jest „obecność komórek sygnetowatych”. Komórka sygnetowata wygląda jak pierścionek z brylantem (czy też sygnet, jeśli ktoś z was wciąż pieczętuje listy woskiem), ponieważ jej jądro, które powinno znajdować się w środku, zostało przyparte do ścianki przez wytwarzane w nadmiarze proteiny z powodu raka. Konkretnie raka żołądka albo raka, który zaczął się w żołądku, a po wystąpieniu przerzutów przeniósł się do mózgu czy płuc.

Wszystkie rodzaje raka żołądka to kaplica, ale ten z komórką sygnetowata jest najgorszy. Podczas gdy większość odmian raka po prostu wywierca dziurę w ścianie żołądka, tak że po wycięciu jego połowy można jakoś żyć, tylko sra się na rzadko, to w przypadku wystąpienia komórek sygnetowatych rak pożera powłokę, wywołując stan zwany „żołądkiem bukłakowym”. Trzeba wycinać cały organ. A nawet wtedy, kiedy wydana jest diagnoza, jest już zwykle za późno.

Na podstawie wyniku tomografii komputerowej nie można stwierdzić, czy choroba się już rozprzestrzeniła czy nie. (Choć, ujmując rzecz łagodnie, jest teraz jedna szansa na 1200, że w jego organizmie rozwinie się inna forma rakowa, wywołana



promieniowaniem urządzenia. Jeśli oczywiście długo pociągnie.) Z całą pewnością może to potwierdzić jedynie operacja.

A tymczasem, o wpół do siódmej rano, idę mu to wszystko powiedzieć.

„Panie LoBrutto? Rozmowa na pierwszej linii. Nie powiedział kto, ale po głosie poznaję, że to może być Kostucha”.

Nawet jak na mnie jest za wcześnie na kielicha.

LoBrutto leży w skrzydle Anadale, niewielkim luksusowym oddziale szpitala. Skrzydło Anadale stara się przybrać pozory hotelu. Przy recepcji linoleum układa się we wzorki parkietu, a jakiś palant w smokingu gra na pianinie.

Gdyby jednak naprawdę był to hotel, to miałby lepszą opiekę zdrowotną\*. [Myślicie, że za więcej kasy nie można mieć gorszej opieki zdrowotnej? Zapomnijcie o długoletnich badaniach, które pokazują, że USA wydaje dwa razy więcej pieniędzy na głowę pacjenta niż każde inne państwo, a rezultaty tego wykraczają poza całą kategorię. Spójrzcie na Michaela Jacksona.] W skrzydle Anadale pracują zmysłowe piguły z pokolenia z lat sześćdziesiątych. Nie chcę przez to powiedzieć, że wciąż są zmysłowe. Chodzi mi o to, że były zmysłowe w latach sześćdziesiątych, kiedy podejmowały pracę w Manhattan Catholic. Teraz są przeważnie zgorzkniałe i zdziwaczałe.

Jedna z nich drze się na mnie, kiedy mijam ją w recepcji, ale olewam ją i kieruję się do „apartamentu” pana LoBrutto.

Kiedy otwieram drzwi, muszę przyznać, że jak na szpitalną salę to jest tu wcale, wcale. Jest tu harmonijkowe przepierzenie oddzielające „salon” - gdzie rodzina może zjeść z pacjentem obiad przy ośmiokątym stole pokrytym ceratą, z której można łatwo usunąć wymiociny - od „sypialni” z prawdziwym łóżkiem szpitalnym. Są tu okna od podłogi do sufitu, przez które można zobaczyć, tak jak teraz, pierwsze promyki słońca wyłaniające się na wschodzie rzeki Hudson.

Przepuszczają oślepiające światło. To pierwsze okna, przez które wyglądam, odkąd zacząłem pracę. I światło pada z nich wprost na drzwi, więc LoBrutto poznaje mnie, zanim ja poznaję jego.

- Jasna dupa! - wykrzykuje, starając się odpełznąć jak najdalej ode mnie na łóżku, ale przytrzymują go kroplówki i przewody monitorów. - To Niedźwiedzi Pazur! Wysłali cię, żebyś mnie wykończył!

**P**ewnego lata, kiedy byłem na studiach, pojechałem do Salwadoru, by pomóc zarejestrować miejscowe plemiona w wyborach. Jakiemuś dzieciakowi w jednej z odwiedzanych przeze mnie wiosek, który łowił ryby linką, aligator oderwał ramię i umarłby na moich oczach, gdyby nie inny amerykański wolontariusz, który był lekarzem. I tam właśnie momentalnie postanowiłem pójść do szkoły medycznej.

Tak naprawdę nie miało to miejsca, dzięki Bogu, a tak w ogóle to prawie nie chodziłem na zajęcia, ale coś takiego radzą ci mówić, kiedy chcesz się dostać do szkoły medycznej. Takie rzeczy albo na przykład bajeczki o tym, jak to miałeś jakąś groźną chorobę, która została cudownie uleczona, i teraz możesz z uśmiechem na ustach zapierdalać 120 godzin tygodniowo.

Odradzają ci natomiast składanie deklaracji, jak to twój dziadek był lekarzem, a on zawsze był dla ciebie wzorem. Nie jestem pewien, czemu tak jest. Znam gorsze relacje. Do tego mój własny dziadek był lekarzem i naprawdę był dla mnie wzorem. O ile mi wiadomo, z moją babcią przeżył jeden z najburzliwszych romansów dwudziestego stulecia i byli również ostatnimi

przyzwoitymi ludźmi na ziemi. Mieli w sobie taką niewzruszoną godność, do której mnie jest bardzo daleko, oraz cechowali się bezbrzeżną troską o poniewieranego człowieka, o której nawet boję się pomyśleć. Charakteryzowali się prawidłową postawą i szczerym zaangażowaniem w grę scrabble, lubili telewizję i czytali obszerne, kształcące książki. Nawet do ubioru przywiązywali niezwykłą wagę. A chociaż należeli do zanikającego typu obywatela, wybacza im, którzy się od nich różnili. Na przykład kiedy moja upalona jak atom matka wydała mnie na świat w aszramie w Indiach w 1977, a później pojechała do Rzymu ze swym chłopakiem (moim ojcem), moi dziadkowie przylecieli po mnie i zabrali do New Jersey, gdzie mnie wychowali.

A jednak nieuczciwie byłoby przypisywać początki mojej kariery medycznej miłości i szacunkowi, jakimi darzyłem dziadków, ponieważ nie pamiętam, żebym nawet rozważał w ogóle pójście na medycynę przez osiem lat, jakie minęły od chwili, kiedy zostali zamordowani.

Zostali zabici 10 października 1991 roku. Miałem czternaście lat i cztery miesiące dzieliły mnie od wieku piętnastoletniego. Przyszedłem do domu od kolegi około wpół do siódmej wieczorem, co w West Orange w październiku jest już na tyle późną porą, że trzeba włączyć światło. Światła były wygaszone.

W tym czasie mój dziadek był zaangażowany w wolontariat medyczny, choć nie chirurgiczny, a moja babcia pomagała w

bibliotece publicznej w West Orange, więc o tej porze powinni być już w domu. Poza tym szyba w drzwiach wejściowych - taka złożona z małych szkiełek - została wybita, jakby ktoś zrobił to, by dostać się do zamka od wewnątrz.

Jeśli zdarzy się wam to kiedykolwiek, odpuście i dzwońcie pod 997. W domu wciąż ktoś może być. Ja wszedłem do środka, ponieważ bałem się, że jak nie wejdem, to ktoś skrzywdzi moich dziadków. Wy też pewnie zachowalibyście się tak samo.

Leżeli między salonem i jadalnią. A konkretnie babcia, postrzelona w pierś, leżała na plecach w salonie, a dziadek po strzale próbował podpełznąć dalej i leżał twarzą do podłogi w jadalni. Dłoń dziadka spoczywała na ręce babci.

Nie żyli już od jakiegoś czasu. Krew na dywanie czepiała się moich butów i później, kiedy w nią upadłem, również mojej twarzy. Wcześniej jednak zadzwoniłem pod 997 i położyłem głowę między ich głowy.

W mojej pamięci wszystko to przedstawia się w żywych barwach, co jest interesujące, gdyż teraz wiem, iż w słabo oświetlonym otoczeniu nie rozróżnia się kolorów. Nasz umysł dopowiada je sobie i domalowuje.

Pamiętam, jak wsunąłem palce między ich siwe włosy i przyciągnąłem ich do siebie. Kiedy w końcu nadjechali ratownicy, mogli jedynie odciągnąć mnie od nich, by policja zrobiła zdjęcia miejsca zbrodni i by można było zabrać ciała.

Ironia losu jest tym dobitniejsza w przypadku historii moich dziadków, że udało im się przeżyć o wiele bardziej wyrafinowaną próbę morderstwa pięćdziesiąt lat wcześniej. Poznali się, jak mówi rodzinna legenda, w Puszczy Białowieskiej w Polsce zimą 1943 roku, kiedy mieli po piętnaście lat i byli odrobinę tylko starsi ode mnie, w chwili gdy znalazłem ich ciała. Przebywali z grupą innych nieco zdziczałych nastolatków, którzy chowali się w śniegach i starali zabić wystarczająco dużo członków miejscowych band połączających na Żydów, żeby Polacy zostawili ich w spokoju. Nigdy nie powiedzieli mi, co musieli w tym celu robić, ale z pewnością było ostro, bo w 1943 roku Hermann Göring miał dom myśliwski na południowym krańcu Białowieży, w którym jego goście przebierali się za rzymskich senatorów, i musiał być świadomy całej sytuacji. Była też sprawa plutonu maruderów 6. Armii Hitlera, który zaginął w Białowieży zimą w drodze pod Stalingrad. Gdzie, trzeba powiedzieć, i tak zostałyby zmiecione z powierzchni ziemi.

Moich dziadków załatwił jednak zwykły kant. Dostali cynk od mieszkającego w Krakowie faceta o nazwisku Władysław Budek, że brat mojej babki, który działał w Krakowie jako szpieg biskupa Berlina\*, [Był to Konrad Preysing, znany również jako „jeden z najlepszych Niemiec”. Preysing trzynastą razy dostarczał dowodów na ludobójstwo papieżowi Piusowi XII, który w 1941 roku ogłosił, że metody stosowane przez Niemców nie stoją w konflikcie z naukami Kościoła katolickiego. Mam nadzieję, że kiedy Pius zostanie świętym, uznają ten fakt za cud.] został schwytany i wysłany do getta w Podgórzu, które było przystankiem przed wysłaniem do obozów. Budek twierdził, że może wydostać brata babci za 18 000 złotych, czy jakiej

tam, kurwa, waluty wtedy używali. Ponieważ dziadkowie nie mieli pieniędzy, a do tego byli podejrzliwi, pojechali sami do Krakowa, żeby zobaczyć wszystko na miejscu. Szmalcownik Budek zawiadomił policję i sprzedał ich do Auschwitz.

Moi dziadkowie zawsze podkreślali, że zesłanie do Auschwitz było szczęśliwym trafem, ponieważ był to los lepszy od śmierci w lesie z rąk polskich wariatów, lepszy od zesłania do obozu śmierci\*. [W Auschwitz był obóz śmierci - Birkenau - ale był tam również Monowitz, obóz pracy przymusowej. Szanse przeżycia w Auschwitz oceniano na 1 do 500, dlatego w ogóle o Auschwitz słyszeliście. Szanse przeżycia w obozach śmierci oceniano na 1 do 75 000.] W Auschwitz dwukrotnie się ze sobą skontaktowali za pomocą przemycanych grypsów - które, jak mówili, pozwoliły im z łatwością przetrwać do wyzwolenia.

Ich pogrzeb odbył się koło domu wujka Barry'ego. Był to brat mojej matki, który odleciał i został ortodoksyjnym żydem. Moi dziadkowie uważali się oczywiście za Żydów - na przykład jeździli do Izraela i z niepokojem odbierali światową demonizację tego państwa - ale dla nich bycie Żydem oznaczało reprezentowanie pewnych moralnych i intelektualnych wartości, choć nie uważali religii za hucpę naznaczoną krwawym piętnem. Moja matka spalała się we wszystkich tradycyjnych formach rebelii, zanim Barry nawet o tym pomyślał, dlatego też ubieranie się

przez niego na modłę mieszkańca szteta w dziewiętnastowiecznej Polsce było prawdopodobnie jego jedyną ucieczką.

Moja matka pojawiła się na pogrzebie i zapytała mnie, czy chcę zostać w Stanach czy też chciałbym się przeprowadzić do Rzymu. Mój ojciec przynajmniej wyświadczył mi przysługę i niczego nie udawał - po prostu przysłał mi rozwlekły, nieco wzruszający list o jego związku z własnymi dziadkami i o tym, jak to podążając drogą życia, człowiek nie czuje się coraz starszy\*. [Moi rodzice byli już od dawna rozwiedzeni. Matka została agentką sprzedaży nieruchomości, a ojciec, który był Włochem - choć nie, co powinienem podkreślić, Sycylijczykiem - przeprowadził się do Riverside na Florydzie. Słyszałem, że prowadził jakąś ekskluzywną restaurację na licencji, której nazwy nawet nie pamiętam. Obydwoje zmienili nazwiska i nie mam kontaktu z żadnym z nich.]

Barry zaadoptował mnie, żeby opieka społeczna dała mi spokój, ale łatwo go przekonałem, że powinienem zostać w domu dziadków. W wieku lat czternastu byłem wyrosnięty ponad swój wiek i miałem maniery starszego polsko-żydowskiego lekarza. Lubiałem grać w brydża. Do tego Barry i jego żona niespecjalnie mieli ochotę na to, by w otoczeniu ich czwórki dzieci pojawił się ktoś, kogo porzucono po urodzeniu i kto pewnego dnia po powrocie do domu zastał brutalnie zamordowanych przybranych rodziców. A jeśli zrobię się niebezpieczny?

No właśnie. Sprytne posunięcie, państwo Barry!

Szukałem niebezpieczeństwa i udoskonaliłem je. Jak każdy amerykański chłopiec, wybrałem Batmana i Charlesa Bronsona



w *Życzeniu śmierci* za wzór. Nie miałem ich zasobów, ale też nie miałem większych wydatków. Nawet nie zmieniłem dywanów w domu.

Wiedziałem, że nie mam wyboru, że sam muszę się zająć tą sprawą. Naprawdę wciąż tak uważam.

Na przykład wiem z doświadczenia, że jeśli zaszyjesz się w lesie i wystrzelasz kilku żyjących w dziczy pedofilskich kutasów - facetów, którzy zrujnowali życie dosłownie s e t k o m dzieci - to policja będzie srała bokami, żeby cię znaleźć. Będą sprawdzać rury, żeby zbadać wodę, w której umyłeś ręce po tym, jak przejechałeś nimi po włosach. Będą robić odlewy opon samochodowych.

Ale jeśli dwoje ukochanych osób zostaje brutalnie zamordowanych przez jakiegoś śmiecia, który po przetrząśnięciu szafek zabiera stary magnetowid, to jest to dla nich jebana zagwozdka.

„Mieli jakichś wrogów?”

„Któryś z wrogów chciał mieć magnetowid?”

„To pewnie jakiś ćpun”.

Ćpun w samochodzie, rękawiczkach i z kurewskim szczęściem pozostania niewidzialnym.

„Popytamy”.

„Damy znać”.

I od razu człowiek widzi, jak sprawiedliwości staje się zadość. Albo twoimi rękami, albo żadnymi.

Co to za wybór?

Wszystkie sztuki walki mają jedną wspólną cechę. (Przeszedłem od taekwondo przez shorin-ryu karate do kempo, od jednego śmierdzącego girami dojo do drugiego, kultywując tradycyjną japońską zasadę, by spędzać więcej czasu na treningu niż w łóżku.) Trzeba zachowywać się jak dzikie zwierzę. I nie jest to pojęcie abstrakcyjne - należy modelować sposób postępowania na zachowaniach prawdziwych, konkretnych istot. Wykorzystywać na przykład styl żurawia do szybkiej precyzyjnej walki z dystansu czy też styl tygrysa przy agresywnym, błyskawicznym zwarcium. Podstawą takiego postępowania jest to, że ostatnim zwierzęciem, które należałoby naśladować w sytuacji konfliktu, jest człowiek.

Tak w ogóle to prawda. Większość ludzi to okropni przeciwnicy. Uchylają się, młóca łapą jak cepem, odwracają się. Większość z nas bije się tak źle, że w końcu stało się to naszym ewolucyjnym atutem, ponieważ zanim zaczęto produkować broń na masową skalę, ludzie musieli mocno główkować, jak tu sobie zrobić krzywdę, więc ten cwany miał większe szanse. Taki neandertalczyk najpierw skopałby nam dupę, a potem ją zjadł, ale nie zachował się ani jeden, by sprawdzić tę teorię w praktyce.

Ale weźmy na przykład rekina. Większość gatunków rekinów wykluwa się z ciała matek i od razu zaczyna od jatki. W wyniku tego ich mózgi nie zmieniły się od 60 milionów lat, a nasze prowadziły nieustanny proces zagęszczania zwojów aż do 150 tysięcy lat temu, kiedy to umieliśmy już mówić i tym samym ewolucja człowieka z biologicznej zmieniła się w technologiczną.

Są dwa sposoby interpretacji tego faktu. Jeden mówi, iż rekinny stoją o wiele wyżej na drabinie ewolucji niż człowiek, bo jeśli ktoś myśli, że my przetrzymamy 60 milionów lat, to chyba ma nie po kolei pod sufitem. Drugi zakłada, że stoimy wyżej od rekina, ponieważ z całą pewnością rekin wymrze wcześniej niż człowiek i jego koniec, podobnie jak nasz, będziemy mogli zawdzięczać wyłącznie sobie. W dzisiejszych czasach człowiek częściej zjada rekina niż vice versa.

Choć w tie-breaku rekin wygrywa. Bo chociaż my, ludzie, mamy nasze umysły i zdolność do przekazywania ich zawartości przez pokolenia, a rekiny mają tylko swoje wielkie sprawdzone zębiska i umieją się nimi posługiwać, to rekiny najwyraźniej niespecjalnie zadręczają się tym stanem rzeczy. A ludzie i owszem.

Ludzie nienawidzą być sprawni intelektualnie i słabi fizycznie. I fakt, że pociągniemy za sobą tę piękną planetę, w ogóle nas nie cieszy. Podziwiamy natomiast atletów i gwałtowników, a rzygamy intelektualistami. Banda kujonów wybudowała rakietę, która miała lecieć na pierdolony księżyc, i kogo wysłali? Blondyna o nazwisku Armstrong, który nawet nie potrafił się wysłowić po wylądowaniu.

To dziwaczna kłątwa, jak się nad tym zastanowić. Zostaliśmy stworzeni dla myśli i rozwoju cywilizacji w o wiele większym stopniu niż inne zwierzęta. Ale tak naprawdę to marzymy tylko o krwawym mordzie.

Tymczasem około Święta Dziękczynienia 1991 roku zacząłem dymać funkcjonariuszkę Mary-Beth Brennan z wydziału policji West Orange. W jej crown victorii, ponieważ była zamężna, a gliniarze nie lubią zostawiać na służbie swoich „krążowników”. Jej samochód był nie tylko zakaraluszony, ale i zaszczurzony, bo kutafony z drugiej zmiany wciskały kości z pieczonych kurczaków w tapicerkę między fotele. Istny zwierzyniec.

Nie chciałem bynajmniej powiedzieć, że było mi źle. Nigdy wcześniej nie uprawiałem seksu i miło było sobie pofolgować. Nie miałem powodów, by przypuszczać, że może być lepiej, ponieważ i tak różniło się to znacznie od tego, co zobaczyłem w kinie czy przeczytałem na ten temat.

Uświadomiłem sobie jednak, że może to polegać też na czymś innym niż tylko na waleniu głową w radio policyjne, podczas gdy ktoś niewiarygodnie miękki i wiekowy (była młodsza niż ja teraz, a wszystkie piersi okazały się być miękkie, ale kto to mógł przypuszczać?) wije się na tobie z opuszczonym za kolana mundurem, a ja za każdym razem zastanawiam się, jak bardzo mogę ją nacisnąć, by wydostać prawdziwe, użyteczne informacje od detektywów trzeciego i czwartego stopnia, którzy muszą w końcu coś wiedzieć na temat morderców moich dziadków. Do tego jest zima, więc wszystko wokół niej jest lodowate.

Funkcjonariuszka Brennan w końcu dowiedziała się następujących szczegółów: Detektywi nie podejrzewali o zbrodnię ludzi o nazistowskich czy neonazistowskich poglądach, bo ci obierali

sobie za cel chasydów. Nie był to też rabunek, bo zabrano śmiesznie mało, a włamywacze unikają starszych ludzi, ponieważ ci zawsze siedzą w domu, a pieniędzy i tak tam nie trzymają. Jednakże ukradziono kilka przedmiotów, tak jak ten magneto-wid, co mogło świadczyć jedynie o tym, że albo powodował nimi impuls, albo też chcieli celowo skierować śledztwo na inne tory.

- No więc kto to był? - spytałem Mary-Beth Brennan.
- Nie mówili.
- Kłamiesz - stwierdziłem.
- Ja po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało.
- A jebać to.

Powiedziała mi. Prawdopodobnie celem były same morderstwa. Starzy ludzie być może nie są najlepszymi obiektami rabunku, za to doskonale nadają się na ofiary morderstwa. Wolno się poruszają, jest szansa, że po morderstwie będą leżeć całymi dniami, zanim ktoś ich odnajdzie, i jak już wspomniałem, są cały czas w domu. Każdy człowiek zdecydowany na morderstwo, który nie przebiera w ofiarach, chciałby trafić na takich ludzi jak moi dziadkowie. I tego rodzaju przestępcy podpadają pod dwie kategorie: seryjni mordercy i kandydaci na bandziorów w mafii.

W West Orange w stanie New Jersey na początku 1992 roku trzeba było być idiotą, żeby postawić na seryjnych morderców.

Zatem najprawdopodobniej był to ktoś, kto miał zamiar dowieść, że potrafi zabić, i jednocześnie dawało to na niego haka w postaci tak okrutnej inicjacji. A może też było ich dwóch, po jednej ofierze na każdego, i moi dziadkowie zginęli od kul z różnej broni.

Według jednego z detektywów, którego dopadła dla mnie funkcjonariuszka Brennan, oznaczało to, że jest spora szansa, że w końcu wpadną. Mafijna omerta działa w dwie strony - starzy szantażują młodych, a młodzi wystawiają starych. Więc w końcu policja dowie się o dwóch okurwieńcach, którym jednocześnie powinnie się noga, i będą mieli swoich podejrzanych.

Ale mogło to nastąpić równie dobrze za kilkadziesiąt lat, a do tego czasu wciąż może nie być dowodów czy też woli sprawczej. Ta teoria zakładała, że ci faceci „zrobili, co trzeba”, że im się udało, nie odrzucono ich i nie wrócili do pracy w sieci Best Buy czy gdzieś tam.

Cała sprawa była bardzo wątła. Cienka. Może jednak był to seryjny morderca. Albo jakieś ćpuny.

Ale ogary nie zaniechają parszywego lisa. Tylko teoria o mafii była sensowna, więc poszedłem w tym kierunku.

Nic się jednak nie działo. Pewnego dnia nacisnąłem Mary-Beth odrobinę za mocno, aż zaczęła wypłakiwać mi się na piersi i mówić, że martwi się, iż być może jej naprawdę nie kocham.

Kiedy człowiek dorasta w północnym New Jersey, słyszy mnóstwo pierdoł o mafii i o tym, czyj ojciec do niej należy. Ale krążą też wieści o pewnej dziennej szkole wojskowej w Suffern, gdzie za każdym razem, kiedy się kogoś spotyka, kto tam chodzi, to jest to zadowolony z siebie patafian w modnej bryce i z tak ciężką złotą ketą, że zachodzi obawa, iż zbije nią sobie lusterko do koki.

I gdzie, jeśli się poszuka luminarzy Pięciu Rodzin w *Who is Who in New Jersey*, w kurwę chodziło ich do tej budy.

Nie wymienię jej nazwy. Wystarczy powiedzieć, że nazywa się tak samo jak najsłynniejsza ze wszystkich akademii wojskowych w Anglii, chociaż została założona 150 lat po wojnie o niepodległość.

Miałem iść do katolickiej szkoły, ale nie robiło mi to żadnej różnicy. Już zacząłem ćwiczyć pompki.

Przeniosłem się latem. Szkoła była droga, ale wciąż miałem pieniądze ze spadku i z ubezpieczenia. I, jak mówię, nie miałem specjalnie wielkich potrzeb.

Jak na szkołę wojskową były to niezłe jaja. Pobudka o wpół do ósmej i wpół do trzeciej w dzień po drzemce, czterdzieści minut musztry dziennie, parada raz w miesiącu. Było tam sporo palantów, którzy brali to wszystko na poważnie i udzielali się w zawodach sportowych i takich tam pierdołach, ale wszyscy inni palili trawę w kiblach i wymykali się do Pizzy Hut na autostradzie, by wyrwać panny z żeńskiej szkoły, która znajdowała się za kortami tenisowymi i laskiem. Toalety w Pizzy Hut były koedukacyjne.

W kolejce się trzeba było ustawiać.

Na kumpla wybrałem sobie Adama Locano, bo dał się lubić, a nie z uwagi na jego rodzinne powiązania mafijne. Nawet nie

wiedziałem, czy to prawda, aż zapytałem go, jak zyskał swój przydomek, który brzmiał „Naplet”.

Słyszałem, że to dlatego, iż nakręcił w wieku dwunastu lat film porno ze swoją opiekunką.

- Żeby tak było - powiedział mi. - Stary, to była kurewka z Atlantic City. Byłem tak najebany, że nawet tego nie pamiętam. A później jakiś kutas, jeden z kumpli mojego starego, wykradł taśmę i zrobił każdemu kopię. Przejebane.

Wydało się, wiedziałem już, że stoję po kolana w mafijnym światku. Ale wcześniej nie byłem pewien, bo Locano różnił się od innych dzieci mafijnych.

Tak jak ja miał piętnaście lat. W odróżnieniu ode mnie był pękaty, z fałdami na tłustych piersiach oraz twarzą jak u baseta z obwisłymi policzkami i workami pod oczyma. Miał też zbyt mięsistą dolną wargę. Również w odróżnieniu ode mnie był spoko. Wyglądało to tak, jakby za punkt honoru wziął sobie roztaczanie aury - nawet w wieśniackim mundurze, które nosiliśmy na paradach - człowieka, który chlał całą noc. W Las Vegas. W latach sześćdziesiątych.

Kolejną jego fascynującą cechą (taką, o której ja mogłem tylko pomarzyć) było to, iż wydawał się mówić o wszystkim z naturalną swobodą. Mówił tak zwyczajnie o trzepaniu konia czy waleniu kupy, albo o tym, jak zakochał się w swojej kuzynce Denise. W chwili, w której się wściekał czy wpadał w panikę, zaraz o tym mówił - oczywiście włącznie z tym, kiedy się złościł, bo byłem lepszy od niego w sporcie czy w bójkach.



Robiłem, co mogłem, by unikać tego rodzaju sytuacji, ale w tym wieku, a już szczególnie w tak zwanej akademii wojskowej, były one na porządku dziennym. Byłem cały czas urzeczony tym, w jak pełen godności sposób Naplet radził sobie z nimi. Najpierw ryczał ze złości, po czym wybuchał śmiechem, i wiedziało się, że obie te reakcje były szczere do bólu. Dodatkowo, pomimo jego sposobu zachowania i oświadczenia, że w życiu przeczytał tylko jedną książkę od deski do deski, był to najmądrzejszy chłopak, jakiego spotkałem.

Miał również tyle pewności siebie, że potrafił być miły dla wszystkich - kujonów, nicponi, wszystkich - i dzięki temu łatwiej można się było do niego zbliżyć.

Nie żeby mi poszło jak z płatka. Wyzbyłem się manieryzmów Starego Kontynentu i zacząłem się ubierać jak równy gość w wyświechtane portki i zakładać ketę z koralami. Zacząłem mówić wolniej i na niższych rejestrach, a odzywałem się tak rzadko, jak to było tylko możliwe. Każdy samotny uczeń powinien mieć poważną, silną motywację do dostosowania się. Wtedy szybko człowiek staje się spokojny.

Zacząłem również dilaować. Miałem powiązania przez jednego kujona ze starej budy, którego znałem jeszcze przed śmiercią dziadków i przed tym, jak wszyscy przestali ze mną rozmawiać, bo nie wiedzieli, co mają powiedzieć. Starszy brat tego kujona rozkręcił z tego niezły biznes i dostawałem od niego ośmiuncjowe torebki z zieleńcem i jednouncjowe z koką w dobrej cenie. Myślę, że tym dwóm wydawało się, że sam się tym kuruję.

I tak skończyło się na tym, że musiałem sprzedać poniżej kosztów - okazało się, że kupowanie przyjaciół jest stare jak świat - ale się udało. Naplet i ja poznaliśmy się dzięki trawie.

Pewnego dnia posłał mi w klasie karteczkę, na której było napisane: „Brachu, kopniesz działę?”

Z całą pewnością jestem bożym wzorcem dupka - małą, która sra w ruinach budowli Majów bez świadomości, co czyni, gorszą od neandertalczyka. Ale ze wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek zrobiłem i których się wstydzę, najłatwiej jest mi sobie wybaczyć zapałanie uczuciem do Adama Locano i jego rodziny w wieku piętnastu lat.

Lata później federalni chcieli mnie tym złamać - jakim trzeba być okurwieńcem, żeby po tym, jak mafia zabiła moich dziadków, mieszkać z bydłem z mafii, pracować dla nich, lgnąć do nich i nie móc się bez nich obejść. Ale powody tego były oczywiste.

Są gliniarze, którzy idą bokiem za siedemdziesiąt patyków i pół kilo koki. Locano przyjęli mnie do swojej rodziny. Prawdziwej rodziny, a nie tego kitu z kina. Zabierali mnie na narty, do kurwy nędzy. Zabrali mnie do Paryża, a później wraz z Napletem pojechaliśmy pociągiem do Amsterdamu. Nie byli to może z gruntu mili ludzie, ale rozumieli innych, a dla mnie byli cudownie przyjacielscy. Poza Napletem i jego rodzicami w skład rodziny

wchodziło jeszcze dwóch młodszych braci. I nikt nie wyglądał na zbira czy też nie drżał ze strachu, że za chwilę dojdzie tu do masowego mordu. Wszyscy zdawali się patrzeć wyłącznie w przyszłość, w świat pełni życia, a nie wstecz, w objęcia śmiertelnej pułapki, której nie potrafili wyjaśnić. I wydawało się, że chcą mnie zabrać ze sobą. Nie miałem w sobie ani krzty siły, żeby się przed tym obronić.

David Locano, ojciec Napleta, był prawnikiem w firmie czterech wspólników, usytuowanej nieopodal Wall Street. Później dowiedziałem się, że był jedynym partnerem, który pracował dla mafii, chociaż nie on jeden pchał firmę do przodu. Nosił niechlujne, acz drogie garnitury i miał czarne włosy, które odstawały mu z tyłu czaszki. Nie był w stanie ukryć faktu, iż jest bystry i kompetentny, choć w otoczeniu rodziny wydawał się być jakiś taki zamroczony i pełen podziwu. Kiedykolwiek chciał się czegoś dowiedzieć - na temat komputera czy też tego, czy ma zacząć chodzić na squasha albo przejść na kolejną dietę - zawsze pytał nas.

Matka Napleta, Barbara, była osobą chudą i humorzastą. Często robiła nam różne przekąski i na dwoje babka wróżyła - albo naprawdę interesowała się sportem, albo też doskonale to zamiłowanie udawała. „Och, proszę - mawiała zwykle. - Och, proszę, Pietro - i ty też do niego mówisz Naplet?”

(Tak à propos, to naprawdę nazywam się Pietro. Pietro Brnwa, co wymawia się „brałna”)

No i jeszcze ten Naplet. Przebywanie z nim nie było formą prania mózgu, ponieważ przy praniu mózgu zwykle starają się zmusić człowieka do zaakceptowania rzeczywistości, która jest w istocie gówniana, natomiast przebywanie z Napletem było fajne. Choć efekt był ten sam.

Na przykład powiedzcie mi coś takiego:

Jaka jest wartość nocy spędzonej przy ognisku? Jak się ma szesnaście lat? Człowiek czuje żar ognia na jednej stronie twarzy i wiatr na drugiej, zimny piasek na kostkach i tyłku przez džinsy, ale usta całowanej dziewczyny, której się prawie nie widzi, smakują tequila, i człowiek odnosi wrażenie, że porozumiewa się z nią za pomocą telepatii i, co dalej za tym idzie, niczego w życiu nie żałuje ani więcej od niego nie chce, bo wie tylko, że przyszłość będzie doskonała, owszem życie dało człowiekowi po garbie, ale oczekuje, że ma prawo coś od niego dostać po tym wszystkim.

Czy da się to na cokolwiek wymienić? I jak to się ma wobec powinności wobec zmarłych?

Może to być zupełnie proste: spojrzeć raz za siebie i odejść. Pokręcić głową i ponownie zostać piramidalnym, samotnym dziwakiem, któremu zastrzelili dziadków. Szczęśliwym, że udało mu się zachować duszę.

Ja tego nie zrobiłem. Zostałem z rodziną Locano dłużej, niż potrzeba było, żeby dostać to, co chciałem, aż moje życie zmieniło się w farsę, karykaturę poprzedniego życia z misją. Mógłbym

powiedzieć, że wychowujący mnie dziadkowie nie wytworzyli we mnie mechanizmów obronnych przed ludźmi, dla których łgarstwo i manipulacja były sposobem na życie oraz formą rozrywki. Ale mogę również powiedzieć, że życie z rodziną Locano wręcz otępiało mnie szczęściem i nie chciałem, żeby się skończyło.

I prawda jest taka, że od tamtej pory zrobiłem mnóstwo dużo jeszcze gorszych rzeczy.

### 3

Znałem faceta leżącego w skrzydle Anadale pod nazwiskiem Eddy'ego Squillantego, pseudo Eddy Consol.

- Co jest, kurwa? - warczę, chwytając go za poły szlafroka. Sprawdzam jeszcze raz na karcie. - Tu piszą, że nazywasz się LoBrutto!

Jest zmieszany.

- Bo nazywam się LoBrutto.
- Myślałem, że Squillante.
- Squillante to moje pseudo.
- Squillante? Co to za pseudo, „Squillante”?
- Pochodzi od Jimmy'ego Squillantego.
- Tego łacha z przemysłu śmieciowego?
- Tego człowieka, który ożywił biznes śmieciowy. I uważaj na to, co mówisz. Był moim kumplem.
- Czekaj no - mówię. - Nazwał się Squillante, bo Jimmy Squillante był twoim kumplem?
- Tak, choć naprawdę na imię miał Vincent.
- O czym ty, kurwa, pierdolisz? Kiedyś znałem jedną Barbarę - i nie każę ludziom do siebie mówić Baśka.
- Mądre posunięcie.

- No a Eddy Consol?
- To moja kolejna ksywa. Od „Skonsolidowany”. - Chichocze. - Myślisz, że ktoś w ogóle może się nazywać „Skonsolidowany”?

Puszczam go.

- Nie, to już załapałem, dzięki. Rozciera sobie piersi.
- Jezu, Niedźwiedzi Pazur...
- Nie mów tak do mnie.
- Dobra... - Milknie. - Czekał no. Skoro nie wiedziałeś, że jestem Squillantem, to jak mnie znalazłeś?

- Nie znalazłem.

- Jak to?

- Jesteś pacjentem w szpitalu. Ja jestem lekarzem.

- Jesteś ubrany jak lekarz.

- Nie. Ja jestem lekarzem.

Wpatrujemy się w siebie. Po chwili mówi:

- Teraz to mnie podpierdalasz!

O dziwo, potraktowałem to z lekceważeniem.

- To nie takiego.

- Pierdolisz! Mazel Tow, mały! - Kręci głową. - Jebane Żydki. Co, nie pozwalają bandziorom robić kariery w palestrze?

- Nigdy nie byłem bandziorem.

- Przykro mi z tego powodu.

- Nie domagałem się przeprosin.

- Przejęzyczenie. Nie chciałem cię urazić.

Zapomniałem, że mafiosi tak gadają - jakby uczestniczyli w jakimś demokratycznym wiecu.

- Nie pękaj - mówię. - Połowa z tych, których zastrzeliłem dla Davida Locano, była bandziorami.

Przełyka ślinę, co nie jest proste, kiedy wszystkie płyny dostają się do organizmu kroplówką.

- A mnie też zabijesz, Pazurze?

- Jeszcze nie wiem - mówię mu.

Jego wzrok wędruje ku kroplówce.

- Jeśli tak, to przecież nie będę ci wtłaczał powietrza do kroplówki - dodaję.

Gdyby naprawdę odrobina powietrza w wenflonie mogła człowieka zabić, to połowa pacjentów Manhattan Catholic już gryzłaby ziemię. W rzeczywistości LD<sub>50</sub> powietrza - czyli dawka, która byłaby śmiertelna dla 50 procent ludzi - to dwa centymetry sześciennie na kilogram ciała. Na LoBrutto, czy jak tam on się nazywa, potrzeba by było około dziesięciu strzykawek\*. [Ilość powietrza różni się w zależności od konkretnej osoby, ponieważ 30 procent ludzi ma otwór między prawą i lewą częścią serca, gdzie może tworzyć się bańka powietrza, normalnie trafiająca do płuc (a stamtąd do atmosfery), która mogłaby dotrzeć wprost do mózgu. Ale większość wenflonów odpowietrza się trudniej niż strzykawka, więc nikt się tym nie przejmuje.]

Może powinienem mu włożyć korek do gardła. Lekkie drewno jest niewykrywalne przez rentgena, a żaden patolog w Manhattan Catholic nie będzie sobie robił ceregieli, żeby przecinać krtań Squillantego. Ale skąd ja mam wziąć tutaj korek?

- Przestań o tym myśleć! - mówi.

- Spokojnie - odpowiadam. - Teraz to nawet nie jestem pewien, czy cię zabiję.



Chwilę później uświadamiam sobie, że to prawda, bo wymyśliłem już, jak bym to zrobił, gdybym musiał.

Naszprycowałbym go potasem. Gdybym zrobił to odpowiednio wolno, zatrzymałoby mu to serce bez wpływu na EKG\*, a po śmierci w całym ciele pękłoby mu tyle komórek, że dosłownie pływałyby w potasie. [Elektrokardiogram to w skrócie EKG, żeby nie pomylić z EEG, czyli elektroencefalogramem. Ale może wynalazca elektrokardiogramu, czyli Willem Einthoven, nazywał go tak samo.]

- Jezu - stęka. - Z tego, co wiem, i tak mam raka.
- Tak, masz raka - potwierdzam.
- Jak to?
- Właśnie odczytałem wyniki biopsji.
- Jezu! Rak! Jest źle?
- Nie, fantastycznie. Dlatego właśnie każdy człowiek chce mieć coś takiego.

Squillante kręci głową ze łzami w oczach.

- Ale z ciebie jebany mądraliński. Już za szczawia taki byłeś.
- Chwyta mnie za identyfikator. - A tak w ogóle to jak się obecnie nazywasz?

Czyta i sztywnieje.

- Peter Brown? Jak w piosence Beatlesów?
- Taa - mówię. Jestem pod wrażeniem\*. [*The Ballad of John and Yoko*: „Peter Brown called to say/You can make it O.K./ You can get married in Gibraltar near Spain” Peter Brown był najbardziej doświadczonym pracownikiem technicznym Beatlesów.]

- Zmienił ci nazwisko z Pietra Brnwy na P e t e r a B r o w n a ? Co oni myślą, że się z głupim na łby pozamienialiśmy?

- Najwyraźniej tak właśnie, kurwa, myślą.

Z sufitu rozlega się komunikat: „Kod niebieski. Personel medyczny do sali 815 w skrzydle południowym”. Powtarza się kilkakrotnie.

Squillante uświadamia sobie, o co chodzi.

- Będę milczał jak grób, Pazurze - mówi. - Przysięgam.

- Jak skrewisz, to przyjdę tu i skończę z tobą. Kapewu, kmiocie?

Kiwa głową.

Na odchodnym chwytam za kabel telefoniczny i wrywam go ze ściany.

Docieram do właściwej sali. Czy raczej korytarza przed salą.

Wszyscy uwielbiają nagle wezwania, bo mogą się zachowywać jak w telewizji. Nawet jeśli nie dane jest ci wołać „Przejdźcie!”, trzymając panele defibrylatora, to można pościskać sobie worek respiratora albo wstrzykiwać leki podawane przez pielęgniarki z wózka na kółkach. Poza tym pojawiają się ludzie z całego szpitala - nie tylko z interny, dla której jest to wezwanie obowiązkowe - więc jest to również okazja towarzyska. A jeśli ten, kto ogłosił pospolite ruszenie, zrobił to wtedy, kiedy pacjent właśnie miał zapaść, to można nawet uratować komuś życie, usprawiedliwiając tym samym kiepski wybór zawodu.

Jednakże tym razem nie było takiej sytuacji, jak przypomniałem sobie, kiedy tylko tam dotarłem. Był to jeden z wypadków, kiedy

pacjent nie żył już od kilku godzin, a ktoś tylko próbował uratować swoją lotewską dupę.

- Kto trzyma czas? - pytam.

Pielęgniarka o imieniu Lainie odwraca się ze stoperem i listą niezbędnych osób.

- No, siemka, doktorze Brown - mówi. Mruga do mnie. - Już pana zapisałam.

- Dzięki - odpowiadam.

Lainie to superlaska, ale jest zamężna. Wyszła za faceta, który wygląda na dwunastolatka i nosi tak długą bluzę koszykarza, że można by było z niej zrobić sukienkę na przyjęcie, ale gościu nie będzie w to grał.

Za to gościu musi wrócić do sali Squillantego. I albo go zabije, albo rozkmini, co z nim zrobić.

Nie jest to bynajmniej prosty wybór. Jeśli pozwolę mu żyć, a on powie Davidowi Locano, gdzie się znajduję, to albo będę trupem, albo będę musiał spylać. Z drugiej jednak strony zacząłem pracować w szpitalu, żeby o d p o k u t o w a ć za zabijanie ludzi.

Czy coś takiego.

- Proszę pana? - Cichy głos za moimi plecami. Odwracam się.

Moi praktykanci. Dwie kupki nieszczęścia w krótkich białych kitlach. Facet i babka, obydwójce jakoś się nazywają. Tyle tylko zapamiętałem na ich temat.

- Dzień dobry panu.

- Nie panujcie mi tutaj. Zarabiam na życie pracą - mówię. - Idźcie sprawdzić wyniki.

To zwykle wprowadza zamęt w ich szeregach, ale jedno z nich mówi:

- Już to zrobiliśmy.
- No to pokręćcie się tu trochę. - Ale...
- Sorka, maluchy. Później was czegoś nauczę\*. Do zobaczenia na odprawie o wpół do ósmej. [Ta wymiana zdań - „Dzień dobry panu/Sorka maluchy. Później was czegoś nauczę” - jest podstawą dwóch ostatnich lat studiów. Główna działalność na pierwszych dwóch latach studiów przypomina prezentację w PowerPoincie w wykonaniu zgorzkniałego, nisko opłacanego lekarza, który zbyt wolno umykał dziekanowi o poranku.]

Oczywiście po dziesięciu krokach wywołuje mnie biper Akfała, który przebywa na intensywnej terapii.

- Masz chwilę? - pyta, kiedy do niego dzwonię.

Zamiast powiedzieć „nie”, mówię:

- Coś ważnego?

Co jest idiotycznym pytaniem, bo gdyby nie było ważne, to Akfał nie zawracałby mi głowy. Na to nie ma czasu.

- Potrzebuję twojej pomocy przy torakostomii.

Kurwa mać.

- Już lecę - mówię. Odwracam się do studentów.

- Zmiana planu, maluchy - mówię im. - Wujek Akfał ma dla nas zadanie.

Kiedy zmierzamy w stronę schodów przeciwpożarowych, jeden ze studentów pyta, wskazując głową denatkę:

- Czy to przypadkiem nie nasza pacjentka, proszę pana?

- Ona już jest pacjentką Boga.

Torakostomia polega na wetknięciu zaostromej rury w pierś delikwenta. Robi się to wtedy, gdy krew - ropa, powietrze czy co tam jeszcze - w klatce piersiowej zaczyna uciskać jedno lub dwa płuca, przez co pacjent ma kłopoty z oddychaniem. Należy ominąć ważne organy - płuca, śledzionę, wątrobę - i spód żeber, gdyż właśnie tamtędy biegną żyły, tętnice i nerwy. (Można to zobaczyć na żeberkach po ugotowaniu. Później można się porzygać.) Tak w ogóle założenie tej rury jest proste, jeśli pacjent się nie rusza.

Czyli nigdy. I tu zaczyna się moje zadanie. Chociaż przyznaję to bez specjalnej dumy, sztuką medyczną, którą opanowałem niemal do perfekcji, jest przytrzymywanie pacjentów. Moi studenci medycyny będą mieli rzadką okazję zobaczyć przebłysk geniuszu.

Dlatego jestem zaskoczony, kiedy docieramy do intensywnej terapii i widzę, że pacjent leży przechylony na boku z otwartymi oczami i wywalonym językiem. Myślę, że odwalił kitę, kiedy Akfal do mnie dzwonił, ale sprawdzam tętnicę szyjną i jego puls jest bez zastrzeżeń, chociaż nic nie wskazuje na to, że facet czuje, że go badam.

- Był już taki? - pytam.

Akfal ustawia stół zabiegowy, zapełniając go produktami Martin-Whiting Aldomed.

- Ponoć zawsze tak wygląda. Miał ciężki wylew sześć lat temu\*.

- No to po co jesteśmy tu potrzebni?

[Udar mózgu lub udar naczyniowy mózgu. Arteria mózgu albo się zatyka (zwykle od skrzepu, zwykle od serca) - albo momentalnie eksploduje. Poznajcie Kostuchę: to druga przyczyna śmierci w Stanach Zjednoczonych.]

- W karcie piszą, że może wykonywać gwałtowne nie skoordynowane ruchy.

Dźgam faceta palcem w gałkę oczną. Żadnej reakcji.

- Ktoś cię w chuja robi. Sąd może ci skoczyć i obtoczyć.

- Być może. - Akfal otwiera paczkę rękawic na rozłożonym wcześniej niebieskim papierowym obrusie, następnie zakłada je starannie, nie dotykając niczego. - Gotów - mówi.

Podnoszę stół zabiegowy, a studenci biorą jego nogi. Rozsu-  
pluję pasek w szlafroku pacjenta, który spada do pasa. Facet jest opuchnięty od sześćioletniej śpiączki.

Akfal oczyszcza pole zabiegu jodyną w dole lewej strony klatki piersiowej, a potem bierze rurkę. Ramieniem obejmuję piersi i barki pacjenta.

Akfal wkluwa się. Pacjent wrzeszczy i tak mocno wali nogami w studentów, że odbijają się od ściany. Jedno z nich przewraca też monitor.

Ale rura już siedzi. Nie za bardzo wiadomo w czym, ponieważ płyn, który rozpryskuje się wokół - również po piersi i twarzy Akfala, zanim ten zdążył schwycić basen, by skierować strumień do środka - wygląda jak ciemna krew z zakrzepami. Po chwili zaczyna pulsować stałym rytmem.

Pacjent wzdycha i wiotczeje w moim uścisku.

- Nic wam nie jest, maluchy? - pytam.

- Nic, proszę pana - mówią drżącymi głosami.

- Akfal?

- Urocze. Uważaj, na podłodze jest krew.

Później, kiedy opuszczam intensywną terapię wraz ze studentami, zatrzymuje nas młodsza, mniej trupia wersja pacjenta.

- Co z moim tatą? - pyta.
- Wszystko na medal - mówię mu.

Na schodach pytam studentów:

- No i jaki z tego morał, maluchy?
- NR - mówią chórem.
- A żebyście wiedzieli.

Nakaz Nie Reanimować. Prośba „Pozwólcie mi umrzeć, na miłość boską”.

Która, jeśli lekarze wyjaśnią ją pacjentowi i pacjent ją podpisze, może uratować system opieki zdrowotnej w USA, teraz wydający 60 procent wpływów na ludzi, którzy nigdy nie wyjdą ze szpitala.

Myślicie, że to byłoby odwalanie roboty za Kostuchę? Informacja: w tym momencie robota Kostuchy już została wykonana. Określenie „śmierć mózgu” nie oznacza, że mózg umarł, chociaż tak jest. Oznacza, że mózg jest tak martwy, że ciało jest praktycznie nieżywe. Bijące serce pacjenta mogłoby równie dobrze znajdować się w kadzi.

Co do niewyręczania Kostuchy, to postanawiam wrócić do sali Squillantego i zrobić wszystko, aby przeraził się tak bardzo, żebym nie musiał go zabijać.

Muszę mieć pewność. Wysłałam maluchy na odprawę - wydarzenie tak paskudne, że nawet w tych okolicznościach mam wyrzuty sumienia, że im tego nie oszczędziłam - tak na wszelki wypadek.

Jednak kiedy zjawiam się w sali Squillantego, widzę, że rozmawia przez komórkę.

- Zaraz kończę - mówi do mnie, zakrywając mikrofon. - Co to ja jestem, jakiś jebany dinozaur, że nie wiem, jak korzystać z komórki?

Następnie unosi palec i znów wraca do rozmowy.

- Jimmy - mówi. - Oddzwonię do ciebie. Niedźwiedzi Pazur już tu jest.



**Zabójcy** w filmach zawsze używają pistoletów kaliber .22 z tłumikiem, które pozostawiają na miejscu zbrodni. Rozumiem porzucanie broni, bo Michael upuścił rewolwer w jednej ze scen *Ojca chrzestnego*, filmie z lat siedemdziesiątych o latach pięćdziesiątych, na którym mafiosi wzorują się do dziś\*. [Michael rzuca broń po zastrzeleniu gliny w *Ojcu chrzestnym*, bo jeden taki mały rzuca broń po zastrzeleniu gliniarza w *Bitwie o Algier*. Tam przynajmniej ma to sens, bo podczas algierskiej rewolucji Francuzi przeszukiwali wszystkich na każdej przecznicy.] Kiedy jednak zacząłem o tym myśleć, używanie dwudziestkidwójki wydało mi się kretyńskie.

Naturalnie mniejsze pociski szybciej lecą, a prędkość jest podstawową składową energii kinetycznej, stąd też fale uderzeniowe, wysyłane przez dobrze umiejscowioną kulę, sprawiają, że rozstępują się ściany, które mają oddzielać płyny organiczne człowieka. Natomiast trudno jest odliczyć ilość energii kinetycznej przekazywanej ciału przez pocisk, ponieważ zależy ona od takich składowych jak prędkość obrotu oraz „impuls”, jak mówią fizycy, czyli jednostki czasu, w jakiej występuje kontakt między jednym obiektem a drugim.

Z drugiej strony zachowanie pędu łatwo jest wyliczyć. Na przykład jeśli pocisk ważący 230 granów (15 gramów, waga pocisku kaliber .45 - czyli 45 procent cala) wędruje z prędkością dźwięku (wolno jak dla kuli) aż do całkowitego zatrzymania w ciele (o wiele łatwiejsze do osiągnięcia przy dużym pocisku niż przy małym), wtedy 15 gramów ludzkiego ciała musi rozpedzić się do prędkości dźwięku, żeby tę prędkość zrekompensować. Albo 150 gramów ciała do jednej dziesiątej prędkości dźwięku i tak dalej. Rozmyślenia na ten temat są o wiele mniej absorbujące.

Powiedziałem kutafonowi w Nassau Coliseum Gun Show, o którym przeczytałem w tygodniku „Zastrzel Żyda” czy „Rozwal Sobie Łeb”, czy jak tam się to nazywało, że chcę bliźniacze czterdziestki.

To było proste. Pistolety, które w końcu kupiłem, wyglądały wieśniacko - miały orzechowe okładki i tak wypolerowane lufy, że można się w nich było przejrzeć - ale były mocne, proste w obsłudze i pomyślałem sobie, że zawsze mogę je później pomalować. Do tego drewniane uchwyty miały przyjąć na siebie część impetu odrzutu.

O wiele trudniej było kupić tłumiki.

Posiadanie tłumika jest wykroczeniem od czasów wojny w Wietnamie. Nie wiem do końca, dlaczego tak jest. To prawda, tłumiki służą jedynie do zabijania ludzi, ale to samo można powiedzieć o karabinkach szturmowych, do których NRA zapewnia łatwy dostęp. Musiałem godzinami kręcić się na pokazie

broni i kupować spluwy, zanim ktoś wzięł przynętę.

Był to taki siwowłosy facet w okularach i poliestrowej koszuli. Zupełnie nie wyglądał na świra na punkcie survivalu, chociaż miał wszelkie atrybuty na stoisku: pamiętniki wysoko postawionych nazistów, dziwaczne spluwy i noże. Zapytałem, czy ma jakieś wytłumiacze.

Wytłumiacz jest kijową wersją tłumika, który nakłada się na karabinek, żeby nie ogłuchnąć, jak się strzela do kolegów z klasy czy innych nołplisów.

- Wytłumiacz do czego? - zapytał. Kiedy skończył wypowiadać to zdanie, jego szary język spoczął ponownie na dolnej wardze.

- Do broni krótkiej - powiedziałem.

- Do broni krótkiej? Nie można wytłumić broni krótkiej.

- Ja szukam bardzo mocnych wytłumiaczy - odparłem.

- Bardzo mocnych wytłumiaczy.

- Bardzo cichych wytłumiaczy - dodałem. Wyrażnie się zirytował.

- Czy ja wyglądam na federalnego? - zapytał.

- Nie.

- No to mów po ludzku. Jakiej amunicji będziesz używał?

- Magnum, z wydrążonym czubkiem.

- Naprawdę?

- Taa.

- A spluwy?

- No. - Podąłem mu torbę na zakupy. Wyciągnął dwa

pistolety i położył je na egzemplarzu *Protokołów mędrców Syjonu*. Wpatrywał się w nie przez chwilę. - Hmmm - mruknął w końcu. - To nie takie proste. Ale chodź na zaplecze.

Obszedłem stoisko i usiadłem na składanym krzeselku. Świr podniósł z podłogi pudełko wędkarskie i otworzył je pod obrusem stolika. Było w nim pełno różnych tłumików.

- Hmmm - mruknął, wyłuskując właściwe. - Potrzebujesz na oba?

- Tak.

Wyciągnął parkę.

- Nawet nie wiesz, co to za cacko - stwierdził.

Były długie - spokojnie na stopę, z sześcioma calami grubej tulejki, przytwierdzonej do sześciu cali cienkiej tulejki.

- A co to takiego? - zapytałem, wskazując na cienką rurkę.

- To lufa. Popatrz tylko. - W jakieś dziesięć sekund, całkowicie po omacku, rozebrał i złożył jeden z moich pistoletów. Tylko że teraz zamiast oryginalnej lufy, która została na stole, założył w moim pistolecie nową lufę wraz z tłumikiem. - W ten sposób możesz je wymieniać i nie będą w stanie dopasować do niego kuli - powiedział. - Oczywiście jeśli chcesz, żeby nie można było w ogóle dopasować pocisku, to musisz wymienić klin zamka. Przynajmniej go wszlifuj.

- Aha - mruknąłem.

- Trzymaj oryginalny w broni, kiedy jej nie używasz, na wypadek pojawienia się federalnych. Trzymaj też broń nabitą, bo mogą się czepiać wszystkiego. - Mrugnął do mnie, choć mógł to

też być tik nerwowy. - Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Tak - odparłem.
- Dobrze. Czterysta dolców.

Gdzieś w połowie grudnia 1992 roku pani Locano zapytała:

- Pietro, co byś chciał na Boże Narodzenie? - A ja postanowiłem wykonać ruch. Jedliśmy akurat kolację.
- Jestem Żydem - powiedziałem.
- Daj spokój.
- Dotąd tylko jednego w życiu chciałem - powiedziałem, wpatrując się w Davida Locano. - Dowiedzieć się, kto zabił moich dziadków.

Zaległa głucha cisza. Pomyślałem: „Wszystko miałem. I spierdoliłem”.

A kiedy wszystko jakby rozeszło się po kościach, byłem wdzięczny.

Ale kilka dni później David Locano zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie pojechałbym z nim do sklepu sportowego Big 5, by znaleźć coś na prezent dla Napleta. Miał po mnie przyjechać.

Pojechaliśmy. Kupił Napletowi worek bokserki do trenowania szybkich ciosów, co było zupełnie bez sensu, bo Naplet nie był w stanie trzymać rąk nad głową przez dziesięć minut, nie

mówiąc już o waleniu w coś - ale Locano nie potrzebował mojej porady w tej kwestii. W samochodzie w drodze do domu zapytał mnie:

- Mówiłeś poważnie, że chcesz dopaść tych śmieci, którzy zabili ci dziadków?

Tak się zacukałem, że przez minutę nie mogłem wykrztusić z siebie słowa.

- Głównie po to żyję - odparłem w końcu.

- To już, kurwa, czysta głupota - powiedział. - Wiem, że dlatego wstąpiłeś do Sandhurst\* [Ojej, wypnęło mi się.] i dlatego zaprzyjaźniłeś się z Adamem. Ale to jedno wielkie bagno. Możesz się z tego wycofać. Powinieneś się z tego wycofać. I wiem, że tego chcesz.

- A co się ze mną stanie, jak się nie wycofam?

Locano skręcił gwałtownie na pobocze ulicy i wcisnął hamulec.

- Skończ z tą gadką twardziela - powiedział. - Ja nie grożę ludziom. Jestem prawnikiem, do chuja pana. Nawet gdybym groził ludziom, to przecież nie tobie.

- Dobra - odparłem.

- Po prostu ci mówię - masz przed sobą całe życie. I powinieneś unikać kłopotów. Adam cię uwielbia. Szanuje cię. Powinieneś tego posłuchać.

- Dziękuję panu.

- Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Tak.

Słyszałem, ale byłem zdumiony.

- I dalej będziesz się przy tym upierał?

- Tak.

Westchnął. Pokiwał głową.

- No dobra.

Sięgnął do kieszeni marynarki.

Niemal go powstrzymałem. Byłem po trzynastu miesiącach codziennych ośmiogodzinnych treningów sztuk walki. Z łatwością zablokowałem mu dłoń z bronią i podbiłem brodę tak, że złamałem mu kark.

- Spokojnie - powiedział. Wyciągnął notes i pióro. - Zaraz sprawdzimy, czy mogę cię z kimś umówić.

- Co ma pan na myśli?

- Sprawdzę, czy mogę cię podwiesić pod kogoś, kto zapłaci ci za tę robotę.

- Nie wezmę za to pieniędzy.

Spojrzał na mnie.

- Weźmiesz. Inaczej zostaniesz typem spod ciemnej gwiazdy i uśpią cię jak psa. Rozpowszechnimy plotkę, że kimkolwiek są te śmiecie, za dużo mówią i ściągają na siebie zbyt wielką uwagę w stosunku do tego, ile jest z nich korzyści. Może to i czyjś krewni, ale nie powinno być trudności. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak - odparłem.

- Dobrze. Będziesz potrzebował broni?

Byli braćmi. Joe i Mike Virzi. Tak jak podejrzewali gliniarze, zrobili to, by się wkupić do mafii.

Nie opierałem się wyłącznie na wiadomościach od Locano. Przede wszystkim łąziłem za nimi całymi tygodniami.

Bracia Virzi to dwa kutasy, które z nudów dostawały korby, szczególnie wieczorami, i wyżywały się, na kim popadnie. Wyciągali jakiegoś frajera z nocnego klubu czy sali bilardowej za włosy, mówili wszystkim, żeby stulili ryje, i zostawiali gościa w kałuży krwi i zębów w jakiejś bocznej uliczce. Czasami masakrowali ofiarę tak bardzo, że zachodziła obawa, że zostanie kaleką albo nie przeżyje, a kiedy była to kobieta, musiałem anonimowo dzwonić na policję.

I tu pojawia się najdziwniejsza część całej zabawy: P a t r z y - ł e m , j a k i c h p r z y j m u j ą . Śledziłem ich prawie co wieczór, ale i tak, kiedy się to dokonało, byłem zaskoczony.

Stało się to w kościele Św. Antoniego, w piwnicy budynku parafii, przylegającego do świątyni w Paramus. Widać to było przez kraty niskiego okienka, które otworzono, żeby przewietrzyć pomieszczenie. Trzy gówniane stoły barowe ustawiono w kształcie litery „U”. Siedzieli przy nich starzy gangsterzy, a Joe i Mike Virzi stali na golasa i powtarzali słowa przysięgi za siedzącym pośrodku pierdzielem.

Niewiele z niej słyszałem, ale były tam fragmenty po włosku, po łacinie i po angielsku, a Virzi zarzekali się, że prędzej trafią do piekła, niż zdradzą mafię. W pewnym momencie dwóch staruchów z końca stołu, którzy wyglądali szczególnie idiotycznie z medalionami i w filcowych kapeluszach, podpałało paski papieru i upuszczało je na dłonie braci. Później przećwiczyłem to w domu. Wcale nie bolało.

Wściekłem się, bo było to kretyńsko żalodne. Nie mogłem



uwierzyć, że moi dziadkowie zginęli w imię tych pierdół. Odszedłem przed końcem, żeby pojechać do domu Virzich.

Był to jednopiętrowy domek z przylegającym do niego garażem. Jak zwykle kiedy ich nie było, drzwi do garażu były otwarte.

No bo kto niby miał się do nich włamywać?

Następnego ranka przed szkołą - był początek marca i zamróz - poszedłem do lasu koło Saddle River, by poćwiczyć strzelanie, i wtedy dowiedziałem się, dlaczego zabójcy używają kalibru .22.

Odgłos pierwszego wystrzału zabrzmiał tak, jakby ktoś trzasnął zszywaczem. Drugi zabrzmiał jak ostrzegawcze warknięcie psa. Szósty i siódmy brzmiały jak odgłosy nisko lecącego samolotu i już wtedy wnętrza tłumików płonęły żywym ogniem, a z luf wydobywały się błękitne płomienie i unosił ciemny dym. Lakier na lufach bulgotał.

Jednak najbardziej intrygujące było spustoszenie, jakie czyniły same kule. Kiedy w końcu udało mi się, trzymając broń w obu dłoniach, umieścić pociski w jednym drzewie - nie jest to proste, kiedy przy odrzucie człowiek za każdym razem czuje się tak, jakby starał się podnieść po drabinie w basenie - widać było spore dziury w miejscu, w którym weszły w drewno.

I olbrzymie kawały odłupanych wiórów z tyłu w miejscu, w którym z niego wyszły.

Wybrałem weekend tuż przed moją wiosenną przerwą semestralną.

Przerobiłem moje tłumiki. Nie za bardzo chcę tutaj wchodzić w szczegółowe opisy, powiem tylko, że wystarczyły do tego nabyte już metalowe cylindry, uszczelniacze z włókna szklanego i kilka podkładek. Nawet w dobie przedinternetowej nie było trudno znaleźć odpowiednie instrukcje.

Wiedziałem, że Virzi nigdy nie zamykają drzwi między garażem i kuchnią. Przerabiałem to tuzin razy, byłem w chawirze kutasów, widziałem plakaty z Cindy Crawford i obrazki tego faceta, który projektował okładki płyt Duran Duran.

W noc, w którą postanowiłem ich zabić, poszedłem za nimi do klubu, potem do domu i zamknąłem drzwi do kuchni. Następnie stanąłem przy otwartych drzwiach garażu z jednej strony i czekałem na ich powrót.

Mój profesor w szkole medycznej twierdził, że gruczoły potowe pod pachami i gruczoły potowe w pachwinach są kontrolowane przez całkowicie różne części systemu nerwowego i tak człowiek poci się pod pachami z nerwów, a w pachwinach z gorąca. Nie wiem, czy to prawda czy nie, ale mogę powiedzieć, że kiedy tak czekałem na powrót braci Virzi, spod moich pach i z krocza wyciekło tyle potu, że aż buty mi zamokły. Całe moje ciało lepiło się od potu pod niewygodnym płaszczem. Trudno było stwierdzić, czy to gorąc czy nerwy.

W końcu rozległ się trzask na chodniku i wyścigowy model mustanga braci przemknął koło mnie w garażu, zostawiając za sobą swąd spalin i spalonej gумы.

Wygramolili się niezdarne, krzycząc coś do siebie, ten za kierownicą nacisnął przycisk na pilocie, tak że drzwi garażu zaczęły się zamykać. Ten, który wysiadł z miejsca pasażera, zrobił dwa kroki do drzwi kuchennych i starał się je otworzyć, po czym szarpnął za gałkę.

- Co jest, kurwa? - wrzasnął przy akompaniamencie hałasu, jakie robiły zamykające się drzwi garażu.

- Co jest? - zapytał drugi.

- Kurwa, drzwi są zamknięte.

Drzwi od garażu się zatrzymały.

- Pierdolisz.

- Serio!

- No to je, kurwa, otwórz!

- Pizda biała, klucza nie mam!

- Może byście się zechcieli odwrócić? - powiedziałem. -

Wolno.

Nawet w moich uszach mój głos brzmiał bardzo obco. Coś - może spalin, może stres - sprawiło, że kręciło mi się w głowie i bałem się, że upadnę.

Odwrócili się. Nie wyglądali na przestraszonych. Jedyne jak jełopy.

Jeden z nich zapytał z niedowierzaniem:

- Co?

Drugi dodał:

- A kim ty, kurwa, jesteś?

- Współpracujcie, a nic wam się nie stanie - powiedziałem.

Przez chwilę panowała cisza. Pierwszy powtórzył:

- C o? - i obydwaj zaczęli rechotać.
- Skurwysynu - odezwał się drugi - zadarłeś z niewłaściwymi gośćmi.

- Ja nie mam wątpliwości - powiedziałem.

- W s p ó ł p r a c o w a ć? - zapytał pierwszy.

- Zrobiliście chałupę w West Orange rok temu, w październiku - powiedziałem. - Zabiliście starszą parę. Chcę tylko odzyskać taśmę, która była w zabranym przez was magnetowidzie.

Spojrzeni po sobie. Pokręcili głowami, jakby nie mogli uwierzyć w to, co słyszą. Pierwszy powiedział:

- Kutasie, jakbyśmy zabrali magnetowid tym żalonym pizdom, to myślisz, że zatrzymalibyśmy jakąś tam taśmę?

Wziąłem wdech, żeby nie musieć oddychać przez chwilę. Potem zacząłem strzelać.

Powiem wam coś na temat zemsty.

Zemsta to kiepski pomysł. Po pierwsze, nie można się nią napawać. Powód, dla którego wmawiali wam, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, nie wiąże się z tym, żeby odwlekać ją jak najdłużej, ale z tym, że przeciąga się własną radość wywołaną planowaniem i oczekiwaniami.

Po drugie, nawet jeśli uchodzi to na sucho, mordowanie ludzi ci nie służy. Zabija coś w tobie i ma jeszcze wiele innych konsekwencji, których nie jesteś w stanie przewidzieć. Najprostszy przykład: osiem lat po tym, jak zastrzeliłem braci Virzi, Naplet całkowicie zrujnował mi życie, więc go wyrzuciłem na główkę z szóstego piętra.

Ale tego wieczoru na początku 1993 roku czułem wyłącznie radość.

Zastrzelenie braci Virzi z czterdziestkapiątki z tłumikiem było jak rozdarcie na pół ich fotografii.

## 5

Wyjmuję telefon komórkowy z ręki Squillantego i rozwalam na kawałki.

- Gadaj, gnoju - ponaglam.

Wzrusza ramionami.

- Co mam ci powiedzieć? Jeśli tylko pozostanę przy życiu, mój kumpel Jimmy nie zadzwoni do Brooklynu.

- Do kogo?

- Do gościa od Davida Locano, który ma z nim kontakt w Beaumont.

Zaciskam dłoń w pięść.

- Spokojnie! - mówi Squillante. - Tylko w przypadku mojej śmierci!

Szarpię go za luźną skórę pod brodą i unoszę go za nią. Jest sucha jak skóra jaszczura.

- Tylko w przypadku twojej śmierci? - mówię. - P - pierdoliło cię czy jak? Masz nieuleczalną chorobę! Już nie żyjesz!

- Mcheymy natsije, se ni - belkocze.

- Nadzieja gównu nam daje w tej sytuacji!

Mamrocze coś. Puszczam go i głowa opada mu na poduszkę.

- Czego? - pytam grzecznie.
  - Będzie mnie operował doktor Friendly. Mówi, że może uda się nam pokonać to choróbsko.
  - A kim, do chuja, jest doktor Friendly?
  - To znany chirurg!
  - I przeprowadza operacje w Manhattan Catholic?
  - Operuje, gdzie chce. Ma ze sobą cały swój zespół. Odzywa się mój biper. Wciskam przycisk „spierdalaj”.
  - On i ja pokonamy razem choróbsko - mówi Squillante. Policzkuję go. Lekko.
  - Nie pierdol mi tu - rzucam. - Nie myśl sobie, że wezmiesz mnie ze sobą, tylko dlatego, że zdychasz. Odwołaj kontakt z Locano.
  - Nie - odpowiada cicho.
- Walę go na odlew nieco mocniej.
- Słuchaj, głupi kutasie - mówię. - Nie przeżyjesz tego ni chuja. Jak się wkurwię, to zaraz cię wykończę.
  - Nie możesz.
  - Dlaczego nie, trup to trup.
- Zaczyna coś mówić, ale wychodzi mu tylko mruganie. Znów kolejna próba. Potem zaczyna płakać. Odwraca głowę w drugą stronę i na tyle, na ile pozwalają mu rurki i przewody, zwija się w pozycji embrionalnej.
- Nie chcę umierać, Pazur - mówi przez łyży.
  - Taa, jasne, a myślisz, że ktoś będzie cię pytał? Pogódź się z tym.
  - Doktor Friendly uważa, że mam szansę.
  - To typowa gadka chirurga, który myśli: „Trochę sobie powyrzynam dla wprawy i jeszcze kasa wpadnie”.

Znów odzywa się mój biper. Znów go wyłączam. Squillante chwytą mnie za przedramię swoją szympansią łapą.

- Pomóż mi, Pazur.
- Pomogę, jeśli będę mógł - odpowiadam. - Odwołaj swojego kolesia.
- Po prostu pomóż mi przejść tę operację.
- Mówiłem, że pomogę, jak będę mógł. Odwołaj go.
- Jak przeżyję operację i wyjdę stąd, to obiecuję, że odwołam. Zabiorę tajemnicę do grobu. Nie chcę żyć wiecznie.
- No nie! Co to za gadanie? - odzywa się jakiś głos za moimi plecami.

Odwracam się i widzę dwóch lekarzy wchodzących do sali. Jednym z nich jest kościsty dryblas w ciuchach szpitalnych wyglądający na wyczerpanego, a drugi to wypasiony pięćdziesięciopięciolatek. Nie znam ani jednego, ani drugiego. Wypasiony jest rumiany i ma zaczesane włosy czy też raczej zrobione z nich gniazdo, jeśli już chodzi o precyzję. Ale nie to jest w nim ciekawe.

Interesujące jest to, że ma na sobie długi kitel laboratoryjny. Jest pokryty naszywkami z nazwami leków, jakby facet był kierowcą formuły pierwszej. I jest z cienkiej skóry. Co lepsze, poszczególne naszywki umieszczono w miejscach, na które dany lek działa: „Xoxoxoxox” (wymawia się „zaZOXazox”) na sercu, „Rectilify” na esicy i tak dalej. Na wysokości krocza - przecięte na pół, ponieważ kitel też się rozchodzi - widnieje znane logo leku na impotencję „Propulsatil”.

- Cóż za wspaniały kitel - mówię.



Facet patrzy na mnie, starając się dociec, czy to był sarkazm, ale ja sam nie wiem, więc on tym bardziej. Pyta więc:

- Pan z interny?
- Taa.
- Jestem doktor Friendly.

Wspaniale. Nie powierzyłbym temu facetowi wymiany oleju w moim wozie.

- Zabieram pacjenta na salę operacyjną - oznajmia. - Proszę go przygotować.

- On jest gotów - odpowiadam. - Nie życzy sobie zaprzestania reanimacji.

Doktor Friendly kładzie mi dłoń na ramieniu. Przynajmniej ma staranny manikiur.

- Oczywiście, że nie życzy - zgadza się. - I nie całuj mnie w tyłek. Wystarczy, że moi stażyści to robią.

Tylko na niego patrzę.

- Jak będę chciał z tobą pogadać, to cię wydzwonię - mówi.

Staram się wymyślić jakiś pretekst, żeby zostać, ale nie mogę. Nie wiem, co powiedzieć - po pierwsze dlatego, że kiedy doktor odwraca się do mnie plecami, widzę na wysokości nerek na jego kitlu naszyte logo Mariniru, a po drugie - dociera do mnie zapach stażysty.

Który rozpoznaję momentalnie. Kiedy się odwracam w tamtą stronę, widzę utkwione we mnie podkrążone, przekrwione oczy stażysty.

- Duch? - pytam.
- Taa - odpowiada. - Dzięki, że pozwoliłeś mi się przełamać.

Wciąż ma oddech cuchnący jak czeluście piekiel. Wychodząc, odwracam się jeszcze do Squillantego. - Postaraj się żyć, kiedy wrócę - mówię.

Wychodząc ze skrzydła Anadale, słyszę wysoki pisk w lewym uchu.

Staram się sobie wyobrazić, co profesor Marmoset Wielki powiedziałby na to. Pytam go niemal na głos: „Profesorze Marmoset!!! Co ja mam robić, do kurwy nędzy???”

Wyobrażam sobie, jak kręci głową.

- „Ni chuja nie mam pojęcia, Ishmaelu”\*. [Ishmael to moje imię w WITSEC, chociaż nikt poza profesorem Marmosetem nie zwracał się tak tam do mnie. WITSEC jest skrótem, jakiego na szczęście używają fedryle dla Federalnego Programu Ochrony Świadców.]

Pierdolić to. Wyciągam komórkę. Mówię do mikrofonu „Marmoset” i naciskam zieloną słuchawkę.

Mijająca mnie pielęgniarzka zwraca mi uwagę:

- Tu nie wolno używać komórek.
- Jasne - odpowiadam.

W słuchawce rozlega się idiotycznie dyszący i zmysłowy kobiecy głos.

- Cześć. Jestem Robaczka Świętojańska, automatyczny system zgłoszeniowy. Kogo pan szuka?

Jakby przemówiła wagina.

- Marmoseta.
- Profesor Marmoset nie odbiera telefonu. Czy mam go odnaleźć?

- Tak - mówię do tego pierdolonego komputera.
- Proszę podać swoje nazwisko.
- Ishmael.
- Proszę o cierpliwość - odzywa się Robaczka. - Życzy pan sobie posłuchać muzyki podczas czekania?
- A jebaj się - rzucam.

Ale mam za swoje. Rozlega się piosenka Stinga.

- Nie byłam w stanie go zlokalizować - obwieszcza w końcu Świętojańska. - Czy chce pan zostawić wiadomość?

- Tak - mówię, walcząc ze łzami bezsilności, gdyż muszę rozmawiać z tym szkaradzieństwem.

- Proszę bardzo. Może pan zacząć mówić.

- Profesorze Marmoset - zaczynam. Rozlega się piknięcie w słuchawce.

Później cisza. Odczekuję kilka sekund. Nic się nie dzieje.

- Profesorze Marmoset - powtarzam. - Właśnie piknęło. Nie wiem, czy to oznacza, że zaczęło się nagrywanie czy że właśnie się skończyło. Mówi Ishmael. Muszę z panem pilnie porozmawiać. Proszę o telefon albo o wiadomość na pager.

Zostawiam oba numery, mimo że jestem zmuszony odczytać numer komórki z nalepki na moim stetoskopie. Nie pamiętam, żebym go ostatnio komuś podawał.

Później rozważam, czy zadzwonić do Sama Freeda, który pierwszy umieścił mnie w programie WITSEC. Jednak Freed przeszedł już na emeryturę i nie wiem, jak się z nim skontaktować. A nie jestem gotów tłumaczyć od początku całej sytuacji komuś, kto tam w tej chwili pracuje.

Kiedy mój pager się odzywa, spoglądam na wyświetlacz w nadziei, że to Marmoset. Ale to tylko wiadomość, która uświadamia mi, że nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej:

**GDZIE JESTEŚ? ODPRAWA JAK NIEMA TO WYLATUJESZ**

Nawet jeśli dzień zapowiada się cudownie, to wolę rozmawiać z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej, niż tkwić na odprawie. A jeszcze dzisiaj, kiedy jakiś obszcymur, o którym nie pamiętałem od lat, ma wspaniałą okazję, by mnie wysłać na tamten świat albo zmusić, żebym znów zaczął uciekać, to już jest zdecydowanie irytujące.

Bo **WYLATUJESZ** czy nie, wszystko wskazuje na to, że mam **PRZEJE**.

## 6

**O**to najlepsza rada dla kogoś, kto znajdzie się drugi raz na Sycylii: Wypierdalaj. Uciekaj.

To miejsce stało się dziurą zabitą dechami, od kiedy Rzymianie spalili tam lasy i odsłonili wzgórza, żeby mieć tereny do uprawy pszenicy blisko półwyspu, ale na tyle daleko, żeby szarańcza nie doleciała. Nawet Czerwone Koszule Garibaldiego, kiedy wyzwały Włochy, zostawiły Sycylię w poddaństwie. Była zbyt cenna, żeby ją sobie odpuścić.

Sami Sycylijczycy w ciągu stuleci stworzyli trzy klasy obywateli. Byli to niewolnicy, o których nie ma za wiele do opowiadania. Właściciele ziemscy, którzy mieli posiadłości na wyspie, ale odwiedzali je tak rzadko, jak to było możliwe. I zarządcy - klasa pijawek, którym, jeśli utrzymywali uprawy na wysokim poziomie, pozwalano robić z niewolnikami, na co im tylko przyszła ochota.

Zarządcy mieszkali w posiadłościach właścicieli ziemskich pod ich nieobecność. W latach otomańskich nazywano ich *maj-wa*, co oznaczało „butny”. To słowo przekształciło się później w *mafię*.

Kiedy Sycylijczycy zaczęli emigrować do USA na początku dwudziestego wieku, głównie po to, by zbierać makulaturę na Lower East Side na Manhattanie, mafia podążyła za nimi, by dalej ssać ich krew. Podczas prohibicji mafia wypełniała niewątpliwie użyteczną społecznie misję, ale kiedy zakaz zniesiono, powróciła do szantażowania i zastraszania ludzi na pełnym etapie. Entuzjasta historii starożytnego Rzymu, Sal „Mały Cezar” Manzano, zapoczątkował nawet wprowadzenie prywatnej armii, wykorzystując zitalizowane rzymskie nazwy dla szarzy, takie jak *capodecini* czy *consiglieri*, a życie w Nowym Jorku tak zeszło na psy, że aż się federalni zainteresowali. Tym, co uratowało w tamtym czasie mafię, był przemysł śmieciowy.

Z niejasnych powodów, ale prawdopodobnie dlatego, że prywatnym firmom było łatwiej niż państwowym zrzucać nielegalnie śmieci wzdłuż granicy stanu, w 1957 roku Nowy Jork zaprzestał komercyjnego zbierania śmieci. Z dnia na dzień. Po raz pierwszy od stu lat. Nagle każda firma w mieście przebranzowiła się na eksport potężnego, gnijącego produktu, który można było wywozić wyłącznie wielkimi ciężarówkami.

Mafia znalazła się na ciężarówkach od czasów, kiedy obłowiła się na makulaturze, i lubiła je. Ciężarówki są powolne i łatwo je wytropić, mają niewielką załogę, której można bez trudu przypierdolić. W połowie lat sześćdziesiątych mafia trzymała w garści związki zawodowe śmieciarzy, kontrolowała je, a one strajkowały przeciwko firmom śmieciarskim będącym własnością mafii, która spokojnie patrzyła, jak burmistrz dwoił się i troił, by

zebrać fundusze na zaprzestanie strajku z powodu groźby epidemii i plagi szczurów.

Tak się działo do lat dziewięćdziesiątych. Mnóstwo się słyszy na temat garniturów od Armaniego i Johna Gottiego Dapper Don, znanego jako Teflonowy John, oraz szacunku i jak to - cha, cha, Tony Soprano udaje, że robi w śmieciach - i tak dalej, ale przez całe lata to właśnie śmieci utrzymywały przy życiu Pięć Rodzin. Narkotyki, morderstwa, dziwki - nawet hazard, zanim weszli w to Indianie - były tylko pobocznymi interesami.

Jednak w końcu Rudy Giuliani postanowił, że co za dużo, to niezdrowo, i sprowadził Waste Management, międzynarodową firmę tak przerażającą, że przy niej mafia wyglądała jak grupa pensjonarek, w przetargach, w których uczestniczył JonBenet Ramsey. Grzechy Waste Management były na tyle ciężkie, żeby raz na zawsze wprowadzić zmiany w SEC\*, [Security and Exchange Commission - niezależna agencja federalna mająca za zadanie zabezpieczanie inwestycji (przyp. tłum.)] między innymi, ale jej pojawienie się na nowojorskiej scenie śmieciowej oznaczało kolejną serię złych wiadomości dla mafii.

Prawodawstwo jednak ponownie zapobiegło jej faktycznej agonii. Tym razem na poziomie państwowym.

Przez wiele lat mafia robiła przekręty, otwierając lipne stacje benzynowe przez podstawionych właścicieli, które później zamykano, kiedy przychodził czas zapłaty podatku stanowego. Ponieważ podatek wynosił ponad dwadzieścia pięć centów za galon, pozwoliło im to na wykopanie każdego uczciwego konkurenta z interesu, który był lukratywny, ale wymagał pewnego

przeście, gdyż między poszczególnymi bankructwami musiały upłynąć minimum trzy miesiące. Wtedy państwo zmieniło prawo i teraz to już hurtownicy, a nie detaliści musieli płacić podatek od benzyny.

Chodziło o to, żeby ukrócić Przekręt Paliwowy, ale w wyniku tych działań pojawił się jeszcze bardziej lukratywny Nowy Przekręt Paliwowy - który, jeśli jesteście w stanie w to uwierzyć, został wymyślony jednocześnie przez Lawrence'a Iorizza i rosyjskiego mafiosa „Małego” Igora Roizmana, tak jak Newton i Leibniz jednocześnie wpadli na rachunek różniczkowy.

Przy Nowym Przekręcie Paliwowym otwierało się i zamykało lipne hurtownie, trzymając stacje paliw otwarte przez cały rok, czyli pełna bonanza. Brzmi to bardzo prosto i nawet idiotycznie, ale pod koniec 1995 roku Sycylijczycy i Rosjanie wyprowadzili z samego tylko Nowego Jorku i New Jersey łącznie czterysta milionów dolarów.

Jednak na dłuższą metę prowadzenie przez Sycylijczyków i Rosjan tego samego interesu okazało się bardzo niezdrowe. Sycylijczycy po wiekach kultywowania kultury szakala i ścierwa rozleniwili się tak samo jak Brytyjczycy, snując te same marzenia o mieszkaniu w pałacu w otoczeniu służby. Rosjanie, których niedawno odarto z iluzji zorganizowanego społeczeństwa, chcieli tego samego, ale byli gotowi się dla tego marzenia zaharować na śmierć.

Widać, do czego wszystko zmierzało. Rosjanie w końcu przejęli Nowy Przekręt Paliwowy na wyłączność, tak samo jak przejęli



Coney Island, kolejną kość niezgody w tym sporze. Pozostawało jedynie pytanie, kiedy, jak gwałtownie i z jakimi zyskami wycofają się Sycylijczycy.

Ci Sycylijczycy, którzy widzieli, co się święci, mieli świadomość, że im szybciej, tym lepiej, bo wynegocjowane przejście na z góry upatrzone pozycje było lepsze niż pogrom.

Ci Sycylijczycy, którzy tego nie rozumieli, mieli o wiele ciężej i sprawiali problemy. A Rosjanie mieli dość własnych niesfornych gangsterów. Dlatego też w reformowaniu nowojorskiej przestępczości zorganizowanej istniała potrzeba prostowania przegięć.

Prostowaniem przegięć zajmował się David Locano.

Skończyłem pierwszy rok szkoły w oczekiwaniu na aresztowanie za morderstwo na braciach Virzi. Między innymi dlatego nie zdecydowałem się na pójście do college'u, chociaż głównie z lenistwa. Widziałem to tak, że jestem zbyt doświadczonym wyjadaczem, żeby siedzieć w akademiku i czytać Faulknera, kiedy jakiś fiutek obok będzie szarpał struny gitary akustycznej. I choć miałem świadomość, że zakończenie edukacji wywołałoby oburzenie dziadków, to cały czas wiedziałem, że nie ma już ich na świecie i nic nie może ich oburzyć.

Zrobiłem sobie krótką przerwę od rodziny Locano. Nie pojechałem z nimi do Aruby, chociaż miałem ochotę, i podczas ich nieobecności zamieszkałem w domu dziadków. Podjąłem też

serię nieudolnych i słabych prób oceny, czy mam zamiar jeszcze z nimi przebywać.

Na przykład, kiedy upaliliśmy się z Napletem, zapytałem go, czy sam zamierza wstąpić do mafii. Szliśmy do knajpy, ponieważ zarówno Naplet, jak i ja byliśmy podatni na to, co palacze nazywają „ssaniem”\*. [Rozwiń umysł, ciało podąży za nim, można powiedzieć, ale nie robiłem się od tego gruby, a Naplet i tak już był.]

- Ni chuja, stary - powiedział. - A nawet gdybym chciał, to ojciec by mnie zabił.

- Niech to - stwierdziłem. - A propos, kogo zabił twój stary, żeby się dostać do mafii?

- Nikogo. Ma dyspensę, bo jest prawnikiem.

- Wierzysz w to? Beknął.

- Całkowicie. Stary mi nie ściemnia.

Naplet miał najwyraźniej bardzo dobre układy z ojcem, chociaż, jak twierdził, jedyną książką, jaką w życiu przeczytał, była *Złota gałąź* Jamesa Frazera. Która, pomijając już sam wybór, traktuje głównie o ojcobójstwie i o tym, jak z walki międzypokoleniowej wyłoniły się korzenie naszej cywilizacji. *Złotą gałąź* w prymitywnych społecznościach opisywanych przez Frazera zrywali młodzi niewolnicy, gdy chcieli wyzwać władzę na pojedynek na śmierć i życie, by przejąć władzę.

Naplet jednak zarzekał się, że nie ma wobec ojca żadnych wrogich zamiarów. Powiedział tylko, że wybrał *Złotą gałąź*, bo

czytał ją Kurtz w *Czasie apokalipsy*, i nie mógł się od niej ode-  
rwać, bo zawarte w niej myśli na temat wolności i nowoczesno-  
ści trafiły do niego.

- Na przykład - powiedział kiedyś, kiedy przypadkiem wraz  
z nim i jego ojcem jechaliśmy dokądś samochodem Davida -  
ludzie pieprzą ciągle, jak to ich prymitywna reakcja walki lub  
ucieczki jest współcześnie tłumiona i jakiego mają przez to smu-  
ta. Ale ja mogę strzelać z p o m p k i , jadąc a u t o s t r a d ą . Nikt  
w historii nie był tak wolny.

- Nie można strzelać z pompki w bezruchu - skomentował  
jego ojciec.

Moje relacje z Davidem Locano wydawały się nieco odreal-  
nione. Nalegał, żebym przyjął czterdzieści tysięcy dolarów za  
zabicie Virzich.

- Możesz je wyrzucić, jak chcesz - powiedział.

Później już nigdy o tym nie wspominał, nawet gdy zo-  
stawaliśmy tylko we dwóch.

Jednak pewnego razu, kiedy się pojawiłem, a Naplet poszedł  
wypożyczyć film, pani Locano zaś też wyszła, nie wiem dokąd,  
usiedliśmy przy stole w kuchni i zapytał mnie, czy chcę kolejną  
robotę.

- Dzięki, nie - odparłem. - Myślę, że skończyłem z tym te-  
matem.

- To nie jest ten temat.

- A co takiego?

- Chodzi o rozmowę.

Nie ponaglałem go.

- Jeden pieprznięty Ruski nie chce gadać przez telefon -  
mówił dalej. - Chciałbym, żebyś odnalazł pewnego gościa w

Brighton Beach i zapytał, co takiego ma mi do powiedzenia.

- Zupełnie nie znam Brighton Beach - powiedziałem.
- To proste - stwierdził Locano. - Szczególnie jeśli nie jest się mną. Brighton Beach jest niewielkie. Jedziesz Ocean Avenue, pytasz o bar Shamrock, wszyscy tam znają tego Ruska. To ważna figura.
- Czy to niebezpieczne?
- Pewnie nie tak bardzo jak sama droga na miejsce.
- Aha - mruknąłem.

Powinienem przerwać na chwilę i skupić się na zjawisku, na tle którego wielu przestępców ma bzika, czyli na p r z e k a b a - c e n i u .

Szablonowym przykładem jest tu kandydat na alfonsa, który musi znaleźć kobietę, która będzie dla niego pracować. Żadna profesjonalistka na to nie pójdzie, bo ma już swojego opiekuna. Dlatego zwykle uderza do panny z dzielnicy, im bardziej skryta i ciamajdowata, tym lepiej, i wali do niej w konkury. Odgrywa żarliwe uczucie, a później pewnego dnia odstawia komedię, mówiąc jej, że wpadł w straszne kłopoty i musi szybko zdobyć pieniądze, a jego kumpel jest skłonny zapłacić stówę za dymancko z nią. Gdy dziewczyna już to zrobi, odgrywa napad odrazy wobec niej, bije ją i poniża, a później daje prochy, by ukoić jej

ból. Kiedy dziewczyna się wciąga i zaczyna pracować regularnie - czyli została „przekabacona” - on idzie do Panny nr 2 i odstawia ten sam numer. Jesteśmy doprawdy uroczym gatunkiem.

Dzisiaj z przekabacaniem można się spotkać w wielu różnych sytuacjach. Najdobitniej widać to w więzieniach, gdzie chodzi o to, by jak najszybciej przejść od częstowania kolegi z celi fajkami, by stał się częścią więziennej społeczności, w zamian za baterię-paluszka czy trochę hery. W większości przypadków dzieje się to o wiele bardziej niepostrzeżenie i ma związek z tym, jak ludzie wkraczają, zostają wprowadzeni czy też wtajemniczeni w życie przestępcze.

Wszystko to wiedziałem. Czytałem *Daddy Cool*. Wiedziałem, że David Locano właśnie mnie przekabaca. I mimo że to zadanie, które właśnie przyjąłem, może i nie zakładało użycia przemocy, to sama zgoda oznaczała, iż później będę skłonny do jej zastosowania.

Jednak pozwoliłem sobie na luksus zignorowania tego faktu.

Pojechałem na Coney pewnej słonecznej soboty. Włożyłem do kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego jedną z moich srebrzystych czterdziestekpiątek z drewnianymi okładkami bez tłumika i nissanem dziadków przejechałem przez most Georgea Washingtona na Manhattan, a następnie wyjechałem stamtąd przez Manhattan Bridge. Autostradą przejechałem przez całą Brooklyn. Mogłem zaparkować przy Akwarium w połowie wyspy,

podając jedynie nazwisko Davida Locano. Nawet nie sprawdzili, czy jestem na liście.

Byłem w Akwarium jako chłopak, a także na zachód za promenadą w starym wesołym miasteczku. Wschodni kierunek w samym Brighton stanowił dla mnie zagadkę.

Panował tam straszny ścisk. Przebywali tu młodzi blondyni wyglądający na bandziorów, we fluoroscencyjnych garniturach tak żarówiastych, że aż kłuły w oczy, i starzy ludzie na ławkach w kostiumach kąpielowych i skarpetkach, z ręcznikami na ramionach, mimo że znajdowali się dwieście metrów od wody. Liczne hiszpańskojęzyczne rodziny w letnich strojach i ortodoksyjni żydzi w zimowych ubraniach. Wszędzie ktoś młócił swoje pociechy.

Plaża kończyła się łukiem przy wejściu do Małej Odessy. Budynki wyglądały jak dekoracje z filmu o biednych czynszówkach. Tory ciągnęły się wiaduktem nad Ocean Avenue, a w cieniach pod nimi widać było starożytne witryny sklepowe albo z oryginalnymi szyldami, albo z nowymi wypisanymi cyrylicą. Po przejściu kilku przecznic odnalazłem bar Shamrock. Nad wejściem wisiał wyłączony neon w kształcie koniczynki. Wszedłem do środka.

W Shamrock stał cedrowy kontuar, podłoga była zrobiona z niepolakierowanych desek, a całość cuchnęła piwskim, które pamiętało jeszcze czasy Irlandczyków, co otworzyli bar, choć oświetlenie było lepsze, niż należało się spodziewać, a na niewielkich kwadratowych stolikach leżała nowa kraciasta cerata.

Dwa z nich były zajęte, jeden przez kobietę i mężczyznę, a drugi przez dwóch mężczyzn.

Kontuar ciągnął się od drzwi. Za kontuarem opierała się leniwie o ścianę młoda blondynka niewyglądająca na starszą ode mnie. Miała wyraźne cienie pod oczami i była szczupła, jakby nie załapała się na kilka kluczowych dla rozwoju człowieka lat dobrego odżywiania w Starym Kraju.

Jednak dobrze mówiła po angielsku.

- Jeśli chce pan coś zjeść, zapraszam do stolika.

- Poproszę tylko o wodę sodową - powiedziałem. - Szukam Nicka Dzelanego.

Oderwała się od kontuaru i zbliżyła w moją stronę.

- Kogo?

- Nicka Dzelanego - powtórzyłem, tym razem akcentując wyraźnie „D”. Poczułem, jak się czerwienię. Samo słowo „Dzelany” jest wystarczająco trudne, kiedy człowiek stara się skupić.

- Nie znam takiego - odparła. I dodała po chwili: - Dalej chce pan tę wodę?

- Taa, jasne. Czy jest tu jeszcze jakiś inny bar o nazwie Shamrock?

- Bo ja wiem.

Kiedy podała mi wodę w kretyńsko wysokiej szklance, spytałem:

- A może ktoś wie?

- O czym?

- Coś o Nicku Dzelanym - powiedziałem to na tyle głośno, żeby usłyszeli goście przy stolikach. - Mówiono mi, że ludzie go tu znają.

Barmanka udawała, że się zastanawia, następnie wzięła długopis z kasy. Przyniosła mi go wraz z serwetką.

- Proszę drukowanymi.

Napisałem. Byłem więcej niż pewien, że nazwisko brzmiało tak, jak mi je przekazał David Locano, ale z każdą chwilą pewność mnie opuszczała. Może Locano sam je źle zapamiętał.

Barmanka zabrała kartkę do telefonu na końcu baru i zadzwoniła. Mówiła bardzo długo po rosyjsku. W pewnym momencie cała się wyprężyła i wydawało mi się, że kogoś przeprosza. Ani razu nie spojrzała w moją stronę.

Wróciła.

- Dobra, dowiedziałam się kto to taki. Mam pana zabrać. Mimo że jestem w pracy.

- Przepraszam - powiedziałem. Wstałem ze stołka. - Ile jestem winien?

- Cztery pięćdziesiąt.

Niech jej będzie. Były to pieniądze za Virzich. Zostawiłem dychę. Barmanka nawet na nią nie spojrzała, tylko uniosła deskę i wyszła zza kontuaru.

- Tędy. - Wskazała, prowadząc mnie na zaplecze.

Minęliśmy miniaturową kuchnię, gdzie na odwróconym wiadrze siedziała tłusta blondyna z papierosem w ustach i czytała książkę pisaną cyrylicą. Barmanka otworzyła trzy zamki ryglujące drzwi od środka i wyprowadziła mnie do niewielkiego zaułka.

Niemal natychmiast potknęła się o coś i upadła, trzymając się za kostkę. Skoczyłem do niej i podtrzymałem. Myślałem, choć nie dość szybko.

Usłyszałem jakiś odgłos za plecami i coś spadło mi na głowę.



Zdołałem się obrócić w miejscu i potknąwszy się o barmankę, zatrzymałem się na jednej nodze.

Ale tu już czekało na mnie trzech, a jeden z nich zdążył mi się dobrać kastetem do czaszki.

Zemdlałem tak szybko, że nawet nie poczułem, jak padam na przeciwną ścianę.

Zamrugalem, odzyskując przytomność, a ślepie mi łzawiły, mimo iż czułem się, jakbym miał klapki na oczach. Miałem wrażenie, jakby mnie ktoś zawiesił twarzą do dołu za ręce i nogi. Opanowało mnie niewyobrażalne pragnienie. Czułem też, jakby ktoś stał mi na głowie, starając się odkopnąć czerep.

Okazało się, że jedynie pragnienie i ból głowy są prawdziwe. Kiedy wydmuchałem gila z nosa i wycisnąłem łzy z oczu, spostrzegłem, że znajduję się na parterze wypalonego budynku, którego cała jedna ściana legła w gruzach. Spoglądałem na ruiny usiane pojedynczymi cegłami i pokruszonym betonem, rozgrzane gorącym światłem padającym z błękitnego nieba.

Nie byłem też zawieszony, choć górna połowa ciała ciążyła ku przodowi. Siedziałem na drewnianym krześle z rękami i nogami przyklejonymi do niego taśmą.

Usłyszałem jakieś zdania po rosyjsku i ktoś palnął mnie w ranę z tyłu głowy. Głupi ból - głupi, ponieważ powierzchniowy, ale i tak krzyknąłem - pobiegł od prawej kostki, także wokół głowy do prawego oczodołu. Padły dalsze słowa po rosyjsku.

Stanęli w polu mego widzenia. Trzech facetów z zaułka - jeden wciąż miał na rękę kastet z przyklejonymi moimi włosami - oraz jeden nowy.

Nowy szczególnie wyglądał na cudzoziemca, w taki sposób, że człowiek się zastanawia, jak twarz się zmienia pod wpływem innego języka, a może to od picia wody z metalami ciężkimi. Miał spiczasty podbródek i szerokie, wysokie czoło, tak że jego twarz tworzyła trójkąt skierowany ku dołowi\*. [Jak w przypadku kobiecej tarczy, jeśli ktoś pamięta.]

Kiedy mój wzrok przywykł do jego widoku zasłaniającego mi światło, dostrzegłem także, że na jego zadziwiająco młodzieńczej twarzy widniały głębokie, starcze bruzdy. Stanowiły dopełnienie całości.

- Witam ciebie - powiedział. - Czy ty mnie szukasz?

Oparłem się o krzesło, żeby mu się przyjrzeć. Krzesło za-skrzypiało i zmieniło geometrię pod moim ciężarem i momentalnie poczułem się lepiej.

- Szukałem faceta o nazwisku Nick Dzelany - wyjaśniłem.
- To ja jestem ten facet.
- Czy jest coś, co chciałbyś powiedzieć Davidowi Locano?
- Davidowi Locano?
- Tak.

Dzelany rozejrzał się po kompanach i wybuchnął śmiechem.

- Powiedz mu, żeby się pierdolił - zwrócił się do mnie. - Tak

w ogóle sam mu to powiem, wysyłając mu twoją głowę. Właśnie to lubię robić. Mówił ci o tym?

- Nie, nie mówił. - Nie zauważyłem też, dopóki nie padły te słowa, że Dzelany ma w ręku maczetę. Uderzał ostrzem o udo. Wolno ją uniósł i przytknął mi płasko do szyi.

A dalej poszło tak:

Pomyślałem: Muszę coś zrobić.

Poczułem, jak impuls wędruje w dół mego kręgosłupa. Starałem się nad tym zapanować. Nie byłem gotów. Wtedy uświadomiłem sobie, że jest za późno, by się powstrzymać, i że gdy to zrobię, wszystko spierdole. Więc dałem się ponieść.

Wstałem z krzesła, rozwalając je, wyciągając ramiona na boki i prostując nogi. Dzelany stał wprost przede mną, a czubek jego głowy znalazł się poniżej mego mostka. Posłałem mu trzy plaskacze.

Potrójny plaskacz pochodzi z uroczej sztuki walki zwanej kempo. Składa się dłonie jak do klaskania, ale prawą nieco wyżej niż lewą i nieco szybciej. I tak kiedy policzek z prawej dosięgnął Dzelanego, drugi już spadał z lewej strony. Następnie dostał ponownie z prawej wierzchem dłoni. Szybkość uderzeń ma zdezorientować przeciwnika - żeby się za długo nie zastanawiać, jak przy próbie powstrzymania lwa za pomocą krzesła wystawionego w jego stronę, kiedy umysł się zupełnie wyłącza.

Jednak nie był to klasyczny potrójny plaskacz. Po dwóch policzkach nie uderzyłem faceta wierzchem otwartej dłoni, tylko zaciśniętą pięścią w skroń. Nigdy tego nie róbcie. Gwarantowane, że gość gruchnie o głębę, a można też zabić. Ten cios wykluczył Dzelanego z walki.

Skoczyłem naprzód w stronę kolesia z kastetem. Wciąż miałem paskudny nastrój, więc walnąłem go pięścią w twarz.

Zatoczył się w tył, ale na tym polega piękno tego ciosu: gdy cel stara się zejść z linii uderzenia, twoja pięść (noga czy cokolwiek innego) strzela zarówno do przodu, jak i w dół, więc i tak go dopadnie. W tym wypadku był to prawy obojczyk, który nawet się nie wygiął, tylko wbił się w jednej trzeciej w pierś po ciosie, który powalił faceta na ziemię.

Mogłem to lepiej rozegrać strategicznie, ponieważ miałem teraz jednego po prawej, a drugiego po lewej stronie, a żaden z nich nie stał wystarczająco blisko. Ale sam fakt, że było ich dwóch, działał na moją korzyść. Ludziom, którzy nie są biegli w skoordynowanej walce, zawsze gorzej idzie starcie w grupie, bo stają z boku i czekają, aż kumpel odwali za nich brudną robotę.

Odwróciłem się do tego po lewej. Odskoczyłem od niego, przeskakując przez szczątki krzesła, i jak koń kopnąłem faceta stojącego za mną w splot słoneczny\*, posyłając gościa na ścianę metr za nim. [Tych, którzy czytają tę książkę z atlasem anatomii Graya, informuję, że w medycynie przez ostatnich kilkanaście lat to miejsce zwie się *celiac plexus*. Mniej więcej od czasu, odkąd ostatnia osoba przeczytała atlas Graya.]

Facet, na wprost którego dalej stałem, zaczął wyciągać broń ze skórzanej kurtki w chwili, kiedy moje przedramię wraz z przylepionym do niego oparciem krzesła zakleszczyło się na jego tchawicy i przycisnęło do ściany. Kiedy go puściłem, opadł na kolana i charczał paskudnie, jednak niezbyt długo.

Podniosłem jego broń, drogiego glocka, i zanim się zorientowałem, że nie ma blokady, strzeliłem każdemu gnojowi w łeb. Zabrałem im portfele, żeby wiedzieć, z kim miałem przyjemność, a kiedy ich przeszukiwałem, znalazłem u tego z kastetem moją czterdziestkępiątkę. No jasne. Nie można zgubić niczego, co jest tak paskudne.

Dłużej trwało wyplątywanie się z taśmy i kawałków drewna niż potrojenie liczby trupów na moim koncie.

O czwartej po południu zadzwoniłem do drzwi domu rodziny Locano. Pani Locano otworzyła i krzyknęła. Wiedziałem dlaczego, bo widziałem siebie w lusterku wstecznym po drodze do miasta, po tym jak unikając promenady, wróciłem do Akwarium z Flatbush Flatlands. Wyglądałem, jakbym uciekł rzeźnikowi spod topora.

- O mój Boże, Pietro! Wchodź!
- Nie chciałbym tu niczego zakrwawić.
- A kogo to...!

Pojawił się David Locano.

- Jezu, chłopie! - wykrzyknął. - Co się stało?

Razem zaprowadzili mnie do środka, co mi pasowało, bo nie musiałem dotykać ścian.

- Co się stało? - powtórzył Locano.

Spojrzałem na panią Locano. Locano powiedział:

- Kochanie, przepraszam cię.
- Dzwonię po karetkę - oznajmiła.
- Nie rób tego - wykrzyknęliśmy zgodnym chórem.

- Musi obejrzeć go lekarz!
- Zadzwońię po doktora Campbella. Przynieś to badziewie do sypialni.

- Jakie znowu badziewie?

- Bo ja wiem, skarbie? Ręczniki i inne pierdoły. Proszę.

Wyszła. David Locano przysunął krzesło od drewnianego biurka w holu, na którym kładli listy, żebym nie usiadł na meblach z salonu.

Kucnął przy mnie i wyszeptał:

- Co się tam stało, do diabła?

- Pytałem o Dzelanę. Wystawili mnie. Trzech typów i on. Mam ich portfele.

- Masz ich...?

- Zabiłem ich.

Locano patrzył na mnie przez chwilę, po czym serdecznie mnie uściskał.

- Pietro, wybacz. Tak mi przykro. - Cofnął się i spojrzał mi w oczy. - Dobrze się spisałeś.

- Wiem - odparłem.

- Obiecuję, że dostaniesz za to dołą.

- To mi zwisa.

- Dobrze się spisałeś - powtórzył. - Jezu. Myślę, że zaczyna ci kurewsko dobrze iść w tym fachu.

Był to niezwykle ciekawy moment mojego życia. Chwila, w której powinienem powiedzieć: - „Spadam stąd” albo „Zesrałem

się ze strachu” - i dodać: „Nigdy już tego nie zrobię”. Ale w którym wybrałem jednak żalosne przywiązanie do rodziny Locano i błyskawicznie rozprzestrzeniające się w moim organizmie uzależnienie od rozlewu krwi.

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj - powiedziałem.
  - Nie kłamałem - zaczął Locano.
  - Pierdol się. Jak to zrobisz i zabiję niewinną osobę, to zaraz potem przyjdę po ciebie.
  - Naturalnie - odparł.
- Już zaczęliśmy negocjować.

**O** siódmej czterdzieści dwie znów zasypiam w fotelu i walę głową o ścianę. Jest to ciekawym dowodem na to, że bez względu na poziom stresu nic nie jest w stanie mnie obudzić na odprawie.

Odprawa to zebranie dużej grupy ludzi w jednej z sal oddziału, na którym po kolei przegląda się listę pacjentów - „czy aby na pewno wszyscy jesteśmy na tej samej stronie?”- aby zaspokoić prawny wymóg i dopilnować, żeby osoba kompetentna do podejmowania decyzji o leczeniu pacjentów przynajmniej dowiedziała się o tym, co już i tak zostało wykonane.

Taką osobą jest lekarz prowadzący, doktor z realu, który pojawia się i kontroluje oddział przez godzinę dziennie na miesiąc, w zamian za co może nazywać się wykładowcą jakiejś prestiżowej nowojorskiej szkoły medycznej, która, o ile mi wiadomo, nie ma nic wspólnego z Manhattan Catholic. W trosce o zachowanie właściwej terminologii opieki medycznej można powiedzieć, że lekarz prowadzący jest osobą najrzadziej obecną na oddziale.

Akurat znam tego prowadzącego. Ma sześćdziesiątkę. Zawsze nosi pysznie wyglądające, drogie buty, ale naprawdę podziwiam



go za to, że zwykle na pytanie, jak się ma o poranku, odpowiada:

- Wybornie. O dziewiątej wracam do Bridgeport.

Teraz podpira głowę jedną ręką, a fałdy skóry na jego twarzy zwisają jak rogi obrusa ze stołu. Ma zamknięte oczy.

Pozostali w pomieszczeniu to: stażystka, taka jak Akfal czy ja, ale z drugiego końca szpitala (młoda Chinka Zhing Zhing, która czasami ma taką depresję, że trzeba jej rozplątywać kończyny, bo sama nie ma siły), połączone siły czterech studentów i nasza ordynator. Mamy salę dla siebie, bo wykopaliśmy stado pacjentów w szlafrokach, którzy oglądali tu telewizję w nadziei, że umrą gdzieś z dala od łóżek szpitalnych. Sorka, brachole. Zaw-sze jeszcze macie korytarz.

Ależ jestem, kurwa jego mać, zjebany.

Jeden ze studentów - nawet nie moich, gość od Zhing Zhing - czyta słowo w słowo niekończącą się, zagmatwaną listę wyników testów wątrobowych. Właściwie nie trzeba było ich zlecać. Pacjent ma wadę serca. A skoro wypadły w normie, to wydawałoby się, że student medycyny powinien przynajmniej oszczędzić nam wysłuchiwanie szczegółów.

Jednak nikt nie krzyczy i nie protestuje.

Mam halucynacje na jawie, widzę, jak na jednej ze ścian zaczyna rosnąć mech, a potem znów zapadam w drzemkę. Staram się więc posłużyć starą sztuczką z jednym otwartym okiem - tym, które widzi pani ordynator - w nadziei, że moja prawa półkula trochę sobie odpocznie. Znów walę głową w ścianę - musiałem odpłynąć.

Jest już siódma czterdzieści cztery.

- Czy pan się nudzi, doktorze Brown? - pyta pani ordynator.

Pani ordynator odbębniła swoje na tym stanowisku, ale postanowiła zostać w ManCat jeszcze rok, co, jak sędzę, nazywa się „syndromem sztokholmskim”. Pod kitlem ma seksowny kostium, ale niestety, na twarzy tę samą minę, która pasuje do jej typowej zaczepki: „Wysrałeś mi się na buty?”

- Nie bardziej niż zwykle - odpowiadam, starając się zetrzeć dłońmi sen z twarzy. Zauważam, że na tej ścianie naprawdę rośnie mech, chociaż moja wizja wyolbrzymiła tę kolonię.

- Może zechce nam pan coś powiedzieć na temat pana Villanovy.

- Jasne. A co państwo chcieliby wiedzieć? - mówię, zastanawiając się, kim jest pan Villanova. Przez chwilę się martwię, czy nie jest to aby jeden z przydomków Squillantego.

- Wiem, że zaordynował pan tomografię klatki piersiowej i pośladków.

- A tak. Dupuszczak. Muszę sprawdzić, jak wyszły.

- Później.

Znów siadam. Wycieram nos lewą dłonią, by odwrócić uwagę od prawej dłoni wędrującej do bipera.

- Facet ma ból prawego pośladka i okolicy lędźwiowej pomimo podania leków przeciwbólowych\* - mówię. - Zdaje się, że ma też gorączkę.

[Jakby was to obchodziło.]

- Jego wyniki są w normie.

- Taa, zauważyłem.

Mój prawy kciuk tak szybko muska przycisk bipera, że sam bym tego nie zauważył. Kiedy rozlega się pikanie, podrywam się na równe nogi, spoglądając na wyświetlacz.

- Kurde. Muszę lecieć.

- Proszę zostać do końca odprawy - mówi pani ordynator.

- Nie mogę, pacjent czeka - odpowiadam. Co jest nie tyle kłamstwem, ile nadinterpretacją.

Mówię do moich studentów:

- Niech jedno z was sprawdzi statystykę resekcji żołądka dla rakowych komórek sygnetowatych. Do zobaczenia później.

I tak po prostu jestem wolny.

Jednak zbyt wolno myślę, by rozwikłać problem ze Squillan-tem, rozkruszam więc moxfane w palcach i wciągam specyfik nosem, wpychając kciuk tak głęboko, jak tylko pozwala na to anatomia.

Moje nozdrza płoną żywym ogniem i na chwilę tracę wzrok. Przywraca mnie do życia żołądek, wydając z siebie serię coraz szybszych mechanicznych dźwięków.

Muszę coś zjeść. Pewnie gdzieś w szpitalu firma Martin-Whiting Aldomed serwuje darmowe śniadanie, ale nie mam na to czasu.

Na stojaku na brudne tace przy windzie towarowej dostrzegam nieotwartą plastikową miskę z płatkami kukurydzianymi

i w miarę czystą łyżkę. Nie ma mleka, ale jest połowa ćwiartki z zawiesiną magnezową. Która, co stwierdzam z niejakim rozgoryczeniem, w pewnych okolicznościach jest niezastąpiona.

Zabieram to wszystko do sali, w której przy drzwiach stoi puste łóżko, i siadam na skraju materaca z plamami moczu, by sobie podjeść.

Właśnie zabieram się do pałaszowania, kiedy zza kotary w drugim końcu sali odzywa się kobiecy głos:

- Kto tu jest?

Najpierw kończę posiłek - zabiera mi to jakieś cztery sekundy - zagryzam kolejnym moxfane'em i wstaję, żeby przejść do drugiego łóżka.

Leży na nim młoda kobieta. Piękna, dwadzieścia jeden lat.

Piękno jest rzadkością w szpitalu. Jest taka młoda.

Ale nie to mnie powstrzymuje.

- Kurwa - mówię. - Przypominasz mi kogoś.

- Dziewczynę?

- Taa.

Podobieństwo jest niewielkie - chodzi o te ciemne figlarne oczy czy może coś innego - ale w moim obecnym stanie wstrząsnęło mną niezłe.

- Żle się skończyło? - pyta kobieta.

- Nie żyje - mówię.

Z jakiegoś powodu myśli, że żartuję. Może moxfane robi sobie poligon na mojej twarzy albo co. Mówi:

- Więc teraz zacząłeś pracować w szpitalu, by ratować ludzi?

Wzruszam ramionami.

- Ale wiocha - rzuca.
- Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, ilu ludzi posłałem na tamten świat - odcinam się. Myślę sobie: Jejku. Może powinienem wyjść z sali i puścić wodze lekomańskiej elokwencji gdzieś indziej.

- Błędy w sztuce lekarskiej czy też jako seryjny morderca?
- Trochę tego, trochę tamtego.
- Jesteś pielęgniarzem?
- Jestem lekarzem.
- Nie mówisz jak lekarz.
- A ty nie wyglądasz na pacjentkę - zauważam.

To prawda. Przynajmniej wizualnie jest okazem zdrowia.

- Wkrótce zacznę wyglądać.
- Jak to?
- Nie jesteś moim lekarzem.
- Nie, jestem ciekawski.

Odwraca wzrok.

- Dziś po południu odetną mi nogę.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Później mówię:

- Oddajesz kończynę na przeszczepy, mam rację?

Śmieje się nieco chropawo.

- Taa, oddaję, do spalarni.
- A co ci się w nogę stało?
- Mam raka kości.
- Gdzie?
- W kolanie.

Ulubiony obszar kostniakomięsaka.

- Mogę zerknąć?

Odrzuca koc. Wraz z nim rąbek koszuli, dzięki czemu przez sekundę widzę jej bobra. Skromny typ: meksykański bezwłosy bóbr. Widzę niebieską nitkę tamponu. Szybko zakrywam jej krocze kocem.

Spoglądam na kolana. Prawe jest wyraźnie opuchnięte, jeszcze bardziej od tyłu. Rozmiękle pod dotykiem.

- Fuj - mówię.
- Znam tę płytę.
- Kiedy robiłaś biopsję?
- Wczoraj.
- I co znaleźli?
- Nazwali to „krwawiącą bezpostaciową tkanką gruczołową”.

Fuj do kwadratu.

- Od jak dawna to masz?
- Tym razem?
- Jak to tym razem? - pytam.
- Pierwszy raz miałam to jakieś dziesięć dni. Ale to było trzy miesiące temu.

- Nie rozumiem. Cofnęło się?
- Taa. I wróciło tydzień temu.
- Aha - mruczę. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.
- Mówili, że to rzadki przypadek.
- Ale nie chcę sprawdzić, czy znów się nie cofnie?
- Rak tego rodzaju jest zbyt groźny.
- Kostniakomięsak?
- Taa.
- To prawda.

Jeśli to jest kostniakomięsak. Ale co ja tam, kurwa, wiem?

- Sprawdzę to - mówię do niej.
- Nie musisz. To potrwa jeszcze tylko kilka godzin.
- Mimo to sprawdzę. Potrzebujesz jeszcze czegoś?
- Nie. - Waha się. - Chyba że chcesz mi zrobić masaż stopy.
- Mogę ci zrobić masaż stopy.

Czerwieni się jak policyjny kogut, ale wzrok wciąż wbija we mnie.

- Naprawdę?
- Dlaczego nie? - Siadam na brzegu łóżka i biorę jej stopę do ręki. Zaczynam naciskać kciukiem na ścięgno u podbicia stopy.
- O kurwa - mówi. Zamyka oczy, do których napływają łzy.
- Przepraszam - mówię.
- Nie przerywaj.

Jadę dalej. Po chwili mówi do mnie tak, że ledwo ją słyszę.

- Polizesz ją? Podnoszę na nią wzrok.
- Co mam polizać?
- Stopę, ty zboczeńcu - mówi wciąż z zamkniętymi oczami.

Unoszę więc jej stopę do ust i ciągnę językiem po podbiciu.

- I nogę - dodaje.

Wzdycham. Liżę wnętrze jej nogi niemal do krocza.

Później wstaję. Zastanawiam się przelotnie, jak wyglądałoby moje lekarskie życie, gdybym zachowywał się profesjonalnie.

- W porządku? - pytam.

Placze.

- Nie - odpowiada. - Nie w porządku. Upierdolą mi dzisiaj nogę.

- Przykro mi. Chcesz, żebym jeszcze wpadł do ciebie?

- Tak.

- No to wpadnę.

Zastanawiam się, czy nie dodać: „Jak jeszcze będę w pobliżu”, ale postanawiam tego nie mówić. Nie chcę nikogo robić w balona.



## 8

**Z**imą 1994 roku rodzina Locano pojechała znów na narty, tym razem do Beaver Creek czy czegoś takiego w Colorado. Zaprosili mnie też na tę wyprawę. Odmówiłem i pojechałem do Polski. Ale klnę się na Boga, że nie pojechałem do Polski, żeby zabić Władysława Budka, człowieka, który sprzedał moich dziadków do Auschwitz.

Pojechałem z wiele gorszego powodu. Pojechałem tam w nadziei, że mieszka tam istota nazywana „Losem”, a skoro nie planowałem niczego, Los albo naprowadzi mnie sam na Budka, albo nie, i tym samym utwierdzi mnie w decyzji zostania nieoficjalnym zabójcą na usługach Davida Locano. Kimś, kogo będzie mógł wykorzystać do sprzątnięcia zarówno Włochów, jak i Rosjan, oraz jako swoistego ochroniarza Napleta. A tymczasem mogłem wykorzystać odmowę udziału w narciarskiej eskapadzie, by udowodnić sobie, że byłem bliżej z dziadkami niż z rodziną Locano.

Pod względem medycznym dziwaczność mojej decyzji, by dopuścić ponadnaturalną, fikcyjną rzeczywistość do kierowania moim życiem - jakby wszechświat miał coś w rodzaju sumienia

czy planu - nie świadczyła wcale, że byłem chory psychicznie. Podręcznik diagnostyki i statystyki, który opisuje rozmaite zaburzenia psychiatryczne w najdrobniejszych szczegółach, pisze o tym jasno i wyraźnie. Mówi o tym, że przeświadczenie o własnych urojeniach musi być „oparte na błędnym wnioskowaniu dotyczącym zewnętrznej rzeczywistości wbrew temu, co twierdzą wszyscy inni, i pomimo tego, co składa się na niepodważalny i oczywisty dowód czy też dowody, że jest inaczej”. Ze względu na liczbę osób, które grają w totka, pukają w niemalowane, omijają czarne koty czy też czują, że coś się dzieje nie bez ważkiej przyczyny, trudno jest zaszufładować wszelkie formy mistycznej wiary jako patologię.

Oczywiście podręcznik nawet nie próbuje zdefiniować terminu „głupi”. Według mnie istnieje jakieś jedenaście rodzajów inteligencji i przynajmniej ze czterdzieści rodzajów głupoty.

Większości z nich doświadczyłem na własnej skórze.

Chociaż wydawało się nieprawdopodobne, że w ogóle znajdę Władysława Budka, postanowiłem, że przynajmniej pozwidzam. Za pierwszy cel obrałem sobie dziewiczą puszcę, w której chowali się dziadkowie, kiedy Budek skontaktował się z nimi pierwszy raz. Poleciałem do Warszawy, spędziłem noc w postkomunistycznym parszywym hotelu na Starym Mieście (dzielnica naprawdę nosi nazwę Starego Miasta, jak stolica Starego Kraju), zjadłem jakieś dziwnie wyglądające rurki z mięsem na

śniadanie i pojechałem pociągiem do Lublina. Stamtąd ruszyłem autobusem z grupą przyszczatych szesnastolatek ze szkoły katolickiej, które przez całą podróż gadały o obciążaniu druta. Moje polskie słownictwo - które było gówniane, choć wymowę miałem dobrą - poprawiło się znacznie.

Tymczasem mijaliśmy głównie tory kolejowe i fabryki. Gdybym był Polakiem, mógłbym powiedzieć: „Oczywiście, że nie wiedziałem nic o holokauście! Cały, kurwa, kraj wygląda jak obóz koncentracyjny!”

Ale gdybym był Polakiem, miałbym to gdzieś.

W końcu dotarliśmy do tak wiejskiego miasteczka, że były w nim tylko cztery fabryki. Tam wysiadłem. Do otoczonego polną dróżką lasu wiodła wiejska droga. Sprawdziłem jeszcze raz autobus powrotny, zostawiłem plecak u kobiety na stacji i ruszyłem w drogę.

Czy wspomniałem, jak kurewsko zimno było w Polsce? Naprawdę było zimno jak chuj. Tak zimno, że oczy zachodziły wodą, by nie zamarznąć, policzki tężały, usta się ścigały, a jedyne ciepło płynęło z wizji podkutych butów 6. Armii Hitlera, zostawiających ciepły szlak na ziemi. Było niemal za zimno, by oddychać.

Wybrałem jedno z podejść w las i zapadłem się w tak głęboki i gęsty śnieg, że wydało mi się, iż pływam. Na powierzchni zalegała warstwa lodu, który płatami się odrywał i zsuwał na dół, kiedy przedzierałem się do lasu.

Po kilkunasztu metrach moje oczy przyzwyczyły się do półmroku. Zniknęły wszelkie odgłosy i wiatr też. Z dziwnych wielkich drzew, których nazw nie znałem (choć nie powiem, czybym

był w stanie odróżnić na przykład dąb od innych), wyrastały gałęzie we wszystkich kierunkach. Te najniższe chwyciły mnie za kostki pod śniegiem.

Tak wiele uwagi musiałem poświęcić temu, jak się poruszać, że nie zauważyłem kruków aż do chwili, w której jeden z nich opadł na gałąź na wprost mnie. Dwa inne trzymały się wyżej i mnie obserwowały. Położyłem się na śniegu i zacząłem się im przyglądać. Były to największe dziko żyjące ptaki, jakie widziałem w życiu. Po chwili zaczęły się myć jak koty.

Wziąłem haust rzeńskiego powietrza w płuca i zacząłem się zastanawiać, czy kruki żyją tak długo jak papugi, a jeśli tak, to czy któryś z nich nie żył tutaj już w czasach drugiej wojny światowej. A może nawet pierwszej. Zastanawiałem się, czy moi dziadkowie próbowali je jeść.

Jeśli nie próbowali, to co jedli w tej głuszy? Jak człowiek może w ogóle mieszkać w takich warunkach? Jak tu cokolwiek wypracować, a co dopiero walczyć z Niemcami? Była to całkowicie odrealniona kraina.

W końcu jeden z kruków zakrakał i wszystkie trzy odleciały. Wkrótce później usłyszałem odgłosy maszyn.

Każdy zawróciłby do drogi, tym bardziej że śnieg dostał mi się już do butów. Było to dziwne - nie chodziło o źródło tych dźwięków, ale o to, jak szybko można było przejść przez ten las, jeśli chciało się dokądś dojść. Poszedłem więc za hałasem i zaszedłem głęboko w las.

Hałas się nasilał i zacząłem rozróżniać poszczególne dźwięki maszyn. Wkrótce zobaczyłem szczyty dźwigów. Po chwili przedarłem się przez kolejną zaspę śnieżną i stanąłem na polanie.

Była to niedawno zrobiona polana. Grunt został idealnie splantowany na przestrzeni jakichś stu akrów, a robotnicy w parkach i kaskach o żywych kolorach za pomocą gigantycznych maszyn czyścili obrzeża z drzew, karczowali je i cięli na bale, przygotowane do zabrania na platformach ciężarówek. Czarny dym z tuzina rur wydechowych znaczył białe niebo.

Staralem się porozmawiać z jednym z robotników. Myśle, że powiedział, że są z Veerk, fińskiej firmy przeróbki drewna, ale nie znaleźliśmy wspólnego języka, więc po jakiejś chwili obydwaj wzruszyliśmy ramionami i wybuchnęliśmy śmiechem, no bo co można było, kurwa, innego zrobić.

Nie było mi jednak do śmiechu. Białowieża jest ostatnią częścią puszczy, która kiedyś pokrywała osiemdziesiąt procent powierzchni Europy. Obserwowanie, jak znika jej kolejny fragment, przypominało przyglądanie się karczowaniu pępka świata. Znikał kolejny punkt łączący nas z przeszłością - moich dziadków i innych ludzi. Jeszcze jeden znak, że na początku byliśmy ludźmi.

I jeszcze jeden fragment ulotnej historii, w której można zobaczyć to, co się chciało, albo w ogóle nic.

Wróciłem do Lublina i skierowałem się na południe, by dotrzeć do sedna spraw. Wsiadłem w ekspres do Krakowa, do wagonu sypialnego, co zrobiłem po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w życiu, chociaż nie było tak źle. Na górnej kuszetce odrzuciłem koc, który miał wplecione włosy łonowe w splot, i leżąc

na pościeli w ubraniu, czytałem przy świetle lampki nad głową.

W Lublinie kupiłem kilka książek. Materiał z czasów komunistycznych był zabawny, choć nużący. („Turyści mogą odwiedzić zakłady stalowe imienia Lenina, fabrykę papierosów w Czyżynach i fabrykę nawozów sztucznych w Bonarce!”) Większość współczesnych polskich rzeczy była głupia i nienawistna, na wielu stronach kreowano Lecha Wałęsę na świętego, choć powinni mu pogonić kota za jego zachowanie\*. A to, co było prawdziwe, wywoływało przygnębienie. [Moją ulubioną opowieść o Wałęsie usłyszałem na krótko przed wyjazdem do Polski. Kiedy Wałęsa uświadomił sobie, że przegra w wyborach, oświadczył, że jego przeciwnik jest Żydem z pochodzenia. Później próbował obrócić wszystko w żart, mówiąc: „Ja sam chciałbym być Żydem. Przynajmniej wtedy miałbym dużo więcej pieniędzy”. Zabawny facet!]

„Żydzi ponoszą winę za pożar! Żydzi ponoszą winę za zarazę! Żydzi ponoszą winę za to, że całą Europą władają nienawidzące Żydów skurwysyny!”

Żydzi stanowiący jedną trzecią mieszkańców Krakowa w 1800 roku, jedną czwartą w 1900 roku i zupełnie nieobecni w 1945 roku.

Rankiem po drodze ze stacji kolejowej do hotelu kupiłem bilet autobusowy do Auschwitz.

Oszczędzę wam większości szczegółów.

Auschwitz w czasach pełnej działalności składał się z trzech różnych obozów: obozu śmierci (Birkenau, znanego również

jako Auschwitz II), obozu pracy I.G. Farben („Auschwitz III” albo Monowitz), gdzie pracowali robotnicy przymusowi, oraz połączenia obozu z obozem zagłady, który znajdował się między nimi („Auschwitz I” czy też po prostu Auschwitz). Ponieważ Niemcy wysadzili Birkenau, kiedy uciekali - potwierdzając słowa Platona, że ludzka hańba ma swoje wyłączone źródło w groźbie odkrycia prawdy - a później Polacy ogołocili ruiny z cegieł, główne muzeum znajduje się w Auschwitz I.

Jedzie się tam autobusami, które na zasadzie przeskoku przez historycznego kozła są nowsze od wszelkich autobusów w Stanach Zjednoczonych. Polacy nazywają tę miejscowość Oświęcim - nigdzie nie widać ani jednego drogowskazu z napisem „Auschwitz”. Obszar ten jest uprzemysłowiony i zamieszkały, a budynki mieszkalne znajdują się po drugiej stronie ulicy od wejścia do obozu koncentracyjnego, chociaż przewodniczka informuje po polsku, że dawno by zostały wyburzone pod supermarket, gdyby wojowniczy Żydzi na całym świecie nie robili z tego powodu ceregieli. Rozglądam się, żeby zobaczyć, kto poczuł się urażony tymi słowami, ale jedynymi ludźmi, którzy zgrzytają zębami ze złości, są członkowie chasydzkiej rodziny z tyłu pojazdu.

Przechodzisz przez dziedziniec zewnętrzny. Niemcy rozszerzali obóz, dopóki tylko mogli, dlatego żeby zobaczyć bramę ze słynnym napisem *Arbeit macht frei*, trzeba przejść przez budynek z barem, kioskiem i kasą. Poprzednio był to budynek, w którym więźniom golono głowy i tatuowano ich i w którym Niemcy trzymali żydowskie niewolnice seksualne. Śmierdzi tu

ściekiem, bo nie sprzątaję toalet, a na zdjęciach na ścianach tatusze nie wyglądają nawet tak jak te, które mieli dziadkowie.

Za bramą główną stoi dwudziestometrowy drewniany krzyż, wokół którego zakonnice i skinheadzi rozdają ulotki na temat tego, jak to rozhisteryzowani międzynarodowi Żydzi starają się zakazać katolickich obrządków w Auschwitz znajdującym się w kraju katolickim. Aż ręce świerzbią i człowiek się zastanawia, czy skręcenie karku skinheadowi zaspokoi Freudowski ideał szczęścia, który może zostać spełniony wyłącznie poprzez zrealizowanie dziecięcych pragnień.

Ale robisz to, co inni. Oglądasz baraki otoczone drutem kolczastym, szubienice, wieżyczki strażnicze siejące przypadkową śmierć. Budynki, w których wykonywano eksperymenty medyczne. Krematoria. Zadajesz sobie pytanie: Czy sprzątałbym komory gazowe, żeby przedłużyć sobie życie o miesiąc? Czy napełniałbym piece trupami?

Czujesz się kurewsko przybity.

W końcu zaczniesz się zastanawiać, dlaczego każda narodowość, o której słyszałeś - na przykład Słoweńcy - ma tu poświęcony sobie barak - a nigdzie nie ma słowa o Żydach. Pytasz strażnika. Wskazuje na drugą stronę ulicy.

Odnajdujesz barak 37 i uświadamiasz sobie, że strażnik miał po części rację. Jest to barak złożony z dwóch, jedyny taki w Auschwitz: Słowacy (po wywieszkach widać było, że taka była oryginalna ekspozycja), a teraz również Żydzi. Jednakże jest



zamknięty, a na klamce wisi łańcuch. Później dowiadujesz się, że ten akurat barak był częściej zamknięty niż otwarty, na przykład od 1967 do 1978 w ogóle go nie otwierano. Chasydzka rodzina z autobusu patrzy żałośnie na łańcuch.

Oczywiście wyłamujesz jebaną kłódkę, otwierasz drzwi i wpuszczasz przodem rodzinę chasydów.

W środku widać straszne rzeczy. Tak wielu Żydów zginęło w Auschwitz, że pozostawione przez nich rzeczy - włosy, drewniane nogi weteranów, którzy walczyli za Polskę w pierwszej wojnie światowej, dziecięce buty i tak dalej - wypełniają całe pomieszczenie bez okien, w którym gniją i cuchną. W porównaniu z tym zło kryjące się w tabliczkach w muzeum - gdzie zdrapano „polscy” w napisach „polscy Żydzi” i gdzie się mówi, że narodowi socjaliści „reagowali na nadreprezentację Żydów w biznesie i rządzie” - ledwo do ciebie dociera. Chociaż pojęcie „nadreprezentacji” jest ulubionym stereotypem ludzi nienawidzących Żydów, ponieważ za każdym razem, kiedy wybijają połowę ludności żydowskiej na świecie, tak jak zrobili w czasie drugiej wojny światowej, ci, co przeżyli, stają się nagle nadreprezentowani w dwójnasób.

W końcu wracasz do autobusu i jedziesz do Birkenau, obozu śmierci. (Przepraszam: do Brzezinki. W Polsce „Birkenau” też nie pojawia się w druku.) Tam w przepastnych ruinach przypominających łaźnie rzymskie płaczą nawet Europejczycy. Okrywający to miejsce smutek objawia się także w rozlegających się tam odgłosach, dobiegających do twoich uszu zgrzytach i szelestach.

W końcu przewodniczka odnajduje wszystkich uczestników wycieczki i klepiąc cię po ramieniu, mówi łagodnie, że czas wracać do Krakowa.

- Ale zatrzymujemy się w Monowitz? - pytasz.

Mówi, że nie wie, co to jest „Monowitz”.

- Monowice - mówisz. - Dwory. Obóz I.G. Farben. Auschwitz III.

- Aha, tam nie jedziemy - wyjaśnia.

- Dlaczego nie? - pytasz.

Połowa ludzi, która przeżyła Auschwitz, siedziała w Monowitz. Nie tylko moi dziadkowie: tacy ludzie jak Primo Levi i Elie Wiesel.

- Ja tu tylko prowadzę wycieczki - odpowiada.

W końcu grozisz jej, że się zgubisz, jak cię tam nie zawiezie, i pozwala ci iść samemu. Znajdujesz drogę i idziesz nią pół godziny. Dochodzisz do drutu kolczastego - nowego, z prawdziwymi strażnikami z bronią automatyczną. Jeden z nich mówi ci, że można zwiedzać „tylko ze specjalną przepustką”.

Spoglądasz za niego i widzisz dlaczego. Monowitz pompuje sadzę w niebo w dzisiejszych czasach. Zakład wciąż działa, bo nigdy nie był zamknięty\*.

[I.G. Farben, koncern chemiczny, który zarządzał obozem pracy w Auschwitz - to nie jest skrót od nazwiska właściciela, tylko od „Wspólnoty Interesów Przemysłu Farbiarskiego” po niemiecku - kontynuował pracę po wojnie, utrzymując, że musi wypłacić odszkodowania byłym robotnikom przymusowym, których pracowały tu 83 tysiące jednocześnie. Potem przez dziesięciolecia przedstawiał siebie jako obiekt niesprawiedliwej nagonki rozpętanej przez zachłannych, mściwych Żydów. W 2003 stanął przed faktem wypłacenia dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów (w całości, nie na głowę) i ogłosił upadłość. Wcześniej wydzielił jednak firmy Agfa, BASF, Bayer i Hoechst (obecnie połowa farmaceutycznego giganta Aventis), z których wszystkie prosperują do dzisiaj!]

Po rozmowie z roześmianymi wartownikami przy bramie opuszczasz Auschwitz taksówką, wciskając paznokcie głęboko w skórę dłoni.

Po powrocie do Krakowa - Jasny gwint! Smerfy wybudowały średniowieczną wioskę na wzgórzu! I wciąż wygląda wspaniale, jak zegar pełen ornamentów, ponieważ nazistowski generalny gubernator mieszkał w zamku i chronił budynki! - jem kolację w zbudowanej w czasach komunistycznych kawiarni z kominkiem, po czym zajmuję się lekturą opasłej, starej książki telefonicznej.

Wszyscy klienci tego lokalu mają chwytny usta i podejrzany brak uzębienia, a ci, których udaje mi się podsłuchać, narzekają na wszystko, jakby wcześniej nie mieli powodów do narzekań. Aż podskoczyłem, kiedy uświadomiłem sobie, że mogłem otrzeć się nawet o Władysława Budka.

Zawsze wyobrażałem sobie Budka jako podstarzałego Clausa von Bülowa: chytrze uśmiechającego się, zatwardziałego lisa z lugerem w kieszeni smokingu. Ale co będzie, jeśli jest to jakiś zdiadziały pierdoła z obwisłymi powiekami i plastikowym pudełkiem, w którym trzyma pigułki na każdy osobny dzień tygodnia? Co będzie, jeśli okaże się, że jest zbyt głuchy i stetryczały, żeby nawet zrozumieć, o co go oskarżam?

A jeśli będę musiał krzyknąć: „BYŁ Z CIEBIE KAWAŁ KUTASA PIĘĆDZIESIĄT LAT TEMU”? Albo: „PEWNI WCIĄŻ

JESTEŚ CHUJEM DO LANIA, ALE WYGLĄDA NA TO, ŻE NIE MASZ SIŁY NAWET TEMU ZAPRZECZYĆ”?

Cóż, pożyjemy, zobaczymy. Poczułem iskrę pod palcami, zanim nawet moje oczy przetworzyły obraz - adres Budka figurował w książce. Mieszkał sześć przecznic dalej.

Mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze kamienicy w całym rzędzie kamienic, które stały tyłem do wąskiego pasma zieleni z zamykaną furką. Zastanawiałem się, czy wejść przez park i zejść od tyłu, ale zanim się zorientowałem, stałem już przed drzwiami i przekręcałem starożytny dzwonek.

Spościłem się cały, jakby wszystka woda z mojego organizmu chciała przyjąć postać mego cienia i dać drapak. Próbowałem się uspokoić, ale dałem za wygraną. No bo po co?

Otworzyły się drzwi. Pojawiła się w nich pomarszczona twarz. Kobieta. Wskazywał na to przynajmniej różowy kolor podomki.

- Tak? - zapytała mnie po polsku.
- Szukam Władysława Budka.
- Nie ma go.
- Wolniej, jeśli można - powiedziałem. - Nie mówię dobrze po polsku. Kiedy można go zastać?

Przyjrzała mi się uważniej.

- A kim pan jest? - zapytała.
- Jestem Amerykaninem. Znali go moi dziadkowie.
- Pana dziadkowie znali Władka?

- Tek. Znali. Już nie żyją.
- Jak się nazywali?
- Stefan Brnwa i Anna Maisel.
- Maisel? To nazwisko wydaje się żydowskie.
- Bo jest.
- Nie wygląda pan na Żyda.

Odniosłem wrażenie, że powinienem powiedzieć: „Dziękuję”.

Zapytałem jednak:

- Czy pani jest żoną pana Budka?
- Nie. Jestem siostrą Władka. Nazywam się Blancha Przedmieście.

Nagle wszystko się odrealniło. Słyszałem o tej kobiecie od dziadków. Chodziły słuchy, że przez całą wojnę pierdolila się równocześnie i z jednym szkopem, i z facetem, którego żona miała powiązania z żydowskim podziemiem, i tym samym ułatwiała bratu interesy.

Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem.

- Przepraszam? - powiedziałem.
- Jestem dobrze znana policji - powtórzyła już wolniej.
- A po co pani policja?
- Bo ja wiem. Jest pan Amerykaninem.

Dobra odpowiedź, kurka wodna.

- Mogę wejść? - zapytałem.
- Po co?
- Chcę tylko zadać pani kilka pytań na temat pani brata - powiedziałem. - Jeśli się pani nie spodobają, to może sobie pani dzwonić, do kogo pani chce.

Zastanowiła się. Może i trawiła ją pierwotna nienawiść do Żydów, ale poczucie odosobnienia i tęsknota za towarzystwem w końcu wzięły górę.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Ale nie dam panu nic do jedzenia. I proszę niczego nie dotykać.

Wnętrze mieszkania było zatęchłe, choć nie zagracone, i stały tu paździerzowe meble z lat sześćdziesiątych oraz telewizor z wylupiającym ekranem. Na stolikach stały oprawione w ramki fotografie.

Na jednej z nich widać było dwójkę młodych ludzi na tle muru porośniętego bluszczem: może była to ona w towarzystwie jakiegoś bladoliciego bruneta.

- Czy to on? - zapytałem.

- Nie. To mój mąż. Zginął podczas niemieckiej napaści. - Za pomocą słów i gestów opisała mi, że jej mąż był w artylerii konnej, a Niemcy bombardowali ich z samolotów. - Władek jest tutaj - powiedziała, wskazując na inną fotografię.

To zdjęcie przedstawiało nonszalanckiego blondyna na nartach na szczycie góry, zaśmiewającego się w świetle promieni słonecznych.

- Był pięknym mężczyzną - powiedziała.

Zdawała się czekać na to, że zaprzeczę.

- Mówi pani „był”. Czy żyje?

- Zginął w 1944.

- W 1944?

- Tak.

- Jak to się stało? Uśmiechnęła się z goryczą.

- Zabili go Żydzi. Weszli przez okno. Mieli broń.

Dopiero po chwili zrozumiałem, co do mnie powiedziała potem. Najwyraźniej ci Żydzi, o których mówiła, związali ją w kuchni i zastrzelili jej brata w salonie tuż obok miejsca, w którym stałem, przy wersalce. Strzelali przez poduszkę, żeby nikt nie usłyszał.

- Ale policja już była w drodze - powiedziała - i złapali ich, jak wychodzili.

- Niech to - powiedziałem.

Więc ktoś tu dotarł jako pierwszy. Szybko i skutecznie.

- To był chłopak i dziewczyna - powiedziała. - Nastolatki.

- Proszę? - zapytałem. Powtórzyła.

- Żartuje sobie pani ze mnie?

- Jak to? - zapytała.

Poczułem mdłości. Żeby nie było widać i żeby nie wyrzuciła mnie z domu, usiadłem na wersalce. Potrzebowałem więcej informacji.

- Jak wyglądali? - zapytałem. Wzruszyła ramionami.

- Jak Żydzi.

Spróbowałem z innej strony.

- Dlaczego policja już była w drodze?

- O co panu chodzi?

Usiadła w fotelu, ale na skraju siedzenia, czujnie, jakby chciała mieć możliwość rzucenia się do telefonu.

- Skąd policja wiedziała, że będzie się coś działo?

- A bo ja wiem, Władek do nich zadzwonił.

- Zanim pojawili się dziewczyna i chłopak? - zapytałem.

- Tak.  
- Ale skąd wiedział, że przyjdą?  
- Nie mam pojęcia. Może ich usłyszał. To było tak dawno temu.

- Nie pamięta pani?  
- Nie, nie pamiętam.  
- Dwoje Żydów weszło przez okno, związali panią i pani nie pamięta, skąd brat wiedział, że przyjdą?

- Nie.  
- Czy to dlatego, że wzięliście pieniądze za to, że uratujecie ich jako krewnych?

Znieruchomiała.

- Dlaczego zadaje pan te wszystkie pytania?  
- Bo chcę wiedzieć, co się stało.  
- Niby czemu mam o tym z panem rozmawiać?

Zastanowiłem się nad tym.

- Bo pani i ja jesteśmy jedynymi istotami na ziemi, których to dotyczy, a wygląda na to, że nie pociągnie pani długo.

Powiedziała coś w stylu:

- Ugryź się w język.  
- Proszę powiedzieć mi, co się stało. Proszę.

Purpurowiała, po czym bladła.

- Sprzedaliśmy Żydom nadzieję. Bóg jeden wie, że było ich na to stać.

- Czy uratowaliście kogoś z nich?  
- Nie można było uratować Żyda podczas wojny. Nawet gdyby się chciało.

- A jak zaczęli się wam przyglądać, to posyłałicie ich na śmierć.



Odwróciła się na te słowa.

- Proszę już iść - powiedziała.
- Dlaczego ich tak bardzo nienawidziliście? - spytałem.
- Rządzili całym krajem - wyjaśniła. - Tak jak rządzą Ameryką. Wynocha z mego domu.
- Zaraz - zaoponowałem. - Kiedy tylko powie mi pani, jak się nazywali.

- Nie mam pojęcia! - wykrzyknęła. - Wynocha!

Wstałem. Byłem teraz pewien jak nigdy. Podeszedłem do drzwi. Kiedy je otworzyłem, do środka wpadł lodowaty wiatr.

- Niech pan poczeka - zawołała. - Proszę mi powtórzyć, jak nazywali się pana dziadkowie.

Odwrociłem się.

- Nic z tego - powiedziałem. - Zastanawiam się tylko, dlaczego zostawili panią przy życiu.

Wpatrywała się we mnie.

- Zawsze się nad tym zastanawiałam - powiedziała.

Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Tak dla porządku, oto, co postanowiłem:

Nie będę likwidował kobiet (to oczywiste), ale również ludzi, którzy złych uczynków dopuścili się w przeszłości. Jedyne bezpośrednie zagrożenia. Nie miałem pojęcia, dlaczego moi dziadkowie zostawili przy życiu Blanche Przedmieście, ale była kobietą i zabicie jej brata wystarczało do zakończenia ich działalności. I tyle.

Natomiast jeśli David Locano chciał mnie poszczuć na zabójców, których zniknięcie naprawi świat, najpierw zweryfikuję jego informacje i z czystym sumieniem - nawet z obowiązku - będę ich ścigał i zabijał.

Nieraz myślałem sobie, że gdyby moi dziadkowie zaaprobowali taki model postępowania, to mniej by mi truli na temat pokoju i tolerancji, a więcej opowiadali o misji zabicia Budka. Nie odczuwałem najmniejszej potrzeby rozważania tego typu spraw. Sam Los odpowiedział mi, co mam robić.

Ach, młodość. Jest jak heroina, którą się pali, zamiast wciągać nosem. Mija tak szybko, że wciąż człowiek nie może wyjść z osłupienia, że za wszystko trzeba zapłacić.

## 9

**I**dę właśnie zacewnikować kilku pacjentów, kiedy dopadają mnie moi studenci.

- Przeżycie pięciu lat po resekcji żołądka wynosi dziesięć procent\* - mówi jeden z nich. - Ale jedynie pięćdziesiąt procent pacjentów przeżywa operację. [*Status post* - skrót s/p jest znanym medycznym określeniem „po” i sugeruje „ale niekoniecznie z powodu”. To łaciński termin na „Teraz spróbuj mnie pozwać, skurwysynu”.]

- Niech mnie - mruczę.

Plusem związanym z tą informacją jest to, że jeśli Squillante przeżyje operację, jego szanse na kolejnych pięć lat to raczej dwadzieścia niż dziesięć procent, bo w tych dziesięciu procentach najpewniej zawierają się również osoby, które zmarły podczas operacji. Minusem jest to, że Squillante ma pięćdziesiąt procent szans na zejście j e s z c z e d z i s i a j, na stole. I jeśli tak się stanie, David Locano złoży mi wizytę.

Przed nami otwierają się drzwi windy: Duposzczak wraca na swoje piętro na łóżku-noszach. Głównie po to, żeby wyglądało, że coś robię, dopadam do niego.

- Jak się pan czuje? - pytam.

Wciąż leży na boku.

- Ja tu, kurwa, zdycham, ty pierdolony wale - mówi.

Czy coś w tym rodzaju. Zęby mu zbyt szczękają, żebym wiedział na pewno.

Przykuwa moją uwagę. Naprawdę wygląda, jakby za chwilę miał wykitować.

- Jest pan uczulony na jakieś leki? - pytam.

- Nie.

- To dobrze. Niech się pan trzyma.

- A pierdol się.

Idę za nim do jego sali i szybko wypisuję pełno antybiotyków i leków przeciwwirusowych, dodając STAT na każdym z nich. Zastanawiam się: Może powinienem jeszcze bardziej postraszyć Squillantego? Ale czym i z jakim skutkiem? Następnie wywołuję wyniki tomografii Duposzczaka na ekran komputera.

Jest to w pewnym stopniu terapia uspokajająca. Wodzenie kursorem po skanach może być wspaniałe, jeśli się wie, czego się szuka. A pewnie też jak się nie wie. Człowiek wodzi w górę i w dół po setkach płaszczyzn i rozmaitych krzywiznach - klatki piersiowej, płuc, komór serca, przechodzących jedno przez drugie i nakładających się na siebie na różnych poziomach. Ale także wtedy zawsze wie, gdzie jest, ponieważ we wnętrzu ludzkiego ciała nie ma nawet dwóch centymetrów sześciennych, które by-łyby identyczne. Nawet jeśli brać pod uwagę lewą i prawą stronę. Serce i śledziona są po lewej, a wątroba i woreczek żółciowy po prawej. Lewe płuco ma dwa płaty, a prawe trzy. Okrężnica po

lewej i prawej różni się przekrojem i biegnie odmiennie wytoczonym szlakiem. Żyłą prawa biegnie prosto do serca, a lewa zbiega się z tą z lewej nerki. U mężczyzny gonada lewa jest umiejscowiona niżej niż prawa, by umożliwić krzyżowy ruch nóg.

Dlatego też dwa ropienie wielkości piłki golfowej na skanie Dupuszczaka widać jak na dłoni - jeden tuż za prawym obojczykiem, a drugi w prawym pośladku. Po wnikliwszej analizie widać jakieś zanieczyszczenie na brzegach - chyba grzyb. Wygląda to jak u alkoholika, który traci przytomność i wdycha własne wymiociny, po czym zaczyna mu się tworzyć kolonia w płucach. Jestem więcej niż pewien, że nigdy nie widziałem czegoś takiego w mięśniach.

Każę moim studentom zawiadomić patologię. Trudno jest wypłoszyć tych ludzi z ich paskudnych nerek wyłożonych słojami z organami ludzkimi, niczym filmowe kryjówki seryjnych morderców, ale Dupuszczak musi mieć zrobioną biopsję. Mówię im, żeby zawiadomili jeszcze oddział chorób zakaźnych, bo jak znam życie, żaden z tych wydziałów nie będzie skory do pomocy.

Kiedy studenci ruszają wypełnić polecenia, zamykam program ze skanami i szukam w internecie informacji na temat chirurga operującego Squillantego, doktora Johna Friendlygo, żeby zobaczyć, w jakie gówno wpadłem.

Ale tu niespodzianka: opinie są pozytywne. Mój stary dobry Friendly zmniejszył i wycinał żołądki niemal wszystkich tłustych gwiazd, o jakich słyszałem. Nawet magazyn „New York” - który

powinien być dobrze poinformowany, ponieważ jego podstawową funkcją jest wymiana patogenów wśród ludzi w poczekalniach - nazywa go jednym z pięciu najlepszych miękkich chirurgów w mieście. Friendly wydał też książkę, którą bez trudu można dostać za rozsądną cenę na Amazonie: *Ucho igielne: Książka kucharska dla ludzi ze zmienionym chirurgicznie przewodem pokarmowym*.

Szukam dalej i już wiem, mam ogólny obraz, który potwierdza, że wiele się mówi o facecie spotkanym przeze mnie tego szczególnego poranka. Im dalej w internet, tym więcej entuzjastycznych artykułów. Okazuje się, że Friendly wykonał kolostomię u faceta, który grał tatę w *Virtual Dad*.

- Co za kurewska ulga, jak zapewne powiedział ten facet.

Staram się oszacować jak wielka. Czy to oznacza, że Squillante ma siedemdziesiąt pięć procent szans na przeżycie operacji? Jeśli tak, jakie są szanse, że dotrzyma słowa i nie zakabluje mnie z domu? Zostaję wezwany do sali, w której nie mam pacjentów.

Wpatruję się w numer na wyświetlaczu i zastanawiam, czy to jakiś nowy pacjent. Akfal mówił mi coś trzy godziny temu. I nagle uświadamiam sobie, że jest to numer sali, w której leży Dziewczyna z Kolanem, i momentalnie ruszam biegiem w stronę schodów pożarowych.

Kiedy widzę ją ponownie, dociera do mnie, że chociaż jest piękna, jej oczy różnią się znacznie od oczu Magdaleny. Po chwili

jednak czuję zażenowanie z powodu swego rozczarowania.

- Co się dzieje? - pytam.
- Jak to co się dzieje?
- Dostałem wezwanie.

Odrywa się od obgryzania paznokci i wskazuje na kąt sali przy drzwiach.

- Chyba do tej nowej dziewczyny - mówi.

No jasne. Parawan jest zaciągnięty i słychać dobiegające zza niego głosy. Klepię Dziewczynę z Kolanem po zdrowej nodze, pukam w ścianę i odsłaniam zasłonę.

Trzy pielęgniarki wciąż krzątają się wokół nowej pacjentki leżącej na uprzednio pustym łóżku.

Jest to kolejna młoda dziewczyna, chociaż trudno jest precyzyjnie określić jej wiek, ponieważ ma ogoloną i zabandażowaną głowę, w której brakuje przedniej lewej ćwiartki. W jej miejscu widać jedynie wgłębienie z gazą.

Spogląda na mnie wściekle błękitnymi oczyma.

- Kto to? - pytam.
- Nowa pacjentka, doktorze Brown - mówi oddziałowa. -

Przyjechała z neurochirurgii.

- Cześć - zwracam się do pacjentki. - Jestem doktor Brown.
- Aj a ly ly ly - odpowiada.

Oczywiście. U wszystkich praworęcznych i większości leworęcznych w lewym przednim płacie mózgu zawiera się osowość człowieka. Czy też raczej, jak w tym wypadku, zawierała się. Bandaż pokrywający brakującą część czaszki zaczyna pulsować z wysiłku, jaki dziewczyna wkłada w wypowiedź.

- Spokojnie. Zaraz przeczytam kartę - mówię do niej i wychodzę, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Albo też zdołała zareagować na bodziec czy jak to tam nazywają.

Karta Dziewczyny z Głową jest krótka: „s/p kraniektomia z powodu ropnia przerzutowego w posocznicy s/p zabieg kosmetyczny + s/p laparotomia z umieszczeniem kości czaszki”.

Innymi słowy, przekłuła sobie język i do mózgu dostała się infekcja. Otworzyli jej głowę, żeby dotrzeć do chorego miejsca, po czym wyjęli fragment czaszki, który następnie zaimplantowali jej pod skórą na brzuchu, żeby utrzymać go przy życiu do chwili, aż sprawdzą, czy zakażenie nie wróciło.

Nazywanie przekłucia językiem „kosmetyką” jest nieco naciągane, ponieważ nie robi się tego dla poprawy wyglądu. Decydują się na to osoby tak spragnione uczucia, że są w stanie poddać się temu potwornemu okaleczeniu tylko po to, by powiedzieć światu, jak wspaniale ciągną druta.

Jezu - myślę sobie - ale mam dzisiaj nastrój.

Żeby dopełnić przeglądu Sali Radości, czyli pokoju 808W, sprawdzam kartę Dziewczyny z Kolanem.

Niewiele z niej wynika: mnóstwo „nietypowych” i „wysoce prawdopodobnych”. Czasami krwawi jej kość udowa, tuż nad kolanem. Czasami nie krwawi. I za kilka godzin odejmą jej kończynę aż do biodra.



Czasami ludziom przydarza się wszystko, co naprawdę dziwne i paskudne.

Wypełniam formularze przyjęcia Dziewczyny z Głową, nawet nie patrząc w papiery, ale nim kończę, dostaję kolejne wezwanie, tym razem z sali, gdzie leżą Duke Mosby i Duposzczak.

Tak a propos układ jest taki: Akfal i ja musimy przyjąć na oddział trzydziestu pacjentów tygodniowo. Od nas zależy, jak długo będziemy ich trzymać w szpitalu. Naturalnie mamy interes w tym, żeby ich szybko wypisywać, żebyśmy się nie musieli nimi zajmować. Ale z drugiej strony, jeśli pojawią się na pogotowiu w czasie krótszym niż czterdzieści osiem godzin po wypisaniu, to musimy ich przyjąć z powrotem. Z kolei gdy pojawią się, powiedzmy, w czterdzieści dziewięć godzin po wypisaniu, to pięć do jednego, że staną się problemem kogoś innego.

To prawdziwa sztuka, by wychwycić właściwy moment, w którym pacjent czuje się wystarczająco dobrze, by przeżyć pełne czterdzieści dziewięć godzin na wolności, i potem kazać mu się bujać. Brzmi to brutalnie - ba, jest brutalne - ale chwila, w której ja i Akfal przestalibyśmy tak postępować, oznaczałaby kres naszej normalnej pracy.

Już i tak wszystko stoi na głowie. Jakiś prezes od ubezpieczeń dawno znalazł wyraźną granicę, po przekroczeniu której nie oplaca się nas naciskać - jak wolicie, to takie nasze czterdzieści dziewięć godzin - i trzymanie nas w tych ryzach czasowych idzie

mu wyśmienicie. Między przyjmowaniem nowych pacjentów a wypisywaniem starych - jedno i drugie jest koszmarem pod względem roboty papierkowej - ledwo mamy czas, by zająć się pacjentami, którzy leżą w szpitalu.

Oznacza to, że zagładanie do takich pacjentów, jakich odwiedziłem od rana - jak Duposzczak czy Duke Mosby - jest zwyczajnym marnowaniem czasu. Chyba że pacjent ma doraźne, dające się wyleczyć dolegliwości.

Co zawsze może się zdarzyć, dlatego biegnę po schodach pożarowych i potem korytarzem do ich sali.

W środku kłębi się mały tłumek - jest tu lekarz prowadzący (jakby nie miał co robić), Zhing Zhing, cała czwórka studentów i pani ordynator. Jest jeszcze dwóch lekarzy, których nie znam. Jeden, przystojny, o mrocznej urodzie szaleńca, trzyma w dłoniach długą strzykawkę. Drugi przypomina nastroszonego ptaka i jest wyraźnie zirytowany.

- Nic z tego - mówi pani ordynator do tego ze strzykawką. - Nie, nie, panie doktorze. - Stoi między nim a łóżkiem.

Mówię wszystkim „cześć” i wyciągam pięść w kierunku Duposzczaka, chcąc przybić piątkę kłykciami, ale ten tylko na mnie łypie.

- Kim jesteście? - pytam lekarzy.

- ChZ - odpowiada ten ze strzykawką. - Choroby zakaźne.

- Patologia - oznajmia drugi. - Wywołałeś mnie?  
- Jakąś godzinę temu - mówię. - A ty mnie?  
- To ja, proszę pana - zgłasza się jeden ze studentów.  
- Ten facet chce zrobić biopsję zmiany patologicznej - zwraca się do mnie pani ordynator, mając na myśli faceta z ChZ\*. [„Zmiana patologiczna” jest terminem mętnym, acz niezwykle użytecznym (bo brzmi jak kubeł ropy) na określenie anomalii.]

- Dobra - mówię.

- Dobra? - Pani ordynator jest zaskoczona. - Pacjent ma nieznanego patogen, który się rozprzestrzenił, a pan chce dopuścić do eskalacji?

- Chcę się dowiedzieć, co to takiego.

- Czy zamierzał pan poinformować CDC\*\*? [Agencja federalna (Center for Disease Control) zajmująca się diagnozą i kontrolą chorób zakaźnych, szczególnie rzadkich i nowych]

- Nie - przyznaję.

Wszystko prawda.

- To już przeszło z pośladka na klatkę piersiową - mówi facet z ChZ. - Gdzie niby miałyby się dalej rozprzestrzenić?

- A na przykład po całym moim pierdolonym oddziale! - krzyczy pani ordynator.

Do dyskusji włącza się Ptasz Patolog.

- Dlaczego zostałem wywołany? - pyta.

Pani ordynator ignoruje go i zwraca się do lekarza prowadzącego:

- Co pan o tym myśli?

Ten zerka na zegarek i wzrusza ramionami.

- Wkłuwam się - informuje facet z ChZ.

Pani ordynator oponuje:

- Czekaj pan...

Ale ChZ odsuwa ją i zbliża się z igłą do pacjenta. Klepie dwa razy w pierś Duposzczaka, przy drugim klepieniu wydobywa z niego wrzask. ChZ przytrzymuje to miejsce palcem i wbija obok igłę, po czym ciągnie tłoczek. Wycie Duposzczaka wchodzi na wysokie rejestry, a strzykawka wypełnia się krwią zmieszaną z żółtawym płynem.

- Niech cię szlag! - krzyczy pani ordynator.

Facet z ChZ wyszarpuje igłę, po czym odwraca się do pani ordynator zadowolony z siebie, ale źle wymierzył odległość między nimi. Nie ma żadnej odległości. Pani ordynator zostaje popchnięta do tyłu, wraz z facetem z ChZ wchodzi w zwarcie i zaczynają razem padać na glebę.

Czy też raczej wprost na mnie.

Uchyłam się, ale wpadam na studenta przyczajonego przy jednym z moich chodaków. Przyciskają mnie do ściany i mogę jedynie zasłonić twarz przedramieniem. Wbija się w nie igła i tłoczek wciska we mnie całą zawartość.

Nagle zapada cisza.

Ludzie wstają z podłogi i zaczynają się ode mnie odsuwać. Prostuję się. Spoglądam w dół na przedramię. Z ręki sterczy mi pusta strzykawka do zastrzyków podskórnych. Zaczynam odczuwać ból jak po każdym większym zastrzyku, ponieważ płyn rozdziela warstwy tkanki. Wyszarpuje strzykawkę z przedramienia.

Wyłamuję igłę i wrzucam ją do zsypu na zużyty sprzęt w ścianie za moimi plecami. Następnie łapię faceta z ChZ za kitel i wkładam mu strzykawkę do kieszonki.

- Wyskrob z tego, co możesz, i daj do analizy - mówię. - Weź ze sobą kolegę.

- Nawet nie wiem, co ja tu robię - skamle patolog.

- Nie prowokuj mnie, bo zrobię ci krzywdę - ostrzegam.

- Doktorze Brown - odzywa się lekarz prowadzący.

- Tak, proszę pana? - odpowiadam, wciąż patrząc facetowi z ChZ prosto w oczy.

- Zdążę wyjechać w pięć minut?

- Jak dla mnie, wyszedł pan dziesięć minut temu.

- Porządny z ciebie facet. Zdrówka życzę - mówi i wychodzi.

Wszyscy pozostali stoją jak wryci.

- Stat, kurwa wasza mać! - krzyczę do nich.

Już niemal wyszedłem z sali, kiedy spostrzegłem, że coś jest nie tak. Coś innego.

Łóżko Duke'a Mosbyego stoi puste.

- Gdzie jest Mosby? - pytam.

- Może poszedł na spacer - za moimi plecami wyraża przypuszczenie jeden ze studentów.

- Mosby ma gangrenę stóp - mówię. - Ten facet nawet nie kuśtyka.

Ale najwyraźniej śmigać potrafi.

**C**hyba wspominałem już, że Naplet kochał się w swojej kuzynce. Od zawsze.

Była o dwa lata młodsza. Naplet cały czas o niej mówił, często w kontekście bzdur ze *Złotej gałęzi*. O tym, jakie to niesprawiedliwe, że nie mogą być z Denise tylko z powodu amerykańskich przesądów, które nie mają żadnych naukowych ani historycznych podstaw, i o tym, jak to Sycylijczycy mieli powiedzenie „kuzynki są dla kuzynów”, które to porzekadło, było nie tylko celne pod względem kulturowym, ale również zawierało wielowiekową mądrość\*.

- Poza tym wszystko, co robią wieśniaki, Amerykanie uwielbiają - zwykle narzekał.

Po skończeniu szkoły pojechaliśmy z Napletem w odwiedzinę [Nie jest to jasne pod względem medycznym. Kobieta spółkująca z kuzynem zwiększa o dwa procent prawdopodobieństwo, że powije dziecko z wadą okołoporodową. (Dla porównania kobieta, która rodzi dziecko w wieku 35 lat, zwiększa prawdopodobieństwo o 1 procent.) Z drugiej strony, potomstwo kuzynów może czerpać korzyści z większej trwałości rodziny. Tak czy inaczej, ludzki genom jest już i tak o wiele bardziej „zakonserwowany”, czyli wsobny, niż u jakiegokolwiek innego ssaka, więc i tak pieprzyliśmy się z kuzynostwem częściej niż, powiedzmy, szczur.]

do Denise przez pustkowia do Palos Verdes, na południe od LA.

Ojciec Denise był bratem matki Napleta. Nabrał podejrzeń już w dniu, w którym przyjechaliśmy, a do tego jeszcze Naplet i Denise wykorzystywali każdą okazję, by się gdzieś wymknąć - na dwór czy na pięterko - i się dymać.

Matka Denise, Shirl, nie sprawiała kłopotów, przynajmniej pod tym względem. Ale ponieważ zagięła parol na mnie, podjarała tym, że jej córka pieprzy się na okrągło z siostrzeńcem męża, stanowiła poważny problem. Nie, żebym był taki święty.

Na szczęście, to Napleta i Denise Roger przyłapał w domku gościnnym, a nie mnie i Shirl. Roger wygnał Napleta z domu. Denise szlochała. Na swój paskudny sposób było to nawet dość romantyczne.

Wraz z Napletem wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje na Florydę, jakby celem naszej wyprawy było byczenie się na plaży. Spędziliśmy kilka wieczorów przy kolacji z moim ojcem, co było całkiem miłe. Silvio sprzedawał wtedy łodzie i nieruchomości oraz znajdował się w takim stadium życia, w którym uśmiechał się, rozkładał ręce i mówił: „Kto się w tym wszystkim połapie? Powiedz mi”. Pewnie wciąż znajduje się w tej fazie. Ostatni raz rozmawiałem z nim, kiedy przyjechał do mnie do więzienia podczas mojego procesu\*.

[Powiniennem przyznać, że mój brak kontaktów z rodzicami nie wiązał się wyłącznie z procedurami WITSEC. Można wymieniać informacje, a nawet rozmawiać przez telefon z krewnymi przez centralę w Wirginii, a jeśli robi się to odpowiednio często, agenci miękną i dają rodzinie bezpośredni numer. Ja nigdy tego nie spróbowałem.]

Tymczasem Naplet przez całe lato pieprzył w kółko o Denise - nawet, co naprawdę urocze, kiedy byliśmy z innymi babkami.

Pogłębiała się też jego sportowa impotencja. Jego ojciec koniecznie chciał, żebym go nauczył się bić, ale Naplet miał wrodzony antytalent do sztuk walki. Próbował chronić twarz i żołądek, odwracając się, i odsłaniał kręgosłup, nerki i potylicę. Miał dobry refleks, ale bez siły woli po prostu szybko się kulił.

Wraz z Napletem zmieniliśmy plany co do szkoły i rozpoczęliśmy naukę w Northern New Jersey Community College. Wciąż nabijaliśmy się wspólnie z niezgrabności Napleta, bo wtedy cenilem go z innych powodów.

Widziałem Denise jeszcze trzykrotnie. Raz w lobby hotelu na Manhattanie, zanim Naplet zabrał ją do pokoju, żeby ją zerznąć. Nie pamiętam, co to był za rok. Drugi i trzeci raz było to w sierpniu 1999 roku, wieczór przed i w dniu jej ślubu.

Było to cztery i pół roku od mego powrotu z Polski. W tym czasie skończyłem dwuletnie studia na Northern New Jersey Community College (który Naplet opuścił po roku), pomagałem Napletowi doprowadzić „wytwórnę płytową” (opłaconą przez Davida Locano) do bankructwa (nazywała się Rap Sheet Records, powodzenia, jeśli chcecie znaleźć w sklepie jakieś jej nagrania) i rozpoczęliśmy z Napletem pracę jako aplikanci w firmie prawniczej czterech wspólników Davida Locano, z której



zostaliśmy nieodwołalnie wylani głosami trzech pozostałych współników za to, że zamiast robić coś pożytecznego, wydawaliśmy zbyt wiele środków z funduszu reprezentacyjnego. I dość o tym.

W tym czasie David Locano wciąż nam potwierdzał, że nie chce, aby Naplet został członkiem mafii. Co było pewnie prawdą, gdyż każdy ojciec w skrytości ducha pragnie, by jego dziecko żyło lepiej czy uczyło się na błędach rodzica. Ale żeby ostrzec nas, jak wygląda takie życie, i za karę po usunięciu z kancelarii, posłał nas do pracy w dyspozytorni śmieciarek w Brooklynie. Trudno to postrzegać inaczej jak tylko jako Bardzo Złe Posunięcie.

Nie była to wcale dotkliwa kara. Praca paskudna i nudna, ale prosta. Dzięki niej mieliśmy mnóstwo czasu. Nie mogliśmy też z niej wylecieć, ponieważ płacono nam za powiązania z Davidem Locano.

Poza tym zainteresowały się nami szumowiny, szczególnie te z predylekcją do nostalgii. Dorośli faceci, tacy jak Sally Knockers czy Joey Camaro\*, którzy kłaniali się w pas tłustym miśkom, kiedy przychodzili na zasadzie od patoła też jest dola, by zabrać połowę kasy. Niektóre miśki też się nami zainteresowały. [Pewnie od tego się wzięło powiedzenie „Camaro z otwartą koparą”. Cały czas narzekał.]

Przychodzi mi na myśl Kurt Limme. Limme był jakieś dziesięć lat starszy od nas. Był bezsprzecznie przystojny, dobrze ubrany i nie wyglądał jak zwykły kark. Przypominał dobrego wujka z Manhattanu, który zabijał wysoką stopą procentową i pierdolił całe autobusy panien. W rzeczywistości postawiono mu

zarzuty serii wymuszeń w związku z montażem wież triangulacyjnych sieci komórkowej, ale nawet to wydawało się częścią jego przyszłego wizerunku.

Naplet zwariował na jego punkcie, bo facet był cyniczny i wyluzowany - może nawet inteligentny - tak jak Naplet. I któremu wypaliło. Z kolei Limmemu jako typowemu przedstawicielowi nisko stojącej w hierarchii rodziny mafijnej, który piął się w górę, odpowiadało to, że syn samego Davida Locano darzy go takim uwielbieniem.

Limme zaczął zabierać Napleta na wypadki do miasta w swoich rozlicznych sprawach, które polegały głównie na robieniu zakupów. Wiedziałem, że powinienem być odciągać Napleta od Limmego, ale zacząłem już pracować regularnie dla Davida Locano i byłem zadowolony, że Naplet ma kogoś, z kim spędza czas podczas mojej nieobecności.

Jeśli chodzi o regularną pracę, nie zamierzam zbyt wiele mówić. Nie mogę.

Powiem jednak, że jeśli zabiłem tuzin ludzi - o których nie mogę nic powiedzieć, bo nie wiedział o nich prokurator okręgowy i nie byli oni częścią umowy o świadku koronnym - to były to te lata, w których to robiłem. Nie mówię, że robiłem. Mówię, jeśli to robiłem.

Co więcej, jeśli kogoś zabijałem - jeśli, okurwiałem jeśli - to musiałem mieć pewność, że wykańczam prawdziwego skurwysyna. Faceta, na widok którego od razu człowiek miał ochotę wsadzić całą rodzinę do sejfu bankowego. David Locano wiedział, że nie może mi dawać innych zleceń.

I - ostatnia sprawa - wykonywałbym tego rodzaju zlecenia bez najmniejszych uchybień zawodowych. Żadnych łusek, żadnych błędów ani słabego alibi. Nawet bez ciała, przynajmniej w większości. Więc nawet nie próbujcie.

Nieważne.

Wciąż pracowaliśmy z Napletem w firmie śmieciarskiej, przynajmniej na papierze, kiedy się dowiedział, że Denise wychodzi za mąż.

Elisabeth Kubler-Ross powiedziała kiedyś, że nasze pojmowanie śmierci ma pięć wyraźnie odmiennych faz - odmowy, złości, próby targu, depresji i pogodzenia się z nią\*. [Napisałem „kiedyś”, bo tak w sposób naturalny myślimy o teoriach Elisabeth Kubler-Ross. Natomiast świadomie unikamy jej dalszych teorii, kiedy zmieniła zdanie i doszła do wniosku, że wszyscy będziemy przechodzić proces reinkarnacji. Sam żałuję, że to nie podpierdółka.] Kiedy Naplet dowiedział się o ślubie Denise, od razu przeszedł do fazy głębokiej żałoby pomieszanej z irytacją, następnie zaczął chudnąć i spędzał mnóstwo czasu sam.

Biorąc pod uwagę różne sprawy z panienkami, prochami, Kurtem Limmem i tym, że mieszkaliśmy osobno (wciąż byłem właścicielem domu po dziadkach, a Naplet mieszkał u rodziców), i tak nie widywałem go często, mimo że zatrzymaliśmy nasze dwupokojowe mieszkanko w Demarest. Ale na tydzień przed ślubem Denise Naplet nie pojawił się w pracy i nie mogłem go nigdzie znaleźć. W przeddzień ślubu, wieczorem, zadzwonił do

mnie Kurt Limme.

- Pietro, widziałeś Napleta? - zapytał.
- Nie. Nie przyszedł w tym tygodniu do pracy.
- Ja go widziałem jakieś trzy dni temu.

Poza tym dzień wcześniej jadłem lunch w towarzystwie Davida Locano, ponieważ martwił go wpływ Limmego na Napleta, stąd wiedziałem, że Locano też nie widział syna.

- Pewnie zabarłóżył u jakiejś panny - stwierdziłem.
- Przed ślubem Denise? - zauważył Limme.
- Słusznie.
- Martwię się o niego, Pietro.
- Dlaczego? - zapytałem. - Ile miał ze sobą koki?

Limme odparł:

- Nie zażywam kokainy i nie znam nikogo, kto to robi.
- Wyluzuj - powiedziałem. - Chcę tylko wiedzieć, czy w coś nie wdepnął.

Zaległa cisza.

- Taa, to możliwe - uznał po chwili Limme.
- No dobra. Jak czegoś się dowiem, to zadzwonię.
- Dzięki, Pietro.
- Spoks.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon. Myślałem, że to znów Limme, ale był to Naplet. Napruty w trzy dupy.

- Gdzie jesteś? - zapytał.
- W domu. Dzwonisz do mnie.
- No tak, wydzwaniam wszędzie. Ubieraj się. Nadciągam w limuzynie. Mam dla ciebie laskę.

Spojrzałem na zegarek. Była dopiero dziewiąta, ale i tak brzmiało to groźnie.

- No nie wiem... - zacząłem. - Halo?

Rozłączył się.

Wnętrze limuzyny przypominało nocny klub oświetlony wąskimi snopami światła szperaczy i mój wzrok dopiero po chwili przywykł do ciemności. Na miękkiej, skórzanej kanapie z tyłu siedział Naplet - lśniący od potu i blady, z zaczerwienionymi oczami - oraz Denise. Obok mnie, na wprost nich, zajęła miejsce młoda blondyneczka z dziwnie umięśnionymi ramionami i grubą szyją. Jak się później dowiedziałem, pływała w drużynie na studiach, które skończyła trzy miesiące temu.

Naplet miał na sobie smoking i rozchełstaną koszulę. Denise wystąpiła w czarnej, obcisłej sukience. Suknia blondynki była bardziej nietypowa - z zielonego atłasu.

- Jezu - wykrzyknąłem, nachylając się, by pocałować Denise, kiedy samochód już ruszył. - Nie wiedziałem, że dzisiaj studniówka.

- Wyglądasz w sam raz, skarbie - stwierdziła Denise. - To jest Lisa.

- Cześć, Lisa.

Lisa pocałowała mnie w policzek, dysząc na mnie alkoholem, i powiedziała, że wiele słyszała na mój temat.

- Ja na twój też - skłamałem.

- Lisa jest druhną - poinformował Naplet.

- Bez jaj.

Naplet nacisnął przycisk interkomu.

- Georgie, wiesz, dokąd jedziemy?
- Tak, proszę pana.
- A dokąd jedziemy? - zapytałem.
- To niespodzianka - odparł Naplet.

Spojrzałem na Lisę, ta jednak wyglądała, jakby w ogóle nie wiedziała, co się dzieje, tylko wzruszyła ramionami i nachyliła się do Denise, która podawała jej łyżeczkę z koką. Była to dziwna chwila.

Limuzyna skręciła na północ na pierwszym dużym skrzyżowaniu i zostawiliśmy za nami Midtown Tunnel. Denise nabrała dla mnie koki, a Naplet zwilżył bibułkę i skręcił jointa.

- Najpierw muszę się napić - powiedziałem.

Kiedy dotarliśmy do Coney, byłem już pijany i upalony, choć pozostali byli w dużo gorszym stanie. Naplet rozgadał się na temat łyżeczek do koki. Kto je wytwarza i czy nie są przypadkiem częścią miniaturowego zestawu sztucców. Kierowca, Georgie - znany mi facet z kucykiem i w liberii - zaparkował na tym samym parkingu co ja, kiedy zabiłem tych Ruskich w 1993. Wypuścił nas z wozu, po czym wrócił do niego, by na nas zaczekać.

Powiedziałem Napletowi, że nie chcę iść do Małej Odessy.

- Nie idziemy do Małej Odessy - odparł. Wziął Denise pod rękę i poprowadził ją przez promenadę nad ocean.

Promenada na Coney Island jest ponoć największa na świecie. Kiedy człowiek jest tak napierdolony jak my wtedy, wydaje się, że nie ma końca. A co dopiero, kiedy stoi się na górze. Kiedy udało nam się zejść po schodach na plażę, Naplet wyciągnął miniaturową latarkę Maglite z kieszeni spodni i oznajmił, że idziemy tą samą drogą, którą przyszliliśmy, ale pod promenadą.

Jak w pierdolonym kawałku z wytwórni Motown.

- Ni chuja - oświadczyła rezolutnie Denise. - Skaleczę się w nogę. Jutro wychodzę za mąż.

- Tym się nie przejmuj - powiedział Naplet. - Jak on cię nie zechce, to ja cię wezmę.

- Nadepnę na jakąś narkomańską igłę.

- Przeżyjesz.

- Łatwo ci mówić.

- Idź po moich śladach.

Naplet ruszył do przodu, nawet się nie oglądając, a Denise za nim. Woląa trzymać się go blisko, bo miał latarkę. Lisa poszła za nią, a ja na końcu.

Na dole znajdowało się całe podziemne miasteczko. Z nieznanых powodów w nagraniu z Motown nie było ani słowa na temat ledwo widocznych bezdomnych ani też o tym, jak przerażeni błyskawicznie pierzchają przed tobą, jakby tylko oni wiedzieli o czymś, co się tu czai w półmroku.

Pomimo ciemności, poruszających się cieni czy licznych słupów Naplet bardzo szybko przeprowadził nas na drugą stronę. Jakby znał tu każdy kąt. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, czy nie jest na tyle przytłoczony ślubem Denise, że ma w dupie, co się stanie z nim czy z nami, ale kiedy doszliśmy

do końca - do ogrodzenia z łańcucha przeplatane go poziomymi długimi pasmami plastiku - to doskonale wiedział, gdzie jest wyrwa. Denise i Lisa narzekały na zimny piasek pod stopami, ale Naplet odchylił łańcuch i przytrzymał. Denise weszła pierwsza i nagle wszyscy znaleźliśmy się ponownie na wprost jasnej luny światła Nowego Jorku na tle nocnego nieba.

Staliśmy na asfaltowej drodze na tyłach jakiegoś kompleksu, który wyglądał jak skrzyżowanie elektrowni i ogólniaka. Poszarpany profil betonowych budynków, wysokich na dwa-trzy piętra, łączył się na poziomie parteru i za sprawą nadziemnych pasaży. Nie było tu okien, a jedynie rury przechodzące przez ściany. Wokół rozlegał się szum jakichś urządzeń i roztaczał się dziwny smród zgnilizny.

Ponadto, co też było dziwne, w pewnym oddaleniu widać było jakiś amfiteatr. Od dołu wyraźnie piętrzyły się aluminiowe bariery.

- Co to jest, oczyszczalnia ścieków? - zapytałem.

Nie byłem w stanie stwierdzić, gdzie znajduje się nasz parking.

- Zimno, zimno - powtarzał Naplet. Skierował się wprost do największego budynku. Denise i Lisa, wciąż zajęte wkładaniem butów, przeklinały i skakały za nim.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się razem, Naplet stał już przy wejściu do budynku. I miał klucz.

Kiedy otworzył drzwi, z wewnątrz buchnęło ciepłym powietrzem, jakby budynek odetchnął. Zapachniało oceanem. Skondensowanym zapachem oceanu.



W świetle latarki Napleta zobaczyliśmy korytarz, który zakrzywił się tak jak ściana budynku. Wyglądało to jak wnętrze łodzi podwodnej: metalowe rury świeżo pomalowane na niebiesko, mokry beton, mnóstwo paneli sterowania i kilka zbiorników.

- Zamknijcie za sobą drzwi - polecił Naplet i zaczął iść w głąb budynku. Zapach morza był o wiele bardziej intensywny niż na plaży.

- Naplet, czy jesteśmy w Akwarium? - spytałem.

- Tak jakby - odparł Naplet. Czekał, aż zamknę drzwi.

- Jak to „tak jakby”?

- Wejście od zaplecza - powiedział.

Korytarz kończył się żółtymi, metalowymi schodami, które wznosiły się przy ścianie i niknęły w mroku, zakręcając wraz z krzywizną ściany.

- Okropnie tu cuchnie - stwierdziła Lisa.

- Wali tu cipką - zawyrokowała Denise. Już poczuła bluesa, dołączając do Napleta, który był w wybitnie mało rozrywkowym nastroju. Wzięła go za rękę i pociągnęła po schodach w górę.

Nie pachniało tu wcale cipką. Cuchnęło jak wejście do jaskini, w której drzemie straszny olbrzym.

- Myślę, że to nie jest dobry pomysł – powiedziała Lisa.

Denise spojrzała na nią z góry i przyłożyła palec do ust.

- Ciii. Pietro się tobą zaopiekuje. - Zwracając się w moim kierunku, złożyła dłoń w „V” i polizała złączone palce. Następnie zniknęła wraz z Napletem z pola widzenia, chociaż migający snop latarki wciąż był widoczny, kiedy szli schodami wzdłuż półokrągłej ściany.

- Kurwa mać - zakleła Lisa.
- Jak chcesz, możemy tu poczekać - powiedziałem do niej.
- Taa, jasne. - Spojrzała za siebie na korytarz, który teraz spowijały egipskie ciemności. Odgarnęła kosmyki wilgotnych od potu włosów z twarzy. - Pójdiesz pierwszy? - zaproponowała.
- Jasne - odparłem.

Wkrótce zrobiło się całkiem ciemno, a kiedy zwolniłem, dziewczyna stanęła za mną i objęła mnie w pasie. Miała bardzo mocne ramiona. Kiedy zaczęło mnie to kręcić, moja stopa trafiła w pustkę i uświadomiłem sobie, że jesteśmy na samej górze.

- D e n i s e ! - zasyczała Lisa.
- Tędy - odpowiedziała Denise. Jej głos brzmiał chrapliwie i odbijał się echem od ścian. Poszliśmy za nim z Lisa przez niski korytarz z półkolistym sklepieniem, starając się nie walnąć się w głowę, i nagle znów odzyskaliśmy wzrok, mimo że Naplet wyłączył latarkę. A to dlatego, że pokój, w którym się znaleźliśmy, miał świetlik w suficie.

„Pokój” nie jest właściwym określeniem tego pomieszczenia, które, bez względu na to, czym było, miało olbrzymie rozmiary i heksagonalny kształt. Wokół na podobieństwo galeryjki biegła metalowa kratkowana kładka, pozostawiając w środku otwartą przestrzeń o przekroju jakichś dziesięciu metrów.

Półtora metra pod kładką, również pod tą, na której staliśmy, znajdowała się woda. Czarna jak smoła, błyszczała w świetle padającym ze świetlika.

Staliśmy nad gigantycznym zbiornikiem wody. Cały jebany budynek był zbiornikiem. Naplet i Denise opierali się o barierkę, on stał za nią, obejmując ją ramionami.

- No i co powiesz? - zapytał.

- Co to za miejsce? - zapytałem. Głos roznosił się tu jak w kościele.

- To zbiornik z rekinami.

- Taki jak z *Andrea Doria* ze skrzynią ze skarbami?

- Tak, ale tamtego już dawno nie ma.

Stałem jak urzeczony. Oglądałem basen z rekinami od dołu przez szybę chyba z tuzin razy, ale ani razu od czasów dzieciństwa. Ale z tej strony przypominało to jedno wielkie akwarium. I teraz uświadomiłem sobie, że była to iluzja wywołana za pomocą tunelowych korytarzy biegnących między wolno stojącymi zbiornikami.

Staliśmy teraz nad największym ze zbiorników. Pamiętałem, że sprawiała wrażenie gigantycznego wiru, w którym koszmarnie ryby z martwymi oczami, mijały cię za szybą jakby od niechcenia, bez widocznego ruchu płetwami. Na środku zbiornika, na łasze piasku, leżała skrzynia ze skarbami z *Andrea Doria*.

- Co się stało z tamtą skrzynią? - zapytałem.

- Jakiś błazen ją otworzył przed kamerami w ogólnokrajowej telewizji. Zanim miałeś kablówkę.

- Nie pierdol. I co było w środku?

- A jak myślisz? Trzymali ją na dnie akwarium z rekinami przez całe nasze dzieciństwo. Była pełna mułu.

Lisa chrząknęła.

- Czy są tam rekiny? - zapytała.

- Lisa, to zbiornik z rekinami - przypomniała jej Denise.

Naplet włączył ponownie latarkę i skierował jasny snop na powierzchnię wody. Większość światła odbiła się od niej.

- Możemy włączyć oświetlenie? - zapytałem. Wzdłuż wsporników wokół świetlika wisiały potężne halogeny.

Naplet omiótł je latarką, a następnie ją wyłączył.

- Nie sądzę. Włącza je timer.

Lisa spojrzała pod nogi.

- Czy to mocna konstrukcja? - spytała.

Naplet podskoczył, aż stopy zadudniły o kratę, wprawiając ją w mocne wibracje.

- Wydaje się, że tak - odparł.

- Dziękuję, Adamie - powiedziała Lisa. - Teraz będę rzygać.

- Robi się coraz ciekawiej - stwierdził Naplet. Poprowadził nas galeryjką, omijając otwartą, metalową szafę z kombinezonami płetwonurków i butlami z tlenem. Do części kładki pozbawionej barierki, odgradzonej nylonową, żółtą liną. Odpiął jeden jej koniec.

- Adam, co ty wyrabiasz? - zapytała Denise.

Odsunąłem się. Był to ruch instynktowny - nie byliśmy w stanie spoglądać na ten fragment galeryjki, nie myśląc o tym, co by było, gdyby człowiek wpadł do środka.

- Opuszczam rampę - powiedział Naplet.

Rampa leżała na kładce. Naplet uniósł ją i opuścił, tak że jej koniec zanurzał się w wodzie.

Dudniący huk, z jakim rampa wskoczyła na swoje miejsce - nie spadła jednak równolegle, ale pod kątem czterdziestu pięciu stopni do lustra wody - zdawał się rozbrzmiewać bez końca, a wibracje kładki były tak mocne, że wszyscy mieliśmy wrażenie, że już wpadamy do wody.

- Patrzcie, są kombinezony - powiedział Naplet. - Ktoś ma ochotę popływać?

Nikt się nie odezwał.

- Nie? No to przynajmniej włożę tam nogę. - I naprawdę zaczął wchodzić na rampę.

- Adam, nie rób tego! - krzyknęła Denise.

- Chyba jaja sobie robisz - dodała Lisa.

- Naplet, spierdalaj stąd w podskokach - powiedziałem. Wychyliłem się, żeby go złapać, ale zbliżenie się choćby na metr do fragmentu kładki bez barierki było wystarczająco przerażające.

Naplet usiadł na krawędzi tyłkiem i zaczął jak krab zsuwać się po rampie.

- No, niech mnie ktoś chwyci za rękę - powiedział. - Zaraz się zesram ze strachu.

- Nie ma mowy - odparłem.

- Ja będę cię asekurować - zaproponowała Denise. Podeszła, położyła się na kładce i wyciągnęła rękę w stronę Napleta. Musiała jednak odwrócić wzrok. Naplet chwycił ją i zaczął schodzić.

- Naplet, odpuść sobie - poprosiłem.

Mruknął coś. Między skrajem rampy a powierzchnią wody było jakieś dwadzieścia centymetrów, musiał więc, trzymając dłoń Denise, wyciągnąć się jak struna, by spuścić stopę niżej.

Zanurzył palce stopy w wodzie i wierzgnął, następnie podciągnął nogę z powrotem.

- Widzicie? Żadna filozofia.

Niemal natychmiast w wodzie się zakotłowało, w miejscu gdzie przed chwilą Naplet zanurzał stopę, po chwili obok wystrzelił gejzer. W ciągu kilku sekund cała powierzchnia zarojła się od olbrzymich, smukłych ciał. Wyglądały jak potężne węże kłębiące się w beczce.

- Kurwa, kurwa, kurwa! - krzyczał Naplet, gramoląc się po rampie w górę, po czym przypadł do ściany, a Denise wzięła go w ramiona.

Teraz, kiedy woda się uspokoiła, a po powierzchni przetaczały się jedynie drobne fale, można było zobaczyć, że zbiornik jest pełen rekinów. Jeden przekręcił się w wodzie, ukazując trójkątną, błyszczącą w świetle padającym ze świetlika płetwę.

W końcu rekiny się uspokoiły i znów skryły w toni.

Naplet wybuchnął śmiechem.

- Ja cię pierdolę - wysapał. - Naprawdę myślałem, że się zestrąsasz ze strachu.

Denise walnęła go w piersi, a on ją objął i pocałował. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe i wtedy sobie uświadomiłem, że Lisa i ja też się obejmujemy. Naplet przesunął dłoń po plecach Denise.

- No dobra - powiedział do mnie i do Lisy. - Po której stronie chcecie się ułożyć?

- Chcesz powiedzieć, że mamy się tutaj kochać? - zapytała Lisa.

- To wieczór panieński, więc odpowiedź brzmi - tak.

- O żeby cię tak chudy byk wydymał.

- Nie miało być romantycznie - powiedział Naplet. - Miało być pierwotnie. Czyli tak jak teraz. Mam rację, Denise?

- A żebyś, kurwa, wiedział - odparła.

- No to gdzie chcecie? - zapytał ponownie.

- Denise... - zaczęła Lisa.

Denise spojrzała na nią i krzyknęła:

- No powiedz, kurwa, gdzie!

Powiedziała. W miejscu, gdzie stała szafa i kombinezony.

Na których można było usiąść, objąć się i w końcu obłącić bez konieczności spoglądania w wodę. Nawet jeśli wciąż było ją czuć.

Jak trzeba być młodym, szalonym i nieopierzonym, żeby uprawiać seks w miejscu, które zdawało się bacznie obserwowane przez łypiące oko szatana?

Nie jestem w stanie tego stwierdzić. Mogę tylko powiedzieć, że dwadzieścia cztery godziny później, po spotkaniu Magdaleny, moje życie uległo całkowitej przemianie.

**W** dyżurce pielęgniarek przy sali Duposzczaka i Mosbyego podchodzi do mnie chłopczyna w kitlu „wolontariusza”. Jest studentem City College, który wierzy, że pewnego dnia dostanie się na medycynę i zostanie neurochirurgiem. Chce być jak jego dziadek, który pracował całe życie, żeby zdobyć rodzinną fortunę. I może on też taki będzie.

Wiem to wszystko dlatego, że zapytałem go kiedyś, dlaczego ma afro przycięte na kształt ludzkiego mózgu.

- Ej, doktorze Brown...
- Nie mam czasu - mówię.
- Nie ma sprawy, chciałem tylko powiedzieć, że zabrałem jednego pacjenta na rehabilitację.

Czyli fizjoterapię. Staję.

- Jakiego pacjenta? Chłopak sprawdza na karcie.
- Mosbyego.
- A kto ci kazał zabierać Mosbyego na fizjoterapię?
- Pan. Wpisał pan to w kartę.
- W kartę? Kurwa mać. Jak go tam zaprowadziłeś?
- Zawiozłem na wózku.



Kurwa!

Odwracam się do pielęgniarek.

- Czy któraś z was wzięła kartę Mosby'ego i włożyła ją w przegródkę zleceń?

Cała czwórka unika mojego wzroku, jak zawsze kiedy coś jest nie tak. Jak w filmie przyrodniczym.

- Naprawdę zabrałeś go na fizjoterapię? - pytam chłopaka.

- Nie. Powiedzieli mi, żebym go zostawił w poczekalni, bo muszą znaleźć fizjoterapeutę.

- W porządku. Chcesz pójść na wycieczkę?

- Jasne! - mówi.

Zwracam się do moich studentów, którzy wychodzą z sali Dupuszczaka i Mosby'ego.

- No dobra - mówię. - Jak ktoś zapyta, gdzie jest Mosby, to macie mówić, że w rentgenie. Jak powiedzą, że w rentgenie już szukali, to macie powiedzieć, że może w fizjoterapii. Tymczasem macie ukraść mi trochę antybiotyków, zanim wrócą wyniki z laboratorium w sprawie tego szamba, w którym utkwilem. Chcę mieć cefalosporynę trzeciej generacji, makrolid i fluorochinolon. Chcę też trochę środków przeciwwirusowych\* - wszystko, co zdołacie wynieść. Znajdźcie taką kombinację, która mnie nie

[Środki przeciwwirusowe nie są antybiotykami, ponieważ wirusy, w odróżnieniu od bakterii, nie są „biotyczne” - nie żyją. Są jedynie wycinkami kodu genetycznego, które po pojawieniu się w ludzkim organizmie są powielane jako identyczne fragmenty kodu genetycznego, po czym się rozprzestrzeniają. Niektóre wirusy, takie jak HIV, są nawet bezpośrednio włączane do ludzkiego kodu genetycznego, żeby się łatwiej kopiowały, i stają się częścią organizmu.]

wykończy. Jeśli wam się nie uda, po prostu weźcie to, co przepisałem Duposzczakowi, i podwójkcie dawkę. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana - mówi jedno z nich.
- Dobra. Tylko nie świrujcie.

Zwracam się do chłopaka z mózgiem afro i mówię:

- Ty chodź ze mną.

W windzie ponownie pytam go o nazwisko.

- Mershawn - mówi.

Nie proszę, żeby przeliterował.

Każę mu włożyć kurtkę. Ja mam na sobie kitel z wyhaftowanym napisem na kieszonce „Lottie Luise, lek. med.” Nie wiem, kim jest Lottie Luise, ale zostawia garderobę w dogodnych miejscach. Czy też zostawiała.

- Mershawn, nie daj sobie przekłuć języka - rzucam, kiedy stajemy na parterze.

- A pierdolić to badziewie - mówi Mershawn.

Przed szpitalem pada śnieg z deszczem i jest chujowo. Wiadoczość, jak to mówią, jest słaba.

Nie wiem, czego oczekiwałem - cóż, śladów kół wózka w brei, jak sądzę - ale ktoś już posypał chodnik solą i przeszło po nim już z trzydzieści osób na minutę. Do tego pięćdziesiąt jardów metalowego daszka biegło wzdłuż całej fasady budynku. Chodnik pokrywa szaro-czarna woda.

- Dokąd mógł pójść? - zastanawiam się. Myślę sobie: „Jeśli wyjechał tym wyjściem, bo przecież jest przynajmniej jedno na każdej fasadzie szpitala”.

- Tędy - mówi Mershawn.

- Niby dlaczego?

- Bo tu jest z górki.

- Niech mnie - mówię. - Już się cieszę, że cię zabrałem.

Za rogiem boczna uliczka skręca nad rzekę jeszcze bardziej stromo niż ta, po której idziemy. Mershawn kiwa głową w tym kierunku i skręcamy w nią.

Kilka przecznic dalej znajduje się dwadzieścia pięć stóp brei, na której widać ślady. Widzimy kurewsko wyraźne ślady kół wózka inwalidzkiego. Skręcają w stronę pokrytych graffiti metalowych drzwi, w budynku z oknami zabitymi deskami, po czym urywają się, nie dotarłszy do samego wejścia.

Podchodzę i walę w drzwi. Mershawn spogląda podejrzliwie na budynek.

- Co to za miejsce? - pyta.

- The Pole Vault - mówię.

- A co to takiego?

- Poważnie pytasz?

Tylko patrzy na mnie.

- To bar gejowski - wyjaśniam.

Drzwi otwiera pięćdziesięcioletni Murzyn ze szpakowatymi włosami i potężną klatą. Ma na sobie robociarską flanelową koszulę i okulary.

- O co chodzi? - pyta, przekrzywiając głowę, by się nam przyjrzeć.

- Szukamy starszego czarnego mężczyzny na wózku inwalidzkim - mówię.

Przez chwilę mężczyzna stoi tylko i gwizdże jakąś melodię, której nie jestem w stanie rozpoznać. Po chwili pyta:

- Po co?

Mershawn odpowiada:

- Bo nie dostaliśmy takiego na Gwiazdkę, a w sklepie skończył się zestaw Starszy Czarny Facet na Wózku.

Dodaje:

- Jest pacjentem w szpitalu i właśnie z niego uciekł.

- Szpitalu psychiatrycznym?

- Nie. Ma gangrenę stóp. Jest może trochę opóźniony.

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę. Znów gwizdże.

- Nie wiem dlaczego, ale coś mi mówi, że macie dobre zamiary, kretyni - mówi w końcu. - Pojechał do parku.

- Dlaczego do parku? - pytam.

- Prosił o koc.

- I dał mu pan?

- Dałem mu kurtkę, którą zostawił jeden z klientów. Nałożyłem mu ją. - Rozgląda się wokół i dreszcz przerywa jego kolejne gwizdnięcie. - To wszystko?

- Taa - mówię. - Ale jesteśmy panu winni przysługę. Powinien się pan do nas zgłosić i zbadać, czy nie ma pan rozedmy płuc.

Mężczyzna marszczy nos na widok napisu „Lottie Luise, lek. med.” na moim kitlu.

- Dziękuję, doktorze Luise - mówi.
- Nazywam się Peter Brown. To jest Mershawn. Przyjmiemy pana i wypiszemy za friko.

Mężczyzna śmieje się świszcząco, po czym krztusi.

- Dlatego jeszcze się kołaczę, bo nie chodzę po szpitalach - stwierdza.
- Słusznie - muszę powiedzieć.

Po drodze do parku Mershawn pyta mnie, skąd wiedziałem, że facet ma problemy ze zdrowiem, i wymieniam zaobserwowane u niego objawy. Potem dodaję:

- Lekcja numer jeden, Mershawn. Kto gwizdże?
- Dupki?
- No dobra. Kto jeszcze?

Mershawn zastanawia się długo.

- Ludzie, którzy myślą o czymś, a potem podprogowo kojarzą tę melodię z tym, o czym myślą. Tak jak pan bada nerw cząstkowy i zaczyna gwizdać kawałek *Głowa do góry*.

- Dobrze - mówię. - Ale mnóstwo ludzi gwizdże dlatego, że podświadomie stara się zwiększyć ciśnienie powietrza w płucach, żeby do tkanek dostało się więcej tlenu.

- Bez jaj.
- Z jajami. Pamiętasz krasnali, którzy w *Królewnie Śnieżce* pracowali w kopalni?
- No dobra, łapię.
- Jakbyś miał krzemicę, to nawet dupą byś gwizdał.

- Niech mnie.

- No właśnie.

Przez resztę drogi czułem się jak profesor Marmoset.

Duke Mosby, kiedy go znaleźliśmy, siedział pod wiatą z widokiem na rzekę Hudson na pagórkach Riverside Park. To wspaniały widok, ale rzeka walczy z podglądaczami, ciskając w nich gwałtowne podmuchy wilgotnego wiatru. Czuje się to wyraźnie przez szczeliny w lekarskich chodakach. Unosi płatki śniegu z ziemi i podwiewa je ku górze w stronę tych, które lecą z nieba. Osiadają na włosach i rzesach Mosby'ego.

- Jak tam, panie Mosby? - przekrzykuję wiatr.

Odwraca się i uśmiecha.

- Nie za dobrze, doktorze, a u ciebie?

- Zna pan Mershawna?

- Jasne, że znam - mówi, nie patrząc na niego. - Doktorze, proszę mi powiedzieć. Dlaczego to takie ważne, żeby obserwować co jakiś czas rzekę?

- Nie wiem - odpowiadam. - Myślę, że na studiach medycznych przeoczyłem ten wykład.

- Myślę, że to dlatego, że musimy popatrzeć na coś, co Bóg kiedyś stworzył. Podobnie gdyby posadzili jakieś rośliny wokół obozów jenieckich, to ludzie nie uciekaliby tak często.

- Jeśli miałbym patrzeć na coś, co stworzył Bóg - odzywa się Mershawn - to wolałbym popatrzeć sobie na cipkę.

- A widzisz tu gdzieś jakieś cipki? - pyta go Mosby.
  - Nie, proszę pana.
  - No to chyba pozostaje nam tylko gapić się na rzekę. - Mosby zauważa fryzurę Mershawna i mówi: - Co ty masz, do diabła, na głowie?
- Wydaje mi się, że tracę zmysły.
- Możemy już wrócić do szpitala? - pytam.

W lobby znów próbuję, chyba odruchowo, zadzwonić do profesora Marmoseta. Zagryzam wargę w oczekiwaniu na Robaczkę Świętojańską, ale tym razem to on odbiera telefon.

- Taa, tu Carl... - mówi.
- Profesor Marmoset?
- Tak? - Nie wie, co powiedzieć. - Kto mówi?
- Tu Ishmael - oznajmiam. - Proszę poczekać. - Zwracam się do Mershawna: - Mogę ci to zostawić? - pytam.
- Poradzę sobie - odpowiada.
- Wierzę w ciebie - mówię, patrząc mu głęboko w oczy, co czasami działa. - Zabierz go na fizjoterapię, odczekaj dwadzieścia minut, zapytaj, dlaczego nie zawołali go na zabieg. Kiedy ci powiedzą, że nie ma wyznaczonego zabiegu, zabierz go na górę i powiedz, że zaszła pomyłka. Zrozumiałeś?
- Zrozumiałem.
- Wierzę w ciebie - powtarzam. Po czym odwracam się od niego i odkrywam mikrofon telefonu. - Profesorze Marmoset?

- Ishmael! Nie mogę długo rozmawiać, czekam na telefon.  
Co się dzieje?

Co się dzieje? Tak się cieszę, że w końcu z nim rozmawiam, że nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, od czego chciałem zacząć.

- Ishmael?
- Mam pacjenta z sygnetową komórką rakową - mówię.
- To niedobrze. Dalej.
- Taa. Facet o nazwisku Friendly ma mu robić laparotomię.

Sprawdzałem go...

- John Friendly?
- Tak.
- I to jest twój pacjent?
- Tak.
- Niech ktoś inny to zrobi - mówi.
- Dlaczego? - pytam.
- Ponieważ, jak sądzę, chcesz, żeby przeżył.
- Ale mówią o Friendlym, że jest jednym z najwyższej notowanych chirurgów w Nowym Jorku.
  - Może w kolorowych magazynach - twierdzi profesor Marmoset. - Naciąga statystyki. Na przykład sprowadza własne zapasy krwi na salę operacyjną, żeby nie zgłaszać transfuzji. Jeśli spojrzymy na niego serio, to rzeźnik.
  - Jezu - rzucam. - Nie chciał, żeby pacjent życzył sobie zaprzestania reanimacji.
  - No właśnie. Kiedy twój pacjent zmieni się w warzywo, Friendly nie będzie miał zgonu na sali w papierach.
  - Kurwa mać! Jak mam go wypierdolić z sali operacyjnej?



- Zastanówmy się przez chwilę - mówi profesor Marmoset. - Dobra. Zadzwoń do chirurga gastrologa o nazwisku Leland Marker z Cornell. Pewnie jest gdzieś na nartach, ale w gabinecie go namierzą. Powiedz jego sekretarce, że Bill Clinton potrzebuje laparotomii i że ukrywa się w Manhattan Catholic, by uniknąć dziennikarzy. Powiedz, że Clinton leży tam pod fałszywym nazwiskiem i podaj nazwisko pacjenta. Marker będzie wkurwiony jak szerszeń, kiedy się dowie prawdy, ale będzie już za późno i będzie musiał operować.

- Myślę, że nie mamy na to czasu - odpowiadam. - Friendly będzie operował za kilka godzin.

- Cóż, możesz mu dać środek na przeczyszczenie do kawy, ale z tego, co o nim słyszałem, to prawdopodobnie nie zadziała.

Opieram się o ścianę. W uchu mi dzwoni i zaczynam mieć zawroty głowy.

- Profesorze Marmoset - mówię. - Ten pacjent musi żyć.

- Wygląda mi na to, że ktoś musi się nauczyć traktować pacjentów z dystansem.

- Nie. Chodzi o to, że dla mnie jest to cholernie ważne, żeby ten pacjent przeżył.

Chwila ciszy. Profesor Marmoset mówi:

- Ishmaelu, czy wszystko w porządku?

- Nie - odpowiadam. - Muszę dopilnować, żeby ten pacjent nie kopnął w kalendarz.

- Dlaczego?

- To długa opowieść. Ale muszę i już.

- Czy mam się zacząć martwić o ciebie?

- Nie. Nic by to nie dało.

Znów zalega cisza, podczas której profesor zastanawia się, co ma o tym wszystkim myśleć.

- No dobrze - mówi. - Ale tylko dlatego, że mam już kilka oczekujących połączeń. Chcę, żebyś do mnie zadzwonił, kiedy będziesz mógł mi o tym opowiedzieć. Zostaw wiadomość. Tymczasem myślę, że powinieneś się wyszorować przed zabiegiem.

- Wyszorować? Od czasów szkoły medycznej nie przeprowadzałem żadnych operacji. I nawet wtedy szło mi to jak krew z nosa.

- A tak, pamiętam - mówi. - Ale nie możesz być gorszy niż doktor John Friendly. Powodzenia.

I rozłącza się.

**P**oznałem Magdalенę w dniu ślubu Denise, 13 sierpnia 1999 roku. Grała w sekstecie smyczkowym na altówce. Zwykle grywała w kwartecie, ale jej agentka miała pod opieką kilka kwartetów, więc kiedy klienci chcieli sekstetu, przeważnie na wesela, tworzoneo sekstet. Na ślubie Denise był sekstet, a po kolacji dździej.

Było to huczne wesele. Odbywało się w country clubie na Long Island, który należał do rodziny pana młodego, ponieważ Denise chciała, żeby przyjęcie odbyło się na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie mieszkała jej liczna rodzina. Mnie i Napleta posadzono o jakąś miłą od panny młodej.

Z nieznaných przyczyn wszyscy uważali, że moja praca polega na niańczeniu Napleta i że mam pilnować, żeby nie był ani za trzeźwy, ani za pijany, no i żeby nie zrobił żadnego głupstwa. Było to okropne zajęcie i szybko mi się znudziło. Miałem niemal takiego samego kaca jak on i nie chciałem już słuchać jego jójczenia. Myślałem skrycie, że powinien wywołać skandal i uciec z panną młodą. Powinien zignorować więzy, tradycje rodzinne oraz

konwenanse i pozostać wierny pierdołom ze *Złotej gałęzi*.

Ale rytuały robią z nas pierdolonych kretynów. Jak w przypadku tych ptaków, które śpią z głowami zwróconymi do tyłu, ponieważ ich przodkowie spali z głowami pod skrzydłami. Plutarch twierdził, że przenoszenie żony przez próg to kretynizm, ponieważ nie pamiętamy, że jest to pozostałość po porwaniu Sabinek - a to pisał jebany Plutarch, dwa tysiące lat temu. Wciąż rysujemy kostuchę z kosą. Powinniśmy ją rysować w ciągniku marki John Deere, pracującym dla koncernu Archer Daniels Midland.

Więc może to zrozumiałe, że Naplet nie miał ochoty uczestniczyć w hecy, która miała parotysiącletnią tradycję. Czulem się lekko wczorajszy, a do tego dochodziła jeszcze ta gorąca wilgoć. W pewnej chwili przeszedłem kawał drogi od baru, by odpocząć trochę od Napleta.

Wtedy zobaczyłem Magdalenę.

To chyba nie wasza sprawa, ale jeśli naprawdę chcecie, żebym powiedział coś o niej, to proszę bardzo.

Wyglądała tak: Miała czarne włosy z wyraźnymi zakolami. Skośne oczy. Była drobna. Drobnej budowy ciała z wyjątkiem muskularnych nóg od biegania. Zanim ją poznałem, zawsze preferowałem duże blondyny. Ale kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że mogą jej buty czyścić.

Biała bluzka, którą miała na ślubie, była na nią za duża, dlatego podwinęła rękawy i rozpięła kołnierzyk.

Widać było jej obojczyki. Podczas gry miała włosy związane czarną wstążką, ale niesforne kosmyki spadały jej na czoło. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wyglądały jak czułki owada.

Tego wieczoru była blada, ale za każdym razem po paru godzinach na słońcu brązowała i przypominała Egipcjanke, a może Marsjanke. Spód jej bikini rozciągał się na wyrazistych kościach biodrowych i odstawał na centymetr od ciała, tak że można było wsunąć dłoń do środka. Miała pełne usta. Za te usta zabiłbym jeszcze raz wszystkich, których zabiłem wcześniej.

Te cechy jednak nie mówią nic o niej samej. Nawet nie opisują jej wyglądu.

Była Rumunką. Urodziła się tam i w wieku czternastu lat przeniosła do USA, wystarczająco późno, by zachować obcy akcent. Była żarliwą katoliczką. Co niedzielę chodziła do kościoła i kiedy się modliła, nad jej górną wargą pojawiały się kropelki potu.

Może się wam wydawać dziwne, że jedyna osoba, którą tak kochałem, była aż tak religijna. Ja jednak nawet to w niej kochałem. W jej obecności trudno było zaprzeczać, że istnieje na świecie jakaś magia, poza tym była zupełnie niedogmatyczna. Dla niej fakt, że ona była katoliczką, a ja nie, również należał do boskiego planu. Bóg chciał, żebyśmy byli razem, i nigdy nie sprawiłby, żeby pokochała kogoś, kogo i On nie kochał.

Zanim poznałem Magdalenę, na myśl o katolicyzmie przychodziły mi do głowy zakurzone ikony, skorumpowani papieże i *Egzorcysta*. Ale kiedy stawały mi przed oczyma straszne drewniane rzeźby świętej Małgorzaty, Magdalena wyobrażała sobie

świętą Małgorzatę na szkockich zboczach w otoczeniu motyli. Magdalena była dla mnie tym, kim dla niej była Maryja Dziewica. Nigdy nie czułem z tego powodu zazdrości. Byłem tylko wdzięczny, że dane mi jest być w jej towarzystwie.

A propos Sabinek, to bardzo lubiłem nosić Magdalenę. Kiedy miałem mieszkanie w Demarest, a Napleta nie było, robiłem to godzinami. Nosilem ją nagą na rękach, w stylu *Potwora z Czarnej Laguny*, albo na ramieniu, jak dziecko, a ona obejmowała mnie ramionami za szyję. Czasami opierałem się dłońmi o ścianę, a ona zsuwała się i siadała mi udami na ramionach, tak że mogłem lizać ją całą, od cipy do szyi, ściskając biodra i zębra.

W dalszym ciągu nie powiedziałem niczego, co mogłoby wam ją przybliżyć.

Znaliśmy się od chwili, kiedy się zobaczyliśmy. Czy to przygnębiające? Odmienne od tego, co się jeszcze kiedyś przytrafi mnie czy komuś innemu?

Zobaczyłem ją i nie mogłem oderwać od niej wzroku, a ona ode mnie. Obawiałem się, że to dlatego, iż stoję w miejscu, w które musi patrzeć podczas gry, więc przesunąłem się, a jej wzrok powędrował za mną. Kiedy miała przerwy w grze, kiedy odkładała altówkę, rozchyłała lekko usta.

Potem za moimi plecami pojawił się Naplet i powiedział:

- Ej, ten pedał wyszedł sam.
- Kto? - Wciąż patrzyłem na Magdalenę.

- Mąż Denise.

Słowa „pedał” Naplet nauczył się od Kurta Limmego. Zaczął używać go w ironicznym kontekście, jak mafijne karki, ale przyłgnęło do niego na dobre. I wcale nie odnosiło się do homoseksualistów.

- No dobra - odparłem.

- Chodźmy za nim.

- Nie, dzięki.

- Jak sobie chcesz, kutafonie - powiedział. - Sam pójdę. Po chwili rzuciłem:

- Kurwa - i powlokłem się za nim.

Zobaczyłem, jak Naplet wchodzi od tyłu do namiotu z cateringiem. Poszedłem tam.

Mąż Denise stał w mroku i samotnie palił jointa. Był blondynem z kucykami, w okularach bez oprawek, i pracował, zdaje się, jako animator komputerowy w Los Angeles. Chyba miał na imię Steven, choć kogo to obchodzi.

- To okurwiały j a r a c z ? - zdziwił się Naplet.

Facet wyglądał na dwadzieścia sześć lat, czyli był cztery lata starszy od nas i sześć od Denise. Zapytał:

- To ty, Adam?

- A żebyś, kurwa, wiedział - odparł Naplet.

- To ty jesteś ten mafijny kuzynek?

- Kto ja jestem? - warknął Naplet.

- Pewnie się pomyliłem. No to jak zarabiasz na życie?

- Ty do mnie, kurwa, pyszczysz? - wrzasnął Naplet.

Facet strzelił końcówką jointa w przestrzeń i włożył rękę do

kieszeni. Byłem pod wrażeniem. Mógł skopać Napletowi dupę, gdyby Naplet był sam, ale nie był.

- Zaraz Pietro wsadzi ci łeb w rzyć tak głęboko, że nie będziesz mógł go wyjąć! - zagroził Naplet.

- Nie, nie wsadzi - powiedziałem, kładąc rękę na ramieniu Napleta. Powiedziałem do faceta: - Upił się trochę.

- Widzę - stwierdził facet.

Naplet strząsnął moją dłoń.

- A pierdolcie się obydwaj.

Chwyciłem Napleta za ramię na tyle mocno, że nie mógł się wyrwać.

- No proszę uprzejmie - zwróciłem się do niego. - Pogratuluj panu.

- A jebaj się - rzucił Naplet. I do faceta: - Żebyś mi ją dobrze traktował.

Facet był na tyle mądry, że nie odpowiedział, kiedy wyciągałem Napleta z powrotem na wesele.

Zabrałem go do naszego stolika i zmusiłem do zażycia dwóch xanaksów. Kiedy zaczęły działać, zostawiłem go i wróciłem do obserwacji sekstetu.

O dziewiątej skończyli występ, żeby ustąpić miejsca didżejowi i żeby ludzie mogli zacząć tańczyć. Wszyscy wstali i zaczęli pakować instrumenty oraz statywy na nuty

Podszedłem do sceny. Magdalena się zaczerwieniła. Podczas pakowania się unikała mojego wzroku.

- Cześć - zagałem.



Zamarła. Pozostali się gapili.

- Mogę z tobą zamienić słówko? - zapytałem.

- Nie wolno nam rozmawiać z gośćmi weselnymi - powiedziała jedna kobieta z sekstetu. Ta, co grała na wiolonczeli. Miała wyraźny przodozgryz.

- No to czy mogę do ciebie zadzwonić? - zapytałem Magdalenę.

Pokręciła głową.

- Przepraszam. - Po raz pierwszy usłyszałem jej akcent.

- A mogę dać ci mój numer? Może ty zadzwonisz?

Spojrzała na mnie.

Powiedziała:

- Tak.

Później, kiedy stałem cały oszołomiony, podszedł do mnie Kurt Limme.

- Zauważyłem, że bierzesz się do służby - powiedział.

- Nie wiedziałem, że cię tu zaprosili - odparłem.

- Przybyłem, by wspierać Napleta. Strasznie mu ciężko.

- Taa, wiem. Byłem z nim cały wieczór.

Limme wzruszył ramionami.

- Byłem zajęty. Wyjechałem jego ciotkę w przewoźnym kiblu.

- Shirl? - zapytałem.

Wygłądał na zmieszanego.

- Tak.

- Nie wiedziałem, że tak z nią źle - stwierdziłem. - Mam nadzieję, że była pijana.

Ale miałem to gdzieś.

Dopadła mnie już miłość.

Przez kolejne trzy dni w Demarest chodziłem po ścianach i czekałem na jej telefon. Kiedy zamiast niej zadzwonił David Locano i poprosił o spotkanie w starej Rosyjskiej Łażni na Dziesiątej Ulicy na Manhattanie, odczekałem przystałem na to, by się czymkolwiek zająć.

Locano od czasu do czasu pojawiał się tam w nadziei, że FBI nie ma mikrofonu, który wytrzymałby w łaźni parowej. Wydawało się to dmuchaniem na zimne - działo się to przed 11 września, kiedy wszyscy dowiedzieli się, jak niekompetentne było Biuro pod rządami Louisa Freeha - ale i tak przyjemnie było się odświeżyć.

Ja nawet lubiłem tę łaźnię. Było tu brudno, ale człowiek miał wrażenie, że jest w starożytnym Rzymie.

- Adam przeprowadza się do własnego mieszkania na Manhattanie - powiedział mi na wstępie Locano, kiedy tylko się tam pojawiłem.

Wyglądał na przybitego. Siedział zgarbiony, owinięty jedynie ręcznikiem kąpielowym.

- Taa - powiedziałem.

Usiadłem koło niego.

- Miałeś mi zamiar o tym powiedzieć?

- Wydawało mi się, że wiesz.

- Widziałeś to mieszkanie?

- Taa, poszedłem razem z nim, żeby mu się przyjrzeć.

Aż się skrzywił.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Powinieneś jego zapytać.

- Taa, jasne. Prawie nie rozmawiamy ze sobą. Nawet kiedy się widzimy.

- Przechodzi trudny okres.

Była to prawda. Naplet spędzał cały czas z Kurtem Limmem. Ale nie byłem z tego powodu specjalnie przygnębiony. Miałem swoje życie i w przedziwny sposób to, że Naplet buntował się przeciwko mnie tak jak przeciwko ojcu, pochlebiało mi. Pokazywało, że Naplet ulegał moim wpływom tak samo, jak ja ulegałem jego wpływom.

Jednakże jego ojciec miał odmienne zdanie.

- To przez tego skurwiela Kurta Limmego - stwierdził. - Chce wciągnąć Adama do biznesu.

- Naplet nie da sobą kierować - powiedziałem.

Wolno pokiwał głową. Ani on, ani ja nie wierzyliśmy w te słowa.

- Naprawdę nie chcę, żeby to się stało - podjął Locano.

- Ja też nie.

Ściszył głos do szeptu:

- Wiesz, że to się wiąże z zabiciem kogoś.

Odczekałem chwilę.

- A może w jego przypadku zrobią wyjątek? - zapytałem.

- Nie rób z siebie większego wała - powiedział Locano. -

Wiesz, że nie ma wyjątków.

Chyba wiedziałem.

Ale i tak spanikowałem, kiedy to potwierdził.

- No to co możemy zrobić? - zapytałem.
- Nie możemy do tego dopuścić.
- Jasne, ale jak?

Locano odwrócił wzrok ode mnie i wyszeptał coś. Nie usłyszałem co. Powiedziałem:

- Proszę? Możesz powtórzyć?
- Chciałbym, żebyś zabił Limmego.
- Co?
- Zapłacę ci pięćdziesiąt patyków.
- Nic z tego. Powinieneś wiedzieć, że nie wchodzę w takie numery.
- Stówa. Powiedz ile.
- Nie robię w tym temacie.
- Nie chodzi tylko o Adama. Limme to niezłe ziółko. - Niezłe ziółko? Kogo to, kurwa, obchodzi?
- To bezwzględny morderca.
- Jak to?
- Strzelił rosyjskiemu sprzedawcy ze spożywczaaka prosto w twarz.
- Żeby się wkupić?
- A co to za różnica?
- Różnica po chuju. Mówisz mi, że Limme zastrzelił kogoś pięć lat temu? Do dupy. Zasługuje za to na kulę w łeb i mam nadzieję, że przynajmniej zgnije w mamrze. Ale nie daje mi to prawa, żeby go zabić. Tobie też nie daje. Jeśli tak emocjonalnie to odbierasz, zadzwoń po gliny.
- Wiesz, że nie mogę tego zrobić - powiedział.
- Nie mogę zamordować kogoś za to, że daje zły przykład Napletowi. A kogo ty zabiłeś, żeby się wkupić?

W jego głosie dało się teraz słyszeć ostre nuty:

- Nie twój zasrany interes.
- Co mi tam - odparłem.
- Co cię, kurwa, opętało? - powiedział. Po czym dodał: - Słyszałem, że rozmawiałeś z Limmem na weselu Denise.
- Przez jakieś trzydzieści sekund dopiekaliśmy sobie nawzajem. Nienawidzę tego fajfusa.
- A Adam go, kurwa, uwielbia - oznajmił Locano. - Wyląduj przez to na cmentarzu albo w pudle.
- Taa - odparłem. - Może powinienes pomyśleć o tym dwadzieścia lat wcześniej.

Co mogę powiedzieć?

Tatusz twojego najlepszego kumpla. Zaczynasz traktować go jak swojego starego albo też jako ucieleśnienie tego, jak powinien wyglądać twój stary. Zaczynasz wierzyć, że cię lubi, że możesz mu ufać i że nawet możesz mu pyskować.

Nigdy nie przychodzi ci do głowy: Ten facet to morderca i do tego ma olej w głowie. Wkurwisz go, to da ci popalić. Bez zmrużenia powieki.

Znaczy, nigdy tak nie myślisz, póki nie jest za późno.

Kiedy wróciłem do mieszkania, zastałem wiadomość.

- Cześć. Tu mówi Magdalena.

Zdyszany głos, jakby starała się za wszelką cenę mówić cicho. Później milczenie i dźwięk odkładanej słuchawki. Nic więcej. Żadnego numeru.

Wiadomość wywróciła mój świat kołami do góry. Odtworzyłem ją pięć czy sześć razy, potem zadzwoniłem do Barbary Locano, później do Shirl, bo czułem się nieswojo po rozmowie o Limmem. Shirl dała mi namiar na organizatorkę wesela na Manhattanie, która zatrudniła sekstet.

Organizatorka powiedziała mi w rozmowie przez komórkę w samochodzie, że nie rozdaje namiarów wykonawców „w celu zachowania ich prywatności”. Powiedziała:

- Jestem pewna, że znajdzie pan doskonałą orkiestrę, kiedy będzie pan planował własny ślub.

Umówiłem się z nią w biurze następnego dnia na wstępną wycenę i kiedy zaczęła wpadać w nieznoszący sprzeciwu romantyczny nastrój, nawet nie starałem się dociec, jak bardzo jest serio, i zrobiłem wszystko, czego ode mnie zażądała. Nawet tego nie zauważyłem.

Zdobycie rozkładu zleceń Magdaleny było o wiele łatwiejsze. Marta, jej agentka, chciała dać mi go w ramach reklamy na swoje ryzyko. Najwyraźniej nikt nie nachodzi agentek.

Większość imprez w kalendarzu kwartetu odbywała się w prywatnych domach, które mogłyby, ale nie musiały, być na tyle duże, że można się było pokazać na nich bez wywoływania sensacji. Wybrałem więc wesele w Fort Tryon Park, na górnym Manhattanie, które zaczynało się po zmroku. Kiedy tam dotarłem, okazało się, że odbywa się w wielkim namiocie, rozbitym przy ogrodzonej murem restauracji w parku. Nie była to duża impreza i mało huczna, więc dopiero kiedy zgromadził się tłumek,

mogłem się weń wmieszać. Miałem na sobie garnitur, bo założyłem, słusznie zresztą, że nikt nie będzie występował w smokingu na weselu w Fort Tryon Park.

Magdalena miała na sobie tę samą białą bluzkę i czarne spodnie. Trzymałem się z daleka od niej, aż zespół zrobił sobie przerwę na papierosa przy drodze na wzgórzu. Wtedy do niej podszedłem. Rozmawiała z wiolonczelistką przy furgonie.

- Cześć - powiedziałem.

- Cześć - odpowiedziała wiolonczelistka. Jej przodozgrzyz uwypukliło jeszcze wyzwanie w głosie.

- W porządku - powiedziała do niej Magdalena.

Wiolonczelistka powiedziała coś w języku, którego nawet nie rozpoznałem, a Magdalena odpowiedziała jej, jak sądzę, w tym samym.

- Będę tam - zwróciła się do nas wiolonczelistka i poszła sobie.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem.

- Jest troskliwa - powiedziałem w końcu.

- Tak. Uważa, że powinna. Nie wiem czemu.

- Rozumiem ją.

Uśmiechnęła się.

- Czy to typowy tekst na podryw?

- Nie. Może. Chcę cię poznać.

Przekrzywiła głowę na bok i zmrużyła jedno oko.

- Wiesz, że jestem Rumunką?

- Nie. Nic o tobie nie wiem.

- Raczej nic nie wyjdzie między Rumunką i Amerykaninem.

- Wcale tak nie uważam.

- Ja też nie - odparła.

Korzystając z tego, że dobrze usłyszałem, zapytałem ją:

- Kiedy możemy się zobaczyć?

Uciekła wzrokiem. Westchnęła.

- Mieszkam z rodzicami - odparła.

Przez krótką straszliwą chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie ma szesnastu lat. Było to możliwe. Zachodziła też taka ewentualność, że miała trzydziestkę, bo emanowała aurą starożytności, jaka kojarzyła się z wampirem albo aniołem.

Mówiąc szczerze, nawet gdyby miała szesnaście lat, to i tak by mnie to nie powstrzymało.

- Ile masz lat? - zapytałem.

- Dwadzieścia. A ty?

- Dwadzieścia dwa.

- No to cóż. - Uśmiechnęła się. - Idealnie.

- Chodźmy gdzieś już teraz - zaproponowałem.

Dotknęła wierzchu mej dłoni mocnymi, wysmukłymi palcami.

Uniosłem rękę i spleśliśmy palce.

Później, kiedy spała, z najwyższym trudem obejmując tymi palcami moje klejnoty, lubiłem wspominać ten wieczór w parku. Ale wtedy powiedziała:

- Nie mogę.

- No to kiedy cię znów zobaczę?

- Nie wiem. Zadzwoń do ciebie.

- To b a r d z o w a ż n e, żebyś do mnie zadzwoniła.

- Zadzwoń na pewno. Ale mamy tylko jeden telefon w domu.



- Zadzwoń skądkolwiek. Wszystko jedno o jakiej porze. Masz jeszcze mój numer?

Wyrecytowała go z pamięci, co sprawiło mi niewysłowioną przyjemność.

Ale minął cały długi tydzień bez telefonu. Szaleństwo. Zrobiłem przekierowanie telefonu do pracy, po czym jechałem jak wariat, żeby nie przegapić wiadomości od niej. Wszędzie po domu nosiłem ze sobą słuchawkę bezprzewodową. Rozłączałem się, kiedy dzwoniли inni.

Zadzwo niła w niedzielny wieczór, późno. Robiłem pompki, stojąc na rękach przy ścianie, i krzyczałem. Na zewnątrz padał deszcz. Opadłem na nogi i od razu złapałem za słuchawkę.

- Halo?

- Tu Magdalena.

Zamarłem w bezruchu. Byłem cały mokry od potu. Krew chciała mi trysnąć spod paznokci i nie pamiętałem, czy minutę temu też tak się czułem.

- Dzięki za telefon - zaskrzeczałem do słuchawki.

- Nie mogę rozmawiać. Jestem na przyjęciu. W sypialni. Leżą tu torebki wszystkich gości. Pomyśla, że chciałam coś ukraść.

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Wiem. Ja też muszę. Możesz po mnie przyjechać?

- Tak, mogę - odparłem.

Przyjęcie odbywało się w kamienicy z elewacją z piaskowca w Brooklyn Heights. Czekala na mnie pod markizą budynku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy, chroniąc się przed deszczem. Miała ze sobą altówkę w sztucznym futerale. Kiedy tylko ją dostrzegłem, skręciłem i zatrzymałem się przy hydrancie. Podbiegła do mnie, wrzuciła altówkę na tylne siedzenie i sama usiadła z przodu. Już miałem rozpięty pas bezpieczeństwa.

Całowaliśmy się długo. Było to trudne, bo bardzo chciałem na nią patrzeć, ale byłem również spragniony jej ust.

W końcu odepchnęła mnie delikatnie.

- Pragnę cię, ale nie możemy się kochać - powiedziała.  
- Nic nie szkodzi.  
- Jestem dziewicą. Całowałam się z kilkoma chłopakami, ale tylko tyle.

- Kocham cię - powiedziałem. - Co mi tam.

Chwyciła mnie za głowę i przyglądała mi się, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę, po czym znów zaczęła mnie całować, sto razy mocniej. Usłyszałem dźwięk rozpinanego zamka, po czym wzięła moją dłoń, położyła sobie na łonie i odchyliła bawełnianą bieliznę.

Była cała wilgotna i rozpalona. Ściskając uda, Magdalena wciągnęła moje palce do środka.

A propos Naplet zaaprobował mój wybór. Magdalena była uczciwa do bólu i nigdy nie miała żadnych moralnych rozterek, i chociaż Naplet już tak się nie zachowywał, to wciąż szanował to

u innych, wiedząc, jaka to rzadka cecha. Kiedy tylko znalazłem się z nim sam na sam, powiedział:

- Jest idealna dla ciebie. Tak jak Denise była idealna dla mnie.

Czasami paliliśmy trawę we trójkę. Magdalena oznajmiała, że nic kompletnie nie czuje, po czym wpadała w leniwą błogość, następnie zaczynała mnie całować w szyję i szeptać:

- Zabierz mnie do sypialni.

Naplet z drugiej strony zawsze mówił:

- Weź sobie Pietra. Ja pooglądam kablówkę.

Ale to było później, kiedy Naplet znów ze mną mieszkał.

A stało się to tak.

Pewnego październikowego wieczoru wróciłem do domu i zastałem go siedzącego w salonie z bronią w ręku. Był to pękaty rewolwer kalibru .38. Wróciłem z bieganiami i chciałem zobaczyć z Magdaleną, ale ona akurat albo grała z kwartetem, albo była na zajęciach w szkole wieczorowej, gdzie uczyła się księgowości.

Kiedy wszedłem przez drzwi, Naplet nie wycelował broni we mnie. Ale też jej nie odłożył.

- Co się dzieje? - zapytałem.

- Zabiłeś go? - zapytał.

Wyglądał paskudnie. Był blady i stanowił dziwną mieszalinę chudego z tłustym.

- Kogo? - zapytałem, myśląc sobie: O kurwa, David Locano nie żyje.

- Kurta.
- Kurta L i m m e g o ?
- A znasz kogoś innego o imieniu Kurt?
- A skąd miałbyś, kurwa, wiedzieć? Nie gadaliśmy ze sobą od tygodni.
- Zabiłeś?
- Nie. Nie zabiłem go. Nawet nie wiedziałem, że nie żyje. Co się stało?
- Ktoś strzelił mu w twarz w drzwiach jego mieszkania - oświadczył Naplet. Mieszkanie Limmego znajdowało się w Tri-bece. - Chyba otworzył mu drzwi.
- A co mówi policja?
- Mówią, że to było włamanie.
- Może to twój wujek Roger - powiedziałem. Mąż Shirl.
- To miało być zabawne?
- Taa, chyba. Sorka. - Przez chwilę się zastanawiałem, czy to nie ja zabiłem Kurta Limmego i nie zapomniałem o tym. - A co mówi twój tata?
- Mówi, że nie rozmawiałeś z nim na ten temat, więc jeśli to ty, to zrobiłeś to na własną rękę.
- Milutko - odparłem. Podsunąłem sobie krzesło od stołu. - Teraz będę siadał. Nie zastrzel mnie.
- Naplet rzucił rewolwer równie ciężko, jak ja usiadłem.
- Pierdol się. Nie zamierzałem do ciebie strzelać - powiedział. - Po prostu martwię się, że po mnie też przyjdą.
- Kto?
- Bo ja wiem. W tym sęk.
- No nie - westchnąłem. - Przykro mi z powodu Kurta.
- To mnie nie powstrzyma.

- Nie powstrzyma cię przed czym?

Odwrócił głowę.

- Od wkupienia się - powiedział.

- Nie miałem pojęcia, że taki był plan - stwierdziłem.

- Oczywiście, że miałeś.

- Masz rację - może i miałem. Ale to chujowy pomysł i może nie powinieneś o tym teraz myśleć.

- Nie muszę o tym myśleć. Ja to robię.

- Masz zamiar zabić kogoś, żeby wyrzucić korzystne wrażenie na kilku mendach?

- Tego chciał Kurt.

- Kurt nie żyje.

- No właśnie. I mam zamiar powiedzieć „pierdol się” temu, kto go wykończył.

Powiedziałem:

- Myślisz, że tego, kto wykończył Limmego, obchodzi, czy się wkupisz czy nie?

- Nie mam, kurwa, bladego pojęcia! - wykrzyknął Naplet. - Nawet nie wiem, kto to zrobił! - Zaciął się na chwilę. - A poza tym kim ty jesteś, żeby mnie pouczać? Ty się zemściłeś za śmierć dziadków.

- Co nie oznacza, że dobrze zrobiłem.

- Ale podobało ci się, prawda?

- Cóż, nie oznacza to od razu, że tobie się spodoba.

- A jaka różnica?

- Pomiędzy mną a tobą?

- No właśnie.

- Jezu! - wykrzyknąłem. Naprawdę nie chciałem, żeby do tego doszło. - Po pierwsze, ja musiałem kogoś zabić. Nie zabijałem dla samego zabijania.

Na twarzy Napleta pojawiło się coś na kształt ulgi.

- No to jebać to, stary - powiedział. - Nie zabiję nikogo, kto jest niewinny. Nie jestem gnojem. Znajdę sobie jakiegoś skurwysyna. Takiego jak ścierwa, których podsuwał ci mój tata. Jakiegoś pojeba, który sam się o to prosi.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Najpierw dam ci wszystko sprawdzić, jeśli chcesz.

- Dobra - powiedziałem w końcu.

Tylko tyle powiedziałem: „Dobra”.

A teraz powiedzcie mi: Czy to mogła być obietnica?

Najpierw idę na internę, żeby zabrać moje antybiotyki i środki przeciwwirusowe, które moi studenci przezornie umieścili w pojemniku na mocz.

- Proszę pana, może zechce pan zobaczyć...

- Nie mam czasu - mówię. Wbijam na chybił trafił numer pacjenta, żeby dostać się do szafki z napojami, i biorę butelkę wody z pięcioma procentami dekstrozy\*. Odrywam zębami nakrętkę i łykam pigułki. [Większość butelkowanej wody w szpitalu zawiera 5% dekstrozy. Chodzi o to, żeby nie było tekstów w stylu „Litr jebanej kranowy za 35 dolców?” i takiego zapisu na rachunku.]

A jeśli studenci się machnęli i przedawkują?

To i tak nie wpłynie na długość mego życia.

Sram ze strachu, spoglądając na zegarek w drodze do sali chirurgów na gościnnych występach.

Przed drzwiami gabinetu praktykant doktora Friendlyego opiera się ciężko o ścianę. Posyła mi wymowne spojrzenie, po czym odchodzi.

Chwila, która oddziela moje pukanie do drzwi doktora Friendly’ego i jego pytanie „Czego?”, jest tak długa, że mam ochotę

walić czołem w drewno. Nie odpowiadając, wchodzę do środka.

Gabinet chirurgów jest tak urządzony, żeby z zewnątrz wyglądał na prawdziwy. Stoi tu dębowe biurko, przy którym można usiąść, zanim usłyszy się o złych rokowaniach, a powtarzający się wzór na tapecie, który przypomina wiszące dyplomy, naprawdę dobrze wygląda tylko z pewnego oddalenia.

Friendly siedzi za biurkiem. Stacey, przedstawicielka firmy farmaceutycznej, przysiadła na skraju blatu, tuż obok doktora, i jest zaskoczona moim widokiem. Friendly zauważa, że na nią patrzę, nachyla się i kładzie łapę na jej udzie, tuż przy rąbku kusej spódniczki. Pod którą mogę zajrzeć.

- O co chodzi? - pyta Friendly.
- Chciałbym się przygotować i wziąć udział w pańskim zabiegu na panu LoBrutto.
- Nie. Dlaczego?
- To mój pacjent. Chciałbym pomóc w miarę swoich możliwości.

Friendly zastanawia się przez chwilę.

- Niech będzie. Jak nie pan, zrobi to mój praktykant, więc nie ma problemu. Zostawiam panu powiadomienie go, że zajmie pan jego miejsce.
- Pójdę go poszukać - odpowiadam.
- Zaczynam o jedenastej z panem czy bez pana.
- W porządku.

Stacey posyła mi porozumiewawcze spojrzenie, ale jestem zbyt przerażony, by choćby próbować je rozszyfrować. Po prostu wychodzę.



Żeby zdążyć na operację Squillantego, muszę wykonać czterogodzinną pracę w dwie godziny, a po zabiegu kolejne cztery godziny w dwie. Od razu uświadamiam sobie, że będę musiał obarczyć moich studentów większą liczbą obowiązków niż zwykle, bo też nie można trzymać ciągle tabletki moxfane'u pod językiem. Żeby pod względem etycznym wszystko było wypoziomowane, nie daję studentom moxfane'u.

Zaczynamy. Robimy obchód. Och, kurwa, w jakim stylu to robimy. Odwiedzamy ich, budzimy, świecimy latarką w oczy i pytamy, czy jeszcze żyją, z taką szybkością, że nawet ci, którzy mówią po angielsku, nie rozumieją, ani co mówimy, ani o co nam, kurwa, chodzi. Następnie wymieniamy im kroplówki, klepiemy po żyłach i wtlaczamy w nie leki. Później przedzieramy się przez papiery. Jeśli odwiedzamy salę chorych na gruźlicę, do której wchodzi się tylko w maskach i specjalnych kitlach, i tak pierdolimy procedury HAZMAT\*: wchodzimy i wychodzimy, jakby nas kto gonił. [HAZMAT - *hazardous material* - niebezpieczna substancja]

A propos HAZMAT - umykamy dwóm zespołom szpitalnym - behapowcom i kontroli bezpieczeństwa i chorób zakaźnych - bo chcą mnie dopaść i wypytać na okoliczność strzykawki z próbką Dupuszczaka, która utkwiała mi w ramieniu. Teraz miejsce nakłucia już prawie nie boli, zresztą nie mam czasu na takie pierdoły.

W miarę jak się posuwamy, raz za razem ktoś nam przypomina, jak fascynującą mieszanką potrafi być szpital - tych, co się spieszą, i tych, którzy są za wolni, by zejść im z drogi.

Ratujemy też życie pacjentom, jeśli korektę zaordynowanych leków można podciągnąć pod ratowanie ludzkiego życia. Zwykle jest to błąd jakiejś piguły, która podaje kilka miligramów na funt wagi ciała zamiast na kilogram, ale raz na jakiś czas błąd jest bardziej nietypowy, kiedy aplikuję pacjentowi środek na oczyszczenie zamiast glukozy.

Kilka razy prośba o pomoc wiąże się z trudnymi wyborami, których wynikiem może być czyjeś życie bądź śmierć. To też załatwiamy od ręki. Jeśli istnieje proste rozwiązanie, od razu samo się ujawni, a jeśli nie, to nie ma o czym za wiele gadać. Od tego są świry w internecie.

- Idźcie do domu - mówię moim studentom na koniec. Mamy jakieś półtorej minuty.

- Proszę pana, chcieliśmy popatrzeć na operację - oznajmia jeden z nich.

- Dlaczego? - pytam.

Ale pomoc mi się przyda.

Pędzimy razem do sali przygotowawczej.

Jest już anestezjolog, ale nie ma Friendly ego. Pielęgniarka pyta, dlaczego i czy wypełnię papiery, żeby można już było ściągnąć tu tego jebanego pacjenta.

Wypełniam papiery z szybkością i precyzją sejsmografu. Później posyłam studentów, żeby przypomnieli sobie materiał o chirurgii jamy brzusznej, a sam idę po Squillantego.

- Wjebałem cię w niezłe bagno, Pazur - mówi niespodziewanie, kiedy czekamy na windę. Wciąż leży na łóżku na kółkach.

- Bez jaj.

- Wjebałem cię mocniej, niż zamierzałem.

Ponownie naciskam guzik.

- Taa?

- Taa. Myślałem, że Naszczep jest w Argentynie.

- Nie rozumiem.

- Jest tu, w Nowym Jorku. Teraz. Właśnie się dowiedziałem.

- Ale kto to, do kurwy nędzy, jest Naszczep?

Podaję, że może to któryś z młodszych braci Napleta, chociaż jeszcze im trochę brakuje, żeby się ich bać.

A może też zaczynają mnie wkurwiać te kretyńskie ksywki.

- Przepraszam - mówi Squillante. - Naplet. Zapomniałem, że się przyjaźniliście.

- Co takiego?

Przyjeżdża winda. Jest załadowana.

- Poczekaj chwilę - mówię do Squillante.

- Wszyscy wysiadka - zarządzam. - Pacjent ma ptasią grypę.

- Kiedy znikają i zostajemy sami za zamkniętymi drzwiami, za przykładem Stacey zatrzymuję windę.

- A teraz gadaj, o czym ty, chłopie, pierdolisz?

- O Naplecie - wyjaśnia Squillante. - Teraz nazywają go Naszczepem z powodu tego, co ma na facjacie.

- Naplet nie żyje. Wyrzuciłem go przez okno.

- To prawda, wyrzuciłeś.

- Tak, wyrzuciłem.

- Ale przeżył.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Wiem, że mówi prawdę, ale moje flaki już nie są tego takie pewne.

- Gówno prawda - odpowiadam. - Byliśmy na szóstym piętrze.

- Nie mówię, że miał lekko, łatwo i przyjemnie.

- Podpierdalasz.

- Klnę się na świętą Teresę.

- Naplet żyje?

- Taa.

- I jest tutaj?

- W Nowym Jorku. Myślałem, że został w Argentynie. Mieszkał tam i uczył się robić kosą. - Głos zawstydzonego Squillantego łamie się jeszcze bardziej. - Żeby cię później znaleźć.

- No to, kurwa jego mać, pięknie - wzdycham w końcu.

- Taa. Przykro mi. Myślałem, że będziesz miał trochę luzu, jakbym kopnął w kalendarz. Ale teraz to raczej nieaktualne. Jak zejdziesz, to będziesz miał pewnie kilka godzin, żeby prysnąć z miasta.

- Dzięki za troskę.

Walę dłonią w przycisk „stop”, żeby nie walnąć Squillantego w pysk, i kontynuujemy podróż na chirurgię.

**N**a początku listopada Magdalena zabrała mnie do swoich rodziców. Mieszkali na Dyker Heights w Brooklynie. W miejscu, którego nie znałem, zanim nie zacząłem jej tam podwozić.

Poznałem wcześniej jej brata, wysokiego, tyczkowatego blondyna z ogólniaka, który przez cały czas nosił piłkarskie koszulki i był dziwnie nieśmiały, mimo że mówił kilkanaście językami i urodził się dziesięć tysięcy kilometrów stąd. Miał na imię Christopher, ale przyjaciele wołali na niego Rovo, ponieważ rodzinne nazwisko brzmiało Niemerover.

Jak mówiłem, poznałem go wcześniej. Rodzice byli dla mnie nowością.

Mieli blond włosy, jak Rovo, i byli wysocy, ale krzepkiej budowy. Obok tej trójki Magdalena wyglądała, jakby wychowywała się wśród chartów\*. [Magdalena wyglądała jak Romka, a Romów w średniowiecznej Anglii nazywano również „Gypsy” i sądzono, że pochodzą z Egiptu. Tymczasem Romowie wywodzą się z Indii. To ponury żart, że Rumunia, która jest historycznie najbardziej rasistowskim państwem na świecie -kiedy powstały tam pierwsze partie polityczne w 1910 roku, zarówno liberałowie, jak i konserwatyści byli oficjalnie antysemitami - jest również krajem o najbardziej wymieszanej ludności, ponieważ przez jej górskie przełęcze przechodziły chyba wszystkie armie świata. Chyba że wolicie, żeby żarty były raczej zabawne, a nie ponure.]

Jej ojciec pracował w metrze jako kierownik zmiany przy Grand Central, chociaż w Rumunii był dentystą. Matka pracowała w piekarni ich znajomego.

Na kolację podano spaghetti zamiast potraw rumuńskich, z „grzeczności” oraz by pokazać, jak bardzo jesteśmy sobie obcy z Magdaleną. Jedliśmy w zadziwiająco wąskiej jadalni rodzinnego, trzypiętrowego szeregowego domku. Wszystko w tym pomieszczeniu - dywany, zegary z ciemnego drewna, meble, poźółkłe fotografie w ramkach - pożerało światło. Magdalena i ja siedzieliśmy po jednej stronie stołu na wprost Rovo, a rodzice na jego przeciwległych krańcach.

- Kiedy zacząłeś się interesować Rumunami? - zapytał ojciec Magdaleny, kiedy tylko zaczęliśmy jeść. Nosił wąsy i miał na szyi krawat oraz coś, co wyglądało jak odpinany kołnierzyk, choć przecież nie mogło nim być.

- Kiedy poznałem Magdalenę - odparłem.

Staralem się rozegrać to rozsądnie i z szacunkiem, ale ja również nie miałem wielkiego doświadczenia i nie szło mi najlepiej. Do tego Magdalena niemal siedziała mi na kolanach, żeby udowodnić rodzicom, iż to poważny związek.

- Czyli dokładnie jak? - zapytał ojciec.

- Na ślubie - odparłem.

- Nie wiedziałem, że kwartet tak się udziela towarzysko podczas pracy.

Nie powiedziałem, że tego wieczoru był to sekstet. Nie chciałem go poprawiać, poza tym nie chciałem używać wieloznacznego słowa „sekstet”.

- To był sekstet - powiedziała Magdalena.

- Rozumiem.

Matka Magdaleny uśmiechnęła się i przybrała zbolaną minę. Rovo przewrócił oczami. Tak nisko siedział na krześle, że wydawało się, iż zaraz się z niego zsunie.

- Mówisz trochę po rumuńsku? - zapytał ojciec Magdaleny.

- Nie - odparłem.

- A wiesz przynajmniej, kto jest prezydentem Rumunii?

- Ceausescu? - Byłem prawie pewien, że mam rację.

- Mam szczerą nadzieję, że to żart - rzekł.

Nie mogłem się powstrzymać.

- Tak. Żarty z Rumunii odstawiam w czasie wolnym - powiedziałem.

- A więc to sarkazm. A wiesz ty, że nasza Magda nie jest jakąś pierwszą lepszą Amerykanką, z którą możesz uprawiać seks w samochodzie?

Rovo powiedział:

- Jezu, tato, daj żyć.

Odparłem:

- Wiem o tym.

- Wydaje się, że nie masz nic wspólnego z moją córką.

- Nikt nie ma nic wspólnego z pańską córką - stwierdziłem.

- Nawet trochę żałuję.

- To prawda - przytaknęła z aprobatą jej matka.

Ojciec Magdaleny posłał jej odpowiednie spojrzenie.

Sama Magdalena wstała, podeszła do ojca i pocałowała go w czoło.

- Tatusiu, wygłupiasz się - powiedziała do niego. - Teraz idę z Pietrem do domu. Wrócę jutro albo pojutrze.

Cała trójka zamarła.

Ja też zamarłem, ale nie na tyle, żeby nie pozwolić jej złapać się za rękę i wyciągnąć stamtąd.

Mniej więcej w tym samym czasie David Locano znów poprosił mnie o spotkanie w Rosyjskiej Łażni. Wciąż miałem grzybicę od ostatniego razu, ale poszedłem.

- Dzięki za to, żeś powiedział Napletowi, że zabiłem Kurta Limmego - powiedziałem, kiedy tylko usiadłem obok Davida.

- Nie powiedziałem. Mówiłem tylko, że to nie ja.

- A nie ty?

- Nie. Rozeszły się słuchy, że gnojek blokował interes z więziami przekaźnikowymi.

Zastanawiałem się, czemu w ogóle o to pytałem. Jeśli Locano zabił Limmego albo wynajął kogoś do tego zadania, to niby czemu miałby mi o tym mówić? A co mnie to w ogóle obchodziło? To, że odmówiłem zabicia Limmego, nie znaczyło, że będę go opłakiwał.

- A więc o co chodzi? - zapytałem.

- Mam dla ciebie robotę.

- Taaak?

Przed przyjściem tutaj postanowiłem, że jeśli zaproponuje mi robotę, to ją odrzucę. I będę odmawiał tak długo, aż Locano wreszcie zrozumie, że skończyłem z tym biznesem.

To Magdalena zmieniła moje podejście. Nie, nie wiedziała, że zabijam ludzi. Nie wiedziała nic a nic. Zdawała sobie sprawę, że



pracuję dla szumowin, ale nie chciała znać szczegółów, bo i tak było jej tego za dużo.

- Nie będziesz w stanie odrzucić tej propozycji - powiedział Locano. - Wyświadczysz tym wielką przysługę całej ludzkości.

- Cóż...

- Chodzi o to, że to parszywe draby.

- Jasne. Ale...

- I będzie to idealna robota, którą będziesz mógł wykonać z Adamem.

Spojrzałem na Davida.

- Żartujesz sobie?

- Chce się przyłączyć. Musi zapłacić cenę.

- Myślałem, że chodzi o to, by trzymać Adama z dala od mafii - powiedziałem.

Na słowo „mafia” Locano rozejrzał się wokół.

- Nie kłap dziobem - obruszył się. - Nawet tutaj.

- Mafia, mafia, mafia - drażniłem się z nim.

- Dość tego! Jezu!

- Nie jestem zainteresowany - odpowiedziałem. - Nawet w pojedynkę. Skończyłem z tym.

- Rzucasz robotę?

- Tak.

Kiedy to powiedziałem, jakby wielki kamień spadł mi z serca. Myślałem, że będzie dużo gorzej. Ale wciąż nie miałem pewności, jak zareaguje Locano.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń. Potem westchnął.

- Ciężko mi będzie bez ciebie, Pietro.

- Dzięki.

- Ale przecież nie porzucisz całkiem mnie i Adama, prawda?
- Towarzysko? Nie.
- To dobrze.

Siedzieliśmy tak przez chwilę. Później David powiedział:

- Posłuchaj, nakreślę ci tylko zarys sytuacji.
  - Naprawdę nie jestem zainteresowany.
  - Słyszałem. Ale muszę zrobić, co w mojej mocy. Pozwolisz mi tylko coś powiedzieć?
  - Po co?
  - Bo myślę, że jednak to rozważysz, kiedy usłyszysz szczegóły. Nie mówię, że musisz zmienić zdanie. Tylko uważam, że tak będzie.
  - Wątpię.
  - W porządku. No to ci powiem. To podobna sprawa jak z braćmi Virzi, ale sto razy paskudniejsza.
- Od razu wiedziałem, że naprawdę nie chcę o tym słyszeć.
- Dobra - mruknąłem. - Pod warunkiem że nie będziesz miał mi za złe, jak odmówię.

- Wiesz, jak się przekabaca prostytutki? - spytał Locano.
- Czytałem *Daddy Cool*.
- *Daddy Cool* to gówno z lat sześćdziesiątych. Teraz sprowadzają dziewczyny masowo z Ukrainy. Organizują castingi dla modelek, potem wywożą statkiem do Meksyku, gdzie je biją i gwałcą na okrągło. Często uzależniają od heroiny, żeby dziewczyna

nie uciekła. Mówimy tu o czternastolatkach.

- Masz coś wspólnego z tym biznesem? - zapytałem.

- Czyś ty ochujał? - odparł. - W tym rzecz. Żaden z moich wspólników nie może na to patrzeć, ale też niewiele możemy zrobić, kiedy sprawa toczy się za granicą.

Już mi pachniało ścierną, ale powiedziałem:

- W porządku.

- Ale jest taki facet, który robi to w naszym stanie. W New Jersey. Wiesz, gdzie jest okręg Mercer?

- Wiem.

- I tak dam ci mapę.

Drzwi łaźni się otworzyły i do środka wpadł powiew chłodnego powietrza. Pojawił się w nich facet przepasany ręcznikiem.

- Przepraszamy na chwilę - powiedział do niego Locano.

- Jak to przepraszamy? - zdziwił się facet.

Miał rosyjski akcent.

- To znaczy proszę nas zostawić samych na dziesięć minut.

Dopóki nie skończymy.

- To łaźnia publiczna - zaproponował mężczyzna. Ale wyszedł.

- Gdzie to ja byłem? - spytał Locano.

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- W okręgu Mercer. Jest tam takich trzech typów - ojciec i dwóch synów. Nazywają to Farmą. Wciąż wysyłają dziewczyny do Meksyku w ciężarówkach NAFTA, ale bicie i gwałcenie odprawiają na miejscu. W ten sposób więcej dziewczyn przeżywa podróż. Ale przy tym, co im robią, nie tak znów wiele więcej.

- Czy my tu rozmawiamy o normach produkcji, Davidzie? - zapytałem.

Spojrzał na mnie.

- Nie - odparł. - Ani trochę. Do moich obowiązków należy spojrzeć prosto w gówno, zanim ktoś inny będzie musiał to zrobić. Kiedy tylko się o tym dowiedziałem, postanowiłem położyć temu kres. A kiedy tylko powiedziałem o tym ludziom, z którymi pracuję, dali mi zielone światło. - Zamilkł na chwilę. - Stawka wynosi sto dwadzieścia tysięcy dolarów.

- To mnie najmniej obchodzi.

- Wiem. Chcę ci tylko pokazać, jak poważnie wszyscy to traktują. Sto dwadzieścia tysięcy dolarów dla ciebie. Z Adamem sam się rozliczę.

Niemal zapomniałem o tym drobnym szczególe.

- Dlaczego wysyłasz Adama w takie miejsce? - zapytałem.

- Bo mamy ustawioną tę Farmę - wyjaśnił Locano.

A mówiąc „ustawiona” miał na myśli to:

Kilka miesięcy temu właściciel Farmy, Karcher Starszy, imię Les, wezwał hydraulików, by przedłużyli rury z kuchni do szopy, którą jego synowie wybudowali wzdłuż domu. Hydraulicy myśleli, że w szopie jest fabryka amfy, więc rozglądali się, by coś buchnąć, zwracając szczególną uwagę na zapachy. Nosy doprowadziły ich do innego budynku, na tyłach domu, w którym odkryli coś, co mogło być nagim rozkładającym się ciałem młodej

dziewczyny, choć trudno było to z całą pewnością stwierdzić pod warstwą much, które na tym siedziały.

Kiedy wracali pospiesznie do samochodu, jakby ich czart go- nił, jeden z hydraulików zajrzał przez okno do biura Karchera i zobaczył coś, co przypominało koło do łamania znane ze śre- dniowiecznych sal tortur.

Załoga była tak przejęta tym, co zobaczyła, że niemal za- dzwoniła po gliny. Jednak zwyciężył zdrowy rozsądek i zamiast dzwonić na policję, nadali całą sprawę chłopcom z miasta i tak w końcu dotarło to do Locano. Jeśli wierzyć jego opowieści - w którą najwyraźniej bardzo chciałem uwierzyć - kiedy po raz pierwszy ktokolwiek uświadomił sobie, co Karcher tam napraw- dę robi, choć Farma dostarczała idealny produkt od ponad dwóch lat.

Ale to nieistotne. Teraz wszyscy chcieli głowy Karchera, dla- tego że albo ktoś, kto do tej pory nic nie wiedział, teraz się do- wiedział i się wkurwił, albo też dlatego, że stwierdzili, iż wszelkie działanie, które może zostać odkryte przez grupę upalonych hydraulików, prawdopodobnie jest bardziej ryzykowne niż zy- skowne.

Tak czy inaczej Locano błyskawicznie zdecydował, że jest to robota, przez którą mogę przeprowadzić Napleta. Nakazał hy- draulikom wrócić tam i zrobić te rury, ale polecił im, żeby za- miast cementu wokół rur umieścili karton i zamaskowali prze- strzeń między domem a szopą tak, jakby był to prawdziwy tynk.

Jeśli wierzyć hydraulikom, pokryli karton nawoskowanym papierem przed pomalowaniem, żeby się nie marszczył, poza tym dziura była tak nisko, że nie można jej było zobaczyć z do- mu, więc Karcherowie na pewno nie byli w stanie jej odkryć.

Kiedy dotrzemy z Napletem do szopy, sprawa będzie prosta, bo stamtąd przedostaniemy się do domu i zastrzelimy Karchera i jego synów podczas snu.

Locano miał nawet plan, jak się dostaniemy do szopy. Za pięć patyków i wyższą pozycję w hierarchii chłopak, który co tydzień realizował wielkie zamówienia spożywcze dla Karcherów, miał nas tam zabrać na pace samochodu. Zarówno chłopak, jak i hydraulicy twierdzili, że na posesji nie ma żadnych psów.

Jak dałem się namówić na ten plan - po raz pierwszy wymyślony przez kogoś innego i nawet zakładający udział osób trzecich czy też taki, o którym w ogóle wiedziały osoby trzecie i który miał tyle niepewnych elementów, że nie zdawałem sobie z tego sprawy - nawet dla mnie pozostaje tajemnicą. Kiedy sobie to teraz przypomnę, to wydaje mi się, że coś mnie opętało. Chociaż może pamięć mnie zawodzi.

Pragnąłem Magdaleny i chciałem się z tego wyrwać. I wiedziałem, że zarówno jedno, jak i drugie będzie wymagać ode mnie ofiar. Nienawidziłem też samego siebie i rozumiałem, że nie mam prawa domagać się tej wolności, tak samo jak nie zasługuję na Magdalenę.

A może po prostu wciąż ufałem Davidowi Locano -jeśli nie jego intencjom wobec mnie, to obiegowi informacji i trosce o Napleta. Musiałem uwierzyć, że nikt z takim doświadczeniem jak Locano nie poprowadziłby nas prosto na rzeź.

Nie mówiąc już o takiej jatce, jaką okazała się Farma.

Powiedziałem wszystko Magdalenie.

Musiałem. Świadomość, że mnie kocha, a w ogóle mnie nie zna, sprawiała, że miałem wrażenie, jakby kochała kogoś innego, i ta zazdrość mnie wykańczała. Wielokrotnie fantazjowałem na temat tego, co by było, gdybym wiódł inne życie i miał inną przeszłość. Może nawet gdybym grzebał w śmietnikach.

Ale rzeczywistość była odmienna. Więc powiedziałem Magdalenie. Chociaż myśl o tym, że może mnie zostawić, była chuj owa.

Magdalena nie odeszła. Płakała godzinami i bezustannie kazała mi opowiadać o ludziach, których miałem zabić. O tym, jacy są źli i że na pewno znów kogoś zabiją. Jakby starała się uzyskać pozwolenie na to, by mogła mnie dalej kochać.

Poza tym powiedziałem jej, że zabiję tego faceta i jego dwóch synów, a potem już nikogo w życiu, chyba że ktoś zagrozi jej. Zamknięcie Farmy będzie przysługą wyświadczoną Locano, która pozwoli mi wyślizgać się z tego biznesu. I będzie usprawiedliwiona jakąś liczbą ocalonych istnień ludzkich.

- Nie możesz po prostu zadzwonić na policję? - zapytała.
- Nie - odparłem z większą pewnością, niż czułem.
- Więc musisz to zrobić od razu - powiedziała Magdalena.

Myślałem, że miała na myśli to, że powinienem mieć to już za sobą, żeby nie musiała się mną dzielić z diabłem i mogła próbować mi wybaczyć.

- Żeby już nie zginęła żadna dziewczyna - wyjaśniła.

Był to chyba najbardziej hańbiący aspekt całej sprawy. Nie chodziło o to, że dzwoniąc na policję, zawiódłbym „zaufanie” Davida Locano. Ale o to, że nie docierało do mnie, iż każdy mijający dzień jest piekłem dla dziewcząt, które miałem ratować.

Jednak coś mi to uzmysłowiło: jeśli człowiek jest pozbawiony duszy, to może przynajmniej rozważyć, żeby ktoś miał wyrzuty sumienia za niego.

- To musi nastąpić w czwartek - powiedziałem. – To jest dzień zakupów u Karcherów.

Magdalena tylko na mnie spojrzała. Czwartek był za cztery dni. Nie mieliśmy wystarczającej ilości czasu na przygotowania.

Złamana kolejna zasada. Kolejny krok w mgłę. Jeden z wielu.

- Załatwię to w ten czwartek - zapewniłem.



**Z** pomocą dwóch pielęgniarek i anestezjologa, chwyciwszy za prześcieradło, przenosimy Squillante z łóżka na stół pośrodku sali operacyjnej. Nie chodzi o to, że Squillante dużo waży, ale stół operacyjny jest tak wąski, że trzeba pacjenta umieścić na samym środku, żeby nie spadł. I tak ramiona mu opadają, więc muszę podłożyć pod nie oparcia.

- Przepraszam - mówi, kiedy ja staram się przymocować podłokietniki we właściwym miejscu.

- Stul, kurwa, dziób - odpowiadam przez maseczkę chirurgiczną. Squillante jako jedyny na sali nie ma kitla, maseczki i czepka.

Anestezjolog daje pierwszą salwę przez kroplówkę. Mieszankę środka przeciwbólowego, paralytic i amnestic. Amnestic podaje się, gdyby paralytic zadziałał, a środek przeciwbólowy nie, i Squillante przeszedłby całą operację na żywca, nie mogąc się ruszyć. Przynajmniej nie pamiętałby, żeby kogoś zaskarżyć.

- Będę liczyć do tyłu od pięciu - mówi anestezjolog. - Kiedy dojdę do jednego, będzie pan spał.

- Co to ja, niemowlę, kurwa, jestem - złości się Squillante.

Dwie sekundy później traci świadomość i anestezjolog wkłada mu do gardła stalowy laryngoskop zakrzywiony jak dziób żurawia. Za chwilę do zestawu zostaje dołączona tuba respiratora i Squillante, jak to mówi anestezjolog, „zasysa plastikowego fiuta”. Anestezjolog sprawdza przepływ powietrza, wciska Squillantemu do oczu jakiś syf i zakleja taśmą powieki. Następnie zawija mu głowę, tak że wystaje tylko rura respiratora. Squillante od razu zaczyna wyglądać jak trup na stole sekcyjnym w akademii medycznej, gdzie zawija się głowę denata, żeby nie wyschła, zanim studenci się do niej dobiorą.

Wyjeżdżam pustym łóżkiem z sali i zostawiam w korytarzu, gdzie pewnie zaraz ktoś je podpierdoli dla kolejnego pacjenta, nawet nie zmieniając prześcieradła. Ale co mam zrobić - zapiąć je na kłódkę rowerową? Wracam i zapinam pasy na rękach i nogach Squillantego jak w filmach z Frankensteinem.

- Czy to stół elektryczny? - pytam.

Ktoś wybucha śmiechem. Odnajduję dźwignię i ręcznie podnoszę stół, tak żeby Squillante miał uniesione plecy.

Pielęgniarka kończy wycinanie koszuli Squillantego nożyczkami i widać teraz, jak można wisi mu do połowy uda jak fartuch. Pielęgniarka sięga po maszynkę elektryczną. Druga owija jego członki czymś, co przypomina materac dmuchany. Jeśli ktoś będzie później pamiętał, żeby to włączyć, wypełni się gorącym powietrzem, chroniąc pacjenta przed wychłodzeniem.

- Proszę pana - odzywa się jeden ze studentów za moimi plecami.

- Chcecie asystować? - pytam.

- Tak, proszę pana!

- No to jazda do mycia. - Do drugiego studenta mówię: - Idź, sprawdź mi LD<sub>50</sub> defenestracji.

Następnie proszę jedną z siostr, by połączyła mnie z doktorem Friendlym.

Friendly odbiera po pięciu dzwonekach i jest lekko zdyszany. Zamiast „halo” czy też czegoś równie stosownego mówi:

- Nie poczuwam się do ojcostwa. Żartowałem. Tu Friendly. Kto mówi?

- Tu doktor Brown. Pański pacjent jest prawie przygotowany.

- Sądziłem, że mówił pan, że jest przygotowany - mówi Friendly, kiedy się w końcu pojawia. Stacey potulnie wchodzi do sali za nim, w masce i kitlu. Friendly trzyma uniesione, ociekające wodą ręce skierowane dłońmi do wewnątrz.

Squillante jest przygotowany. Nie jest tylko zawinięty.

Zawijanie polega na przykryciu wszystkiego z wyjątkiem pola operacyjnego. Większość chirurgów chce przy tym być, żeby się nie okazało, że pacjent jest na przykład omyłkowo ułożony na brzuchu zamiast na plecach.

Ale też większość chirurgów nie nosi gumowych kaloszy do kolan przy resekcji żołądka, jak Friendly. To nie może być dobry znak.

A propos, mycie rąk, co właśnie zrobił Friendly, a ja zrobiłem czterdzieści pięć minut wcześniej, jest najlepszą częścią operacji.

Robi się to w sali przedoperacyjnej nad stalowym zlewem, włączając kran łokciem albo biodrem w zależności od armatury. Pomimo chłodu leci idealnie ciepła woda. Lekarz otwiera sterylne opakowanie gąbki z podajnika (nasączonej wcześniej albo jodyną, albo syntetycznym sterylizatorem firmy Martin-Whiting Aldomed o ośmiosylabowej nazwie - twój wybór, choć jodyna lepiej pachnie), następnie zmywa się cały syf z dłoni i czyści paznokcie. Zawsze myje się uniesione ręce, zaczynając od paznokci, na łokciach kończąc, pilnując, żeby brudna woda nie ściekała po palcach. Lekarz ma się myć pięć minut. Zwykle uwija się w trzy, co i tak jawi mu się niczym wakacje, następnie wyłącza się wodę. Gąbka zostaje po prostu w zlewie. Ponieważ przez najbliższe godziny nie wykonuje się żadnych niewdzięcznych prac.

Teraz w sali operacyjnej znajduje się cała piątka, która się „wyszorowała” - doktor Friendly, pielęgniarz operacyjny, instrumentariusz, mój student i ja - możemy, dosłownie, drapać się wzajemnie po tyłkach. Nie możemy jednak dotykać się nad szyją czy poniżej pasa ani też dotykać niczego, co nie jest niebieskie\*.[Powstaje tu oczywisty paradoks, ponieważ wszystko, co jest niebieskie na sali operacyjnej, powinno być wysterylizowane, ale nasze kitle, niebieskie - dodam, były przynajmniej raz w jakimś fast foodzie, po tym jak zostały wyprane. Cóż mogę powiedzieć? To nie jest doskonała gałąź nauki.]

Doktor Friendly wyciera dłonie w niebieski ręcznik, potem trochę tańczy, by trafić w rękawy papierowego kitla trzymanego przez pielęgniarza, potem wkłada rękawice, następnie odrywa kartonik z przodu kitla (trzymając jedynie za niebieską krawędź) i podaje go pielęgniarce pomocniczej, która przytrzyma go,

kiedy lekarz obraca się wokół osi, odwijając pasek kitla, który należy później zapiąć. Friendly robi, co może, żeby podczas tych czynności wyglądać na znudzonego, ale na mnie to wrażenia nie robi. To się nigdy nie nudzi.

- Wezmę kolczugę - oznajmia.

Instrumentariusz wyciąga parę rękawic przypominających rękawice rycerskie i kładzie na dużym, niebieskim stole, skąd Friendly je podnosi i nakłada na rękawice gumowe.

Składa palce.

- A teraz para dermagli. - Mruga do mnie. - No bo HIV. Pacjent ma sygnet na małym palcu. A według mnie przy geju lepsza kolczuga i rękawica druga.

Pielęgniarz, niewielki Filipińczyk, przewraca oczami.

- Co się stało? - pyta Friendly. - Obraziłem kogoś? Nie mogę mówić „gej”? Martw się tym w wolnym czasie. Do roboty. - Zwraca się do pielęgniarki: - Konstancjo, muzykę proszę.

Pielęgniarka podchodzi do przenośnego sprzętu na jednym z wózków i wkrótce potem słyhać piosenkę U2, w której śpiewają o tym, jak to Martin Luther King został zastrzelony wcześniej rano czwartego kwietnia. Martina Luthera Kinga zastrzelono późnym wieczorem, nawet w czasie dublińskim, ale składanka najlepszych przebojów U2 i tak jest nieodzowna w medycynie. Każdy biały chirurg po czterdziestce słucha U2. I jesteś wdzięczny losowi, że nie Coldplay.

Wraz z pielęgniarem rozwijamy płachtę niebieskiego papieru nad Squillantem i odrywamy fragment powyżej jamy brzusznej. Następnie dajemy kroplę polimeru na bazie jodyny na

odsłoniętą skórę. Rozlewa się po fałdach Squillantego.

Tymczasem Friendly chodzi wokół ze zszywaczem, przymocowując papier do skóry Squillantego. Jest to szokująca czynność, kiedy widzi się to pierwszy raz. Ale szkody, jakie czynią zszywki, są o wiele mniejsze w porównaniu z uszkodzeniami powstałymi podczas zabiegu i czynność ta jest zawsze wykonywana przez zwolenników starej szkoły. Dlatego też ci, którzy chcą uchodzić za członków starej szkoły, też to preferują.

Kiedy Friendly kończy, do sali wchodzi mój drugi student i szepcze mi do ucha:

- LD<sub>50</sub> dla defenestracji wynosi pięć piętér, proszę pana.

LD to *lethal dose* (dawka śmiertelna), a LD<sub>50</sub> to dawka śmiertelna dla 50 procent ofiar wypadków. Defenestracja polega na wyrzuceniu kogoś przez okno. Tak więc student informuje mnie, że po wyrzuceniu setki ludzi z piątego piętra połowa z nich przeżyje.

- O żebym tak ochujał - mówię. Wyrzuciłem Napleta z okna na szóstym piętrze. Jakie niby miał szanse?

Może jednak sobie odpuszczę?

- Jaka zwykle jest przyczyna śmierci? - pytam.

- Pęknięcie aorty - odpowiada student.

- Dobra. - Aorta, najdłuższa tętnica, przypomina długi, cienki balon, taki jak ten, który skręcają pedofile, robiąc figurki zwierząt\*. [Najwyraźniej mają nadzieję, że nieprzyjemne skrzypienie gumy od-goni rodziców.] Ponieważ jest wypełniona krwią, to oczywiste, że pęka przy zderzeniu z twardą powierzchnią. - Co dalej? - dopytuję się.

- Urazy głowy, następnie krwotok wewnętrzny - mówi student.

- Dobrze się spisałeś - chwalebę go.

Żółć wypełnia mi usta, kiedy o tym myślę. Czuję żółć w ustach, od kiedy pożarłem cztery moxfane'y pół godziny temu. Przynajmniej jestem czujny.

- Nie ma jeszcze wyników z laboratorium, jeśli chodzi o substancję ze strzykawki - oznajmia student.

- Tym się nie przejmuj - mówię mu. To prawda, moje ramię pulsuje, ale próbka od Dupuszczaka już na pewno dawno została wyrzucona. Jeśli w ogóle trafiła do laboratorium. Zbyt wielu ludzi musiałoby pracować o pięć minut dłużej, gdyby miała zostać przebadana.

- Do dzieła - zagrzewa Friendly. Nogą podsuwa metalowy schodek z prawej strony Squillantego. Student wykopuje drugi jeszcze dalej. Przechodzę na lewą stronę Squillantego. Instrumentariusz już stoi przy stoliku obok jego głowy, z tacami na różnych wysięgnikach.

- Dobra, słuchajcie - mówi Friendly. - Ten pacjent to PPS. Wiem, że z tego powodu wszyscy chcielibyśmy go traktować, jakby był gliniarzem, a my pracowalibyśmy w barze dla zmotoryzowanych. Ale my nie pracujemy w barze dla zmotoryzowanych. Zachowujmy się więc jak profesjonalści.

- Co to takiego PPS? - pyta mój student.

- Potencjalny Pieniacz Sądowy - mówi Friendly. - Zabezpieczył się prawnie dziewięć lat temu\*.

[Ludzie uważają (a czasem zachęcają ich do tego prawnicy), że pozew o błąd w sztuce lekarskiej jest bezpieczny, ponieważ 90% załatwia się na podstawie ugody. Ale nie można tak po prostu grozić pozwem sądowym. W większości stanów ustawy ograniczające roszczenia dotyczące uszkodzeń ciała są tak ściśle (w Nowym Jorku dwa i pół roku), że żadna firma ubezpieczeniowa nie potraktuje pacjenta poważnie, dopóki ten nie złoży wniosku o odszkodowanie i nie zgodzi się zeznawać pod przysięgą. A w tym momencie człowiek jest napiętnowany na całe życie - albo jako pieniacz, być może jako osoba chcąca wyłudzić odszkodowanie, albo (co nawet jest bardziej interesujące dla pracodawców, którzy wyszukują tego rodzaju danych) jako osoba z poważnymi problemami zdrowotnymi.]

Jestem wdzięczny studentowi, że zadał to pytanie, ponieważ ja też nie wiedziałem, o czym mówi Friendly. Ale nie mogę się skupić. Moxfane wywołuje u mnie przedziwne reakcje. Jakbym tracił przytomność na jedną tysięczną sekundy.

- Signor? - zwraca się do mnie Friendly. Otrząsam się z niebytu.

- Mazak - mówię.

Chwilę później trzymam już w dłoni otwartego markera. Nie jestem pewien, czy pielęgniarz podał go tak szybko instrumentariuszowi czy też znów zaniemogłem na moment. Tak czy inaczej, to przerażające.

Wpatruję się w brzuch Squillantego. Zakładam, że nacięcie będzie pionowe, ponieważ poprzeczne nacięcie jamy brzusznej widziałem jedynie przy cesarce. Nie mam bladego pojęcia, jak długie powinno być ani gdzie się ma zaczynać.

Dlatego najpierw kreślę w powietrzu nad Squillantem, jakbym się decydował, czy tak, czy siak, aż Friendly mówi w końcu:

- Tutaj jest dobrze. Niech pan już zaczyna.

Następnie kreślę linię od wskazanego miejsca tuż poniżej żeber aż do kości łonowej Squillantego. Omijam pępek, bo jak się go natnie, to nie można go potem naprawić.

Oddaję mazak instrumentariuszowi i mówię:

- Skalpel, proszę.



**W** dniu, w którym mieliśmy z Napletem uderzyć na Farmę, dowożący zakupy chłopak odebrał mnie ze stacji benzynowej, znajdującej się dziesięć mil na północ, o godzinie drugiej trzydziści po południu. Dojechałem tam o szóstej rano, żeby sprawdzić, czy nie ma glin. Kiedy chłopak się pojawił i stanął przy budce, żeby czekać na umówiony telefon, zaszedłem go od tyłu i złapałem za brodę, kładąc łokieć na klatce piersiowej. Zesztywniał.

- Nic ci nie zrobię - powiedziałem. - Wyluzuj. Ale się nie odwracaj i nie patrz na mnie. Wszystko pójdzie jak po maśle.

- Tak, proszę pana - powiedział mały.

- Teraz cię puszczę. Pójdziemy do wozu.

Kiedy dotarliśmy do samochodu, wciąż stałem za jego plecami.

- Trzymaj opuszczoną szybę i wyzeruj licznik. Powiedz mi, kiedy będzie prawie sześć mil - poleciłem.

Następnie wskoczyłem na pakę i usiadłem plecami do okienka, opierając stopy o pudła z zakupami. Miałem na sobie czapkę bejsbolową Uniwersytetu Massachusetts, bluzę z naciągniętym kapturem i długi kaszmirowy płaszcz.

Chodziło o to, by wyglądać na durnego studenta i unie-  
możliwić identyfikację.

Kiedy skręciliśmy w boczną drogę i mały zawołał, że zbliżamy się do szóstej mili, powiedziałem mu, żeby zwolnił, a na wprost nas z krzaków wyłonił się Naplet. Był tak samo ubrany jak ja, ale nie wyglądał na durnego studenta. Wyglądał jak Jawa z *Gwiezdných wojen*. Przynajmniej dobrze zamaskował samochód w zaroślach przy drodze.

Podaliśmy mu dłoń i przenieśliśmy się pod lewą burtę, bo wiedzieliśmy, że kamera będzie z lewej strony. Droga była coraz gorsza. Owinięte kaszmirem ciało Napleta obok mojego przypominało wojłok z watą.

Dojechaliśmy do bramy. Usłyszałem trzask elektrycznego ogrodzenia. Po chwili przez głośnik odezwał się męski głos:

- Taa? Czego tam?

W głosie słychać było nosowe tony farbowanego dziada, używane przez George'a Busha, którymi posługują się obecnie wszyscy urażeni w swej godności biali mężczyźni w całej Ameryce.

Kierowca odpowiedział:

- To ja, Mike. Z Cost-Barn.

- Wychył się, cobym cię mógł zobaczyć.

Mike chyba się wychylił. Ruszył elektryczny silnik i brama rozsunała się z głośnym zgrzytem. Wjechaliśmy do środka i zobaczyłem, że ogrodzenie miało zwoje drutu kolczastego, skierowane do wewnątrz.

Samochód podskoczył i przez chwilę boksował pod górę, po czym się zatrzymał. Chłopak obszedł wóz i otworzył klapę. Robił,

co w jego mocy, by nie spojrzeć na nas, kiedy wynosił z niego pudło z dużymi puszkami jedzenia i butelkami chemikaliów. Wyglądał na zdenerwowanego, ale nie na tyle, żeby miał skrewić.

Kiedy zniknął z pola widzenia, ześliznąłem się z paki na ziemię, a Naplet podążył w moje ślady.

Fronton domu pokryty był brązowymi, zazębajającymi się deskami, jakby był kryty gontem. Cztery okna od frontu, dwa po obu stronach drzwi i dwa kolejne na górze. Widać było szopę z zielonych paneli z włókna szklanego po lewej, po tej stronie domu, w którym działali hydraulicy Locano. Tył samochodu był lekko przekrzywiony w tę stronę, by dać nam jeszcze trochę cennego schronienia.

Kiedy kierowca nacisnął dzwonek, podbiegłem do budynku i przylgnałem do ściany pod narożnym oknem. Kiedy plecy Napleta zadudniły ciężko koło mnie, ktoś otworzył drzwi. Zirytowany przyłożyłem palec do ust, na co on w przeproszającym geście uniósł kciuk. Kiedy mały zniknął we wnętrzu, skoczyłem za róg.

Wiedziałem, że to najgorszy etap. Z boku również były dwa okna na dole i dwa na górze, chociaż tylne okno na parterze skrywała szopa. Tymczasem wejście do niej wychodziło na podwórko z tyłu. Żeby ją obejść, musieliśmy przemknąć przed przynajmniej dwoma oknami i przez podwórko.

Więc zamiast tego ruszyliśmy schyleni wzdłuż ściany domu. Wrażenie, że ktoś nas obserwuje, było bardzo silne, ale ostrzegłem Napleta, żeby nie oglądał się za siebie ani nie patrzył do góry. Wtedy już wiedziałem, że ludzie widzą niemal wszystko i

starają się udawać, że nie widzą, ale ludzkiej twarzy nie można pominąć. Połowa kory mózgowej rozświetla się jak reflektor na widok ludzkiej twarzy. Dlatego szliśmy z opuszczonymi głowami i dotarliśmy do wejścia szopy, nie wiedząc, czy ktoś nas widział czy nie. Odsunąłem dwie płachty włókna szklanego na tyle, żebyśmy wśliznęli się do środka.

W środku wszystko było zielone, ponieważ sufit był zrobiony z tego samego półprzezroczystego tworzywa. Wejście od podwórza było po prostu otworem wyciętym w ścianie, z przewieszoną niebieską plandeką. Tak jak nam obiecano, że ściany domu sterczał niski kran. Stało tu też stalowe wiadro, wąż ze spryskiwaczem i widać było odpływ w błotnistym gruncie.

Podszedłem do wyjścia i wyjrzałem przez plandekę. Podwórze miało jakieś trzysta jardów długości i kończyło się ogrodzeniem z drutem kolczastym. Widać było stoły ogrodowe i betonowe palenisko na grilla. Widziałem też brzeg kolejnej szklanej szopy. Zacząłem się zastanawiać, czy to tam znaleziono trupa dziewczyny.

Starąłem się nie roztrząsać w myślach tematu zabitej dziewczyny, tego, czy była tam czy gdzie indziej. Robota była ślepa. Wiedziałem, na co się piszę, i nie mogłem teraz się rozglądać. Miałem tylko nadzieję, że pojawią się jakieś dowody, zanim zaczniemy strzelać.

Kłapa samochodu zatrzasnęła się z hukiem, a kiedy mały włączył silnik, usłyszałem męski głos przemawiający do dostawcy tonem, z którego wywnioskowałem, że nas nie zauważono.

Oznaczało to, że niebezpieczna część zadania najprawdopodobniej się skończyła. Teraz czekała nas nudna część - dwanaście godzin czekania, zanim przejdziemy przez dziurę w ścianie i zaczniemy strzelać do ludzi. Usiadłem przy kranie na połach mojego nowego kaszmirowego płaszcza\*. [Zasada numer jeden z *Podręcznika zabójcy* - Nie oszczędzaj swoich ciuchów.]

Naplet stał dalej i chodził wzdłuż ścian. Po chwili zacząłem odczuwać lekkie zażenowanie. Jakbym dostał pracę w biurze, która miała być wspaniała, ale prawda okazała się inna, a teraz mój syn przyszedł do mnie w odwiedzin i patrzył, jak jego tatuś czeka cały dzień i całą noc w błocie, żeby wśliznąć się ludziom do domu i strzelić im w łeb.

Wtedy zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że tak potoczyły się moje losy.

Jak kiedyś czytałem dużo książek i miałem oswojoną wieściorkę.

- Pietro - wyszeptał Naplet, trącąc mnie. – Muszę się odlać.

Właściwie można się było tego spodziewać w ciągu dwunastu godzin oczekiwania. Ale siedzieliśmy tu dopiero od pięciu minut.

- Nie mogłeś się odlać w lesie? - zapytałem.

- Odląłem się w lesie.

- No to dawaj - powiedziałem.

Naplet poszedł w róg i rozpiął spodnie. Kiedy strumień mocz uderzył w ścianę, włókno szklane zaterkotało jak blaszany bębenek. Naplet przestał lać.

Rozejrzał się wokół. Posłał kilka próbnymi kropli w błoto obok

ściany. Rozległ się plusk i znów przestał. Wyglądał na zdesperowanego.

- Pochylił się - wyszeptalem.

Naplet próbował różnych przykucnięć i przysiadów, aż w końcu położył się bokiem w błocie i zaczął sikać na ścianę, majtując strumieniem w prawo i w lewo.

Zmartwiłem się. Naplet był tak odporny na wstyd, jak każdy kogo znałem, ale nawet on miał swoje ograniczenia. A droga od wstydu do urazy jest niezwykle krótka.

Ale kiedy Naplet wytrzepał ptaszka, powiedział do mnie po prostu:

- Kurwa. Mam nadzieję, że FBI nie może odkryć DNA w próbce moczu\*.[Okazuje się, że zwykle nie może, ponieważ moczu zdrowego człowieka nie zawiera komórek organicznych. Ale jeśli gubisz tyle komórek, że tak złe laboratorium jak laboratorium FBI może pozyskać je z błota, to oskarżenie jest najmniejszym z twoich problemów.]

Chwilę później rzucił:

- Jasna dupa. Patrz.

Podszedłem i spojrzałem. Na błotnistej podłodze wszędzie widać było ślady, niemal niewidoczne w zielonkawym półmroku. Wszędzie - nawet tam gdzie staliśmy.

Ślady stóp nastoletnich dziewcząt. Wielu stóp.

Nie był to jasny dowód, ale przeraziło mnie to nie na żarty.

Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe i jakiś nastolatek zawołał:

- Tato, wypuszczam psy!

Przy wolnym tempie, z jakim wyjaśniają się pewne sprawy, zadziwiające jest to, że inne rzeczy widać od razu jak na dłoni. Jak to, że jeśli ktoś musi zamykać psy podczas wizyty hydraulików czy dostawcy, to muszą z nich być straszne sukinsyny.

Poczucie surrealizmu, pasywności i skołowanej głupoty opuściły mnie momentalnie. Wziąłem się w garść. Teraz walczyłem o przetrwanie.

Wyciągnąłem pistolet z jednej kieszeni oraz tłumik z drugiej i słysząc sprężyste susy, połączyłem je w jedno. Na szybach z włókna szklanego pojawiły się dwa wielkie cienie o kształcie dobermanów.

Później dowiedziałem się, że były to tak zwane dobermany królewskie, które uzyskuje się, krzyżując dobermana z dogiem, a potem robiąc krzyżówki wsteczne, aż z doga pozostaje tylko wielkość.

- Kurwa - rzuciłem wtedy.

Jak wszyscy normalni ludzie, kocham psy. Zrobić z psa skurwysyna jest o wiele trudniej niż z człowieka. I stało się jasne, że będziemy musieli je zabić.

Psy zaczęły węszyć z drugiej strony ściany, którą Naplet właśnie osikał. Nagle jeden z nich zaczął napierać na włókno szklane, a drugi stanął z boku i zawarczał.

Frontowe drzwi domu otworzyły się z trzaskiem. Oznaczało to, że ktoś, kto nimi trzasnął, albo był teraz na zewnątrz i należało go jak najszybciej zdjąć, albo w środku i może nie usłyszy tego, co miało się zaraz stać.

Tak czy inaczej, nadszedł czas na działanie.

Pies, który stał z boku, szczeknął głucho. Był to wstęp do głośnego szczekania. Strzeliłem mu dwa razy w łeb przez ścianę, aż

odrzuć go do tyłu, po czym wypaliłem do tego bliższego, dwa razy w pierś. Skamłając, padł na ziemię.

Szybko wymieniłem magazynki, nasłuchując. Strzały były wyciszone, ale wszystkie zadudniły o włókno szklane tak, że ściany szopy wciąż jeszcze rezonowały. Obrzeża dziur były nadpalone, tak jakby kule przeszły przez ubranie.

Ponownie otworzyły się drzwi domu.

Ten sam nastoletni głos zawołał:

- Ebay? Xena?

Ruszyłem do przykrytego plandeką wyjścia z tyłu szopy.

- Ebay! - rozległ się głos już dużo bliżej.

- Załatwię go - wyszeptał Naplet.

- Nie! - zasyczałem.

Jak w gównianym filmie akcji. Naplet podskoczył, napał na tylną ścianę ramieniem, tak że dwie płyty odchyliły się na zewnątrz, i strzelił przez trójkątną szczelinę. Wtedy elastyczne tworzywo odskoczyło i posłało Napleta na środek szopy.

W filmie jednak by nie spudłował. Ani nie zapomniałby założyć tłumika.

Wystrzał zabrzmiał tak, jakby zderzyły się dwa samochody. I jakbyś usłyszał to z wnętrza bagażnika. Odgłos tętnił mi w uszach, kiedy wystrzeliłem przez wyjście przykryte plandeką i pobiegłem na przód budynku, niemal wywracając się na psiej krwi. Kiedy tam dotarłem, drzwi domu właśnie zatrzaskiwały się z hukiem.

- Załatwiłem go? - zapytał Naplet, kiedy stanął koło mnie.

- Chyba nie - powiedziałem. - Schował się w domu.



- O cholera. No to co robimy?

„My” robimy, kurwa jego mać.

- Ruchy - nakazałem.

Nie mogliśmy też pobiec na tyły. Jeśli nie liczyć nowej ściany, ci faceci znali swój dom o wiele lepiej niż my.

Pobiegłem z powrotem do szopy. Wykopałem ścianę wokół kranu i poszerzyłem otwór.

Przejsięcie było kurewsko wąskie. Miało może z osiemnaście cali po przekątnej. I to dopiero wtedy, kiedy odgiąłem rurę z kranem.

Ledwo wsunąłem ramiona, żeby się przecisnąć do środka głową naprzód. Kiedy tego dokonałem, zasłoniłem światło. Chwyciłem się jakichś rur w ciemności i za ich pomocą przeciągnąłem się do zatechłego wnętrza.

Stuknąłem twarzą o kilka w połowie pełnych plastikowych butelek i poczułem zapach chloru oraz płynu do zmywania naczyń. Niemal się roześmiałem. Następnie otworzyłem drzwiczki szafki i wykaraskałem się spod kuchennego zlewu.

Światło było oślepiające. Po jednej stronie stał szeroki piec, a po drugiej rzeźniczy kloc. Szybko podniosłem się na nogi.

Kloc rzeźniczy nie należał do wyposażenia japiszońskiego domu - był powalany krwią, a do jego drugiego końca przykręcono maszynkę do mięsa. Poza tym stały przy nim dwie kobiety i wpatrywały się we mnie.

Jedna miała mniej więcej pięćdziesiąt lat, druga chyba połowę z tego. Obydwie wyglądały tak, jakby połamano im wszystkie kości twarzy i potem złożono bez udziału lekarza. Chociaż twarz starszej wyglądała gorzej.

Były poniekąd uzbrojone. Starsza trzymała dwiema rękami nóż rzeźnicki, a młodsza uniosła nad głową ciężką, żelazną kratę z jednego z palników pieca. Obydwie wyglądały na przerażone.

Trzymając je na muszce, pomogłem Napletowi stanąć na nogi, kiedy przedostał się już przez dziurę.

- Ostrożnie - powiedziałem. - Mamy dwie osoby postronne. Nie zastrzel ich.

Kiedy Naplet je zobaczył, momentalnie uniósł broń.

- Postronne? - zapytał. - Jedna z nich ma nóż!

- Nałóż tłumik - powiedziałem mu. Zapytałem kobiety: - Gdzie dziewczyny?

Młodsza wskazała na podłogę. Starsza prychnęła na nią, ale zauważyła moją reakcję i zamarła.

- W piwnicy?

Młodsza pokiwała głową.

- Ilu jest ludzi w domu poza nimi?

- Trzech - powiedziała ochrypłym głosem.

- Razem z waszą dwójką?

- Trzech poza nami.

- Jesteście z policji? - zapytała starsza.

- Tak - odpowiedziałem.

Młodsza westchnęła:

- Bogu dzięki - i zaczęła płakać.

- Czas na nas - powiedziałem do Napleta. Do kobiet zaś: - Zostańcie tutaj. Jak się ruszycie, to naprawdę was zastrzelę.

Nie tak mówią policjanci, ale co tam. Wycofałem się do dochodzącego do kuchni, pokrytego wykładziną korytarza, następnie odwróciłem się i przebiegłem przez niego.

Korytarz był niezwykle klaustrofobiczny i dwukrotnie skręcał pod półkami wyladowanymi wszelkim gównem, takim jak stare plecty i gry planszowe. Wszędzie było czuć dym papierosowy. Przy końcu wisiała tablica korkowa z pożółkłymi fotografiami z rodzinnych wakacji i chyba zdjęciami kopulujących ludzi, ale nie zatrzymałem się, żeby się poprzyglądać.

Korytarz wychodził na zagracony hol z głównym wejściem na końcu. Było jeszcze dwoje drzwi i schody prowadzące na górę. Wejście po mojej prawej to był tylko łuk, ale to po lewej miało prawdziwe drzwi, które pozostawały zamknięte. Otworzyłem je, kucając.

Szafa na płaszcze. Mnóstwo gumowych butów. Zamknąłem je.

Między szafą a drzwiami wejściowymi wisiał tak dziwny obraz Jezusa, że uniosłem go. Były za nim kontrolki do bramy wjazdowej.

Zastanawiałem się, czy nie ruszyć do niej biegiem. Otworzyć ją z tej strony i starać się dobiec do lasu po drugiej stronie ogrodzenia.

Ale trzeba byłoby przebiec spory kawał na otwartej przestrzeni i było to przewidywalne posunięcie. Niezależnie od tego, jakie miałem na to szanse, Naplet miał ich połowę. Nakazałem mu gestem dłoni wyjść z korytarza i pójść za mną, po czym wszedłem przez łuk drzwiowy.

Prowadził do prawego pokoju narożnego od frontu domu. Kucnęliśmy pod oknem wychodzącym na przód, pod którym wysiedliśmy z samochodu. Z bocznego okna widać było szopę.

W pokoju wisiał duży ekran telewizyjny, stała kanapa i ławka do wyciskania ciężarów oraz wisiały półki z jakimiś tabliczkami i trofeami - chyba za osiągnięcia w jeździe na deskorolce. Nad kanapą wisiał oprawiony w ramę plakat Arnolda Schwarzeneggera z czasów, kiedy był kulturystą.

Kiedy na niego spojrzałem, kątem oka dostrzegłem jakiś ruch w bocznym oknie, więc przysiadłem i ściągnąłem Napleta w dół.

Był to wysoki chudy chłopak, wychodzący zza rogu szopy w stronę frontu domu taktycznym krokiem, jakiego można nauczyć się tylko w wojsku lub z filmów dla fanatyków broni. Miał w dłoni aluminiową strzelbę do tłumienia demonstracji, którą kierował na szopę.

- Z tyłu pusto! - krzyknął, co miało znaczyć „za szopą”.

Miał dziwny głos. Był również dziwnie chudy, a jego policzki i czoło były upstrzone takimi pryszczami, że widać je było z sześciu jardów.

Jezu - pomyślałem. Nie miał nawet czternastu lat.

Podniosłem wzrok w samą porę, by podbić lufę pistoletu Napleta, który miał zamiar przestrzelić szybę nad moją głową.

- Co jest, kurwa? - wyszeptał.

Pociągnąłem go pod parapet.

- Nie strzelaj bez ostrzeżenia mnie, nie strzelaj w szybę, która jest przy mojej twarzy, i jeśli twój cel coś do kogoś mówi, to poczekaj, aż zobaczysz tę osobę. I nie zabijaj dzieci. Jasne?

Naplet unikał mojego spojrzenia, a ja odepchnąłem go z niesmakiem.

- Po prostu, kurwa, się nie podnoś - rzuciłem.

Jakiś męski głos wrzasnął:

- Randy, spadaj stamtąd!

Był to zapewne ten sam głos, który rozległ się przez głośnik przy bramie.

Tuż za ścianą zaterkotał karabin maszynowy. Naplet i ja zakryliśmy uszy tak szczelnie, jak to się dało z pistoletem w dłoniach.

Wychyliłem się lekko nad parapet.

Po szopie zostało tylko wspomnienie. Poszarpane fragmenty zielonego włókna szklanego sunęły po ziemi jak jesienne liście, wprost na podwórze z tyłu domu. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozwalił szopę odkurzaczem do sprzątania liści.

Odwróciłem się do okna z przodu domu. Był tam chłopak ze strzelbą, stał bokiem jakiś jard ode mnie. Jakby zajrzał do środka, toby mnie zobaczył. Jednakże cofnął się do miejsca, gdzie niedawno stała szopa.

Z tyłu domu wyłoniło się jeszcze dwóch mężczyzn i ruszyło mu na spotkanie.

Jednym z nich był kolejny nastolatek, ale starszy - miał osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Trzymał w dłoniach karabin Kałasznikowa.

Drugi mężczyzna był paskudnie wyglądającym facetem w średnim wieku, w czapeczce bejsbolowej i w lotniczych okularach z nieprzyciemnianymi szklami. Miał jakieś metr osiemdziesiąt i pokrywała go warstwa stwardniałego tłuszczu, o jakim nie uczą na akademii medycznej, ale jaki często się widuje u typów lubiących się bić w knajpach. Niósł coś, co wyglądało jak piła spalinowa, tylko że miało kartaczownicę Gatlinga w miejscu,

w którym powinno być ostrze. Broń dymiła i parowała na całej długości. Nigdy nie widziałem niczego podobnego\*.[Dla fanatyków uzbrojenia: okazało się, że jest to .60 GE M134 „Predator”; karabin strzelający kulami ze zubożonego uranu, które można podobno dostać tylko w Chinach.

Dwaj mężczyźni i chłopak rozkopywali resztki potrzaskanego włókna szklanego i wtedy ten w średnim wieku dostrzegł dziurę wybitą w ścianie domu.

- CHYBA ICH NIE ZAŁATWILIŚMY! - krzyknął.

Zauważyłem, że żaden z nich nie ma osłony na uszy. Było jasne, że teraz zbliżą się do ściany domu, tak że trzeba się będzie wychylić, by ich trafić. Klęczący koło mnie Naplet oznajmił:

- Musimy strzelać.

Miał rację. Podjąłem taktyczną decyzję. Powiedziałem:

- Ty bierzesz grubego. Ja zastrzelę chłopaków.

Otworzyliśmy ogień i okno rozprysło się przed nami.

Kiedy rozdzieliłem cele, chciałem strzelić chłopakom w nogi - najlepiej w stopy - a tatusiek był tak opasły, że nawet Naplet nie mógłby spudłować.

Jednakże to ja pudłowałem za każdym razem. Niełatwo jest strzelić komuś w nogę z dystansu. Wytraciłem prawie cały magazynek, aż w końcu udało mi się trafić starszego w goleń i odstrzelić stopę młodszemu.

Tymczasem Naplet wystrzelał cały magazynek, nie trafiając Karchera ani razu. Wtedy Karcher skierował karabin maszynowy wprost na nas.

Szarpnąłem Napleta do tyłu i znów rozległ się ogłuszający huk. Całe fragmenty narożnej ściany, pod którą klęczeliśmy, dosłownie wyparowały, jak w tych filmach, w których podróżnik w czasie zmienia coś w przyszłości i rzeczy zaczynają znikać w teraźniejszości.

Powietrze wypełniał pył gipsowy i odłamki, tak że trudno było cokolwiek zobaczyć. Naplet wyrwał mi się i straciłem go z oczu. Wpełznąłem dalej, z dala od rogu, następnie skryłem się za fragmentami zwałonego muru. Dopiero kiedy zakaszlałem, uświadomiłem sobie, że prawie nic nie słyszę.

Po jakimś czasie, naprawdę nie wiem jakim, powiew listopadowego wiatru przemknął przez rozwalony dom i powietrze się oczyściło. Po przedniej ścianie narożnego pokoju zostało tylko wspomnienie. Brakowało sporych fragmentów sufitu, widać było sypialnię na piętrze, a z rur lała się woda. Widziałem wszystko aż do holu. Po obrazie z Jezusem i tablicy kontrolnej zostały tylko strzępy na ścianie.

Karcher stał po lewej stronie niegdysiejszej klatki schodowej. Naplet leżał u jego stóp.

Naplet wciąż trzymał pistolet, ale odwiedziony zamek pokazywał tylko, jak bardzo pusty ma magazynek.

- ALE TERAZ, CHŁOPCZE, WPADŁEŚ JAK ŚLIWKA W GÓWNO! - krzyczał na niego Karcher. Najwyraźniej słuch mu

wracał wolniej niż mnie. - ZABIJĘ CIĘ POWOLI I BĘDZIESZ ŻARŁ KAWAŁKI WŁASNEGO CIAŁA.

Najwyraźniej *Uwolnienie* jest *Ojcem chrzestnym* dla ciołków. Uświadomiłem sobie, że Karcher nie wie, że jest nas dwóch. Po chwili podniosłem się i strzeliłem mu prosto w łeb.

O tym, co było dalej, pewnie czytaliście. Albo widzieliście rekonstrukcję w kryminalnych programach telewizyjnych.

Starszy syn Karchera, Corey, którego postrzeliłem w gołęń, wykrwawił się na śmierć. Młodszemu, Randy'emu, nałożyłem opaskę uciskową. Mógłby przeżyć, tyle że kiedy poszedłem przyprowadzić samochód, Naplet strzelił mu w głowę. Witamy w mafii, Adamie „Naplecie” Locano.

Kiedy załadowaliśmy trzy ciała do bagażnika, kobiety wyszły przed dom i obserwowały, co robimy, starsza lkała na kolanach, a młodsza tylko się gapiała. Później tego samego wieczoru ciała zostały pokawałkowane i włożone do sześciu dziecięcych trumienek przez technika z biura lekarza sądowego z Brooklynu, który miał dług u mafii za, kurwa mać, prawidłowe wytypowanie Oscarów w zakładach bukmacherskich, i sześć skrzynek spoczęło na Potter's Field.

Zanim z Napletem wyjechaliśmy, odnalazłem tyle ukraińskich dziewcząt, ile mogłem. Jedna była rozpięta na stojaku w „biurze” Karchera. Nie mogłem jej docucić i zabrałbym ją z nami,



gdybym stwierdził, że zawieziemy ją do szpitala szybciej niż gliniarze\*. [A propos, to prawda, że na stojaku można było zobaczyć namalowane za pomocą szablonu napisy „Home Depot”. Oczywiście na tych, które nie były uwalane krwią i gównem.]

W sypialni jednego z młodych była wciąż żywa dziewczyna, przykuta łańcuchami do łóżka - łut szczęścia sprawił, że nie było to pomieszczenie nad pokojem z telewizorem. W drugiej szopie kilka martwych wisiało na łańcuchach.

Wejście do schronu przeciwburzowego znajdowało się na tyłach domu. Dobywał się stamtąd najgorszy smród, jaki poczułem w życiu, nie spotkałem się z takim nawet wtedy, kiedy chodziłem do szkoły medycznej.

Wraz z Napletem zatrzymaliśmy się przy tym samym telefonie na stacji, przy którym spotkałem się z młodym dostawcą. Zadzwoiłem z niego po gliny - powiedziałem im, gdzie mają jechać i co zastaną, kiedy już tam przyjadą. Do Locano zadzwoniliśmy z komórki. Kiedy zostawiliśmy ciała Karcherów w dobrych rękach, pojechaliśmy do domu, żeby wziąć prysznic. Naplet nachlał się i nawalił, a ja poszedłem szukać Magdaleny.

Niemal nie rozmawialiśmy ze sobą z Napletem od rozpoczęcia strzelaniny. Obydwaj byliśmy mocno podenerwowani, ale też wiedzieliśmy obydwaj, że decyzja Napleta, by dobić ранego czternastolatka, wystarczyła, by zniszczyć naszą przyjaźń, nawet gdyby wszystko inne poszło jak po maśle.

Dwa tygodnie później zostałem aresztowany za zamordowanie dwóch żon Lesa Karchera.

Instrumentariusz podaje mi skalpel z niewielkim ostrzem. Przystawiam go delikatnie do linii nakreślonej na brzuchu Squillantego, tak że jodyna i tusz mieszają się razem i krawędzie rozciętej skóry zaczynają się rozdzielać. Przez chwilę, zanim cięcie wypełnia się krwią, otłuszczone ścianki wyglądają jak twarożek. Po chwili oddaję skalpel. Nie będzie ponownie używany w tej operacji. Skalpele tną bez zarzutu, ale nie są w stanie powstrzymać krwawienia. Friendly mówi:

- Zacisk. Ja mówię:
- Bovie i ssanie.

„Bovie” to elektrokauter, urządzenie o kształcie pióra z przewodem wychodzącym z tyłu i kawałkiem metalu wystającym z przodu. Wygląda jak miniaturowy oścień do bydła i aż szkoda, że „Bovie” to nazwisko wynalazcy, a nie skrót od *bovine*\*.[*Bovine* - bydlęcy]

Bovie nie tylko tnie, ale i wypala, zamykając naczynia krwionośne w nacięciu. (Pozostawia też paskudny szlak zwęglonej

tkanki, dlatego nie używa się go do nacięć skóry.) Chodzi o to, by odessać krew z nacięcia, a potem błyskawicznie przyłożyć końcówkę kautera do przeciętych naczyń krwionośnych i żył, żeby je zapiec. Trzeba wykonywać to bardzo szybko, ponieważ po odessaniu ma się ledwo ułamek sekundy, w którym cokolwiek widać. Później znów pojawia się krew.

Powierzam ssanie memu studentowi, który nie wygląda na tak głupiego, żeby miał z tym przesadzić. Za każdym razem kiedy student odsysa krew, czekam, aż pojawią się miniaturowe kropelki krwi, wybieram wtedy jedną i przystawiam kauter, żeby zasklepić ujście żyły, zanim znów zacznie z niej tryskać.

W tym tempie operacja może trwać całymi dniami, a do tego zaczęły się zmieniać moje okresy świadomości i nieświadomości, które trwały teraz po jednej tysięcznej sekundy, jak sinusoida sygnału radiowego. Pot cieknie mi po czole, skapując do rany Squillantego.

W końcu Friendly zaczyna się nudzić i dźga to tu, to tam swoim „zaciskiem”, który wygląda jak kombinerki ze spiczastymi końcówkami. Chwyta końcówki żył, których nie widzę, żeby umożliwić mi tylko przyłożenie boviego do metalu jego narzędzia i zasklepienie arterii dzięki przewodnictwu, na wiarę.

Kiedy krwawienie ustaje, Friendly wbija szczypce w gąbczastą błonę w dole nacięcia i rozszerza ją tak, że się rozrywa. Następnie wybiera kolejne naczynia, żeby móc je zapiec.

W trakcie Friendly spogląda na instrumentariusza, który jest dwudziestokilkuletnim Murzynem.

- A więc nie mogę używać słowa „gej” na sali operacyjnej? - zaczyna Friendly. - Wszyscy są tu strasznie drażliwi. Muszę najpierw prosić o p o z w o l e n i e . Zapomniałem, że teraz wszystko jest p o p r a w n e .

Instrumentariusz się nie odzywa, więc Friendly odwraca się do mojego studenta.

- Wiesz, co to znaczy „poprawna medycyna”? - pyta.

- Nie, proszę pana - odpowiada student.

- Oznacza to dodatkowe dziesięć godzin pracy w tygodniu za frajer. Szykuj się na to, mały.

- Dobrze, proszę pana - odpowiada student.

Friendly zwraca się ponownie do instrumentariusza:

- A mogę tu używać słowa „czarny”? Czy muszę mówić inaczej? - Milknie na chwilę. - Może „artyści dawniej znani jako czarnuchy”? Tak mogę powiedzieć? Czy może na to też potrzebuję pozwolenia?

Powinienem zaznaczyć, że sale operacyjne, podobnie jak budowy, są ostatnią ostoją seksistów, rasistów i wszystkich, co mają nie po kolei w głowie. Chodzi o to, że dzięki dręczeniu ludzi mogą zachować spokój pod presją. W rzeczywistości socjolog mógłby badać sale operacyjne, żeby się dowiedzieć, jak wyglądały miejsca pracy w latach pięćdziesiątych.

- Co powiesz na to, Scott? - doktor Friendly pyta instrumentariusza.

Instrumentariusz spogląda na niego chłodno.

- Do mnie pan mówi, doktorze Friendly?

- Jeśli nawet, to nie mam bladego pojęcia dlaczego - odpowiada Friendly. Ciska okrwawiony zacisk na środek tacki na instrumenty. - No już. Otwieramy.

Zagłębia końce palców w nacięciu, następnie nachyla się i rozszerza je, jakby otwierał olbrzymią sakiewkę z drobnymi monetami. Widać krwistoczerwone mięśnie Squillantego z jasnym, białym pasem pośrodku, w którym wykonamy następne cięcie, ponieważ prawie nie ma tam krwi.

- Przerzutów brak - woła Friendly do pielęgniarskiego operacyjnego, który siedzi przy komputerze. - Nie ma też węzła Virchowa, chociaż będziesz mi musiał uwierzyć na słowo\*.[Rakowy slang!]

Tnę boviem wzdłuż białego pasa.

- Będzie pan używał japońskiej czy amerykańskiej procedury przy węzłach limfatycznych? - pyta mój student.

- To zależy - mówi Friendly. - Czy jesteśmy w Japonii?

- A co to za różnica, proszę pana? - pyta moja studentka siedząca na stopniu poniżej.

- W Japonii poświęcają cały dzień na prewencyjną resekcję węzłów - ciągnie Friendly. - Bo w Japonii mają społeczną służbę zdrowia. - Oddziela od siebie dwa pasemka mięśni. - Retraktor, proszę - mówi. - Jesteśmy w jamie brzusznej.

Instrumentariusz zaczyna składać retraktor, czyli dużą obręcz, która ma rozchylić nacięcie.

Czekamy, a Friendly spogląda na studentkę, która nie bierze udziału w operacji.

- Nie martw się, wkrótce wszystko nam tu uspołecznia - oświadcza. - Stacey. Możesz sprawdzić mój biper?

- Jasne, doktorze Friendly - mówi Stacey. - Gdzie jest?

- W moich spodniach.

Nagle wszyscy spuszczają wzrok. Stacey podchodzi dzielnie do Friendly ego i klepie go po tyłku.

- W kieszeni z przodu - wyjaśnia Friendly.

Chyba wspomniałem już wcześniej, że spodnie lekarskie i kitel są dwustronne. Dlatego tylna kieszeń znajduje się po prawej stronie, na zewnątrz, a przednia po lewej, w e w n ą t r z .

Stacey sięga pod kitel operacyjny Friendly'ego i maca go po kroczu. Podczas tej czynności marszczy nos w moją stronę, w dość ujmujący sposób.

- Nic tutaj nie ma - mówi w końcu.

- To wszyscy wiedzą - odzywa się pielęgniarz.

Wszyscy wybuchają głośnym śmiechem. Friendly czerwieni się, po czym pod maską występują mu plamy ze złości. Wyrwa instrumentariuszowi retraktor i niemal wpycha go Squillantemu do brzucha.

- Wiecie co? - mówi, kiedy obręcz już siedzi. - Pierdolę was wszystkich. Do roboty.

Wracamy do roboty. Przez chwilę słyszać tylko pikanie EKG Squillantego. Dla mnie każde piknięcie brzmi jak dźwiek budzika rozbrzmiewający po wiecznym śnie. Moje przedramię, zaszcępienie ropą Duposzczaka, zaczyna pulsować.

Ale wreszcie jest jakiś postęp. Najpierw przedzieramy się przez wnętrzości Squillantego, gdzie każdy zwój jest zakotwiczony w cienkiej warstwie tkanki, która dostarcza do niego między innymi krew. I ponieważ ześlizgujają się po sobie jak rekiny w akwarium, nie można ich zwinąć jak liny. Trzeba je odgarniać warstwa po warstwie jak strony w książce telefonicznej.

- Dajcie odwróconego Trendelenburga\* - mówi Friendly. [„Odwrócony Trendelenburg” oznacza, że stopy pacjenta są niżej niż jego głowa. „Trendelenburg” oznacza, że stopy są wyżej niż głowa. Żaden chirurg na świecie nie da się przyłapać na tym, że mówi „głowa do góry” czy „głowa na dół”. Nie musicie więc już się zastanawiać, dlaczego usunięcie wyrostka trwa cztery godziny.]

Taka pozycja pozwala skończyć odsuwanie wnetrzności, po czym w końcu ukazuje się żołądek.

Podobnie jak w przypadku pierwszego nacięcia, trudność tutaj nie będzie polegała na usunięciu żołądka, bo każdy aztecki kapłan mógłby wyciąć pięć i pójść w południe na browar. Trudność polegała na kontrolowaniu krwawienia - odszukaniu i odcięciu tuzinów żył wchodzących do żołądka jak szprychy do koła - żeby Squillante nie zmarł. Friendly bierze drugiego boviego i zaczyna wyłuskiwać arterie po jednej stronie, a ja działam po drugiej.

- Bardzo śmieszne, kutafony - nagle znów zaczyna Friendly. - Ile mam lat doświadczenia? Jedenaście? Piętnaście? Więcej, jeśli liczyć ogólniak. I po co? Żeby siedział cały dzień z bandą niedouczonej kretynów, wdychając spalone drobiny flaków, i patrzył, jak moją pensję rozdrapuje była żona i połowa kierowników organizacji ochrony zdrowia w Ameryce. No, wy też wdychacie te drobiny. Ale i tak.

Jego ruchy stają się coraz bardziej gwałtowne. A może wydaje mi się tak przez mój cykl snu i jawy.

- Och, ale to prawda - kontynuuje Friendly. - Robię to, by ratować ludzi. Ludzi takich jak ten koleś z sygnecikiem, który

przez całe życie żarł wołowinę, jarał papierosy i siedział na dupie. Mówię:

- Szew - i zaczynam podwiązywać jedną z większych arterii. Szpagat rwie mi się w dłoniach. Proszę o drugi kawałek.

- Pierdoleni hodowcy bydła i jebane HMO - rzuca Friendly. - Al-Krowida i banda HMOsamów. Zamienili mi życie w piekło, kiedy inni sobie odpuścili. Założę się, że ci od fajek też się nieźle bawią. Wszystko to, czego nigdy w życiu nie robiłem, daje człowiekowi frajdę. Tak jak kiedy byłem w akademii medycznej i się uczyłem, a wy w tym czasie siedzieliście w parku, jaraliście trawę i słuchaliście Marviną Gaye'a, pierdoląc się ze sobą nawzajem.

Tym razem wiązę szpagat delikatniej i wszystko się trzyma. Jestem zdumiony, jak szybko przypomniałem sobie wiązanie, szczególnie że teraz od przedramienia sztywnieją mi palce. Ale wszystko, czego człowieka uczą najpierw na racicy martwej świni, później na stopie martwego człowieka, a w końcu na stopie żywego chorego, prawdopodobnie zostaje na zawsze.

- Szew - mówi Friendly.

Instrumentariusz podaje mu szpagat, ale ten zaplątuje się w palce Friendlyego i lekarz ze złością strzepuje resztki do jamy brzusznej Squillantego.

- Wiecie, co powinienem był zrobić? - pyta Friendly. - Powinienem był zostać zaklinaczem węży. To taka sama praca, ale lepiej płatna. Zamiast ratować życie ludzi, którzy mają nadzieję, że zjedzą mi na stole i będzie można ze mnie zedrzeć skórę w



sądzie. Bo tego właśnie wszyscy chcą - żeby móc zbić królową pionkiem.

- Doktorze Friendly? - pyta pielęgniarz.

- Czego?

- A kto niby jest tą królową?

Znów rozlega się śmiech, stłumiony chirurgicznymi maskami.

- Pierdol się! - mówi Friendly, chwytając kawałek szpagatu i ciska go w maskę pielęgniarza. Jest jednak za lekki, żeby dolecieć do celu, i ląduje na ziemi.

Przez sekundę nikt z nas nic nie mówi, a druga dłoń Friendlygo zatapia ostrze kautera w śledzionie Squillantego.

Nie tylko zatapia. Ciągnie po niej na ukos. Widzimy, jak na nacięciu pojawiają się kropelki krwi i po chwili zaczyna regularnie lecieć.

- O kurwa mać - mówi Friendly, wyrwijąc elektrokauter ze śledziony.

Śledziona to praktycznie woreczek z krwią wielkości pięści, umieszczony po lewej stronie brzucha. U fok, wielorybów i koni wyścigowych jest duża i zawiera dodatkowe zapasy krwi nasyconej tlenem. U ludzi głównie zbiera stare i uszkodzone czerwone krwinki i decyduje o tym, gdzie mają się udać i sklonować antyciała w przypadku infekcji. Można się obejść bez śledziony i ludzie, którzy przeżyli wypadki samochodowe czy cierpią na niedokrwistość, zwykle się obywają. Ale nie należy jej gwałtownie naruszać. Ponieważ do śledziony dochodzi tylko samo arterii, co do żołądka, utrata krwi w wyniku takiego naruszenia może być przyczyną gwałtownej śmierci.

Friendly wyrywa boviego ze źródła prądu i rzuca na ziemię.

- Dawać mi zaciski!

Pielęgniarka mówi spokojnie:

- Kauter na ziemi - i rzuca kilka zacisków na tacę.

Friendly chwytając je i stara się zewrzeć ze sobą krawędzie nacięcia w śledzionie.

Kleszcze zacisków rozdierają powierzchnię śledziony. Krew Squillantego zaczyna wypływać na tkaninę.

- Co się dzieje? - drze się anestezjolog z drugiej strony zasłony. - Ciśnienie spadło o dziesięć!

- Spierdalaj! - krzyczy Friendly i obydwaj ruszamy do działania.

Sam chwytam dwie klamry i staram się wyłowić żyły. Tylko największe, bo innych nie widzę przez tryskającą krew.

Friendly nie opierała mnie, kiedy zaciskam klamrę na lewej arterii żołądkowo-sięciowej, która biegnie do śledziony wzdłuż dolnej ściany żołądka. Chyba nawet tego nie zauważył. Ale kiedy zabieram się do samej arterii śledzionowej, która wychodzi z aorty jak kranik, pacnięciem odtrąca moją dłoń, tak że niemal wykańczam Squillantego na miejscu.

- Co ty, kurwa, robisz? - drze się.

- Zatrzymuję krwawienie - mówię mu.

- A ja myślę, że chcesz mi spierdolić żyły!

Wpatruję się w niego.

Wtedy uświadamiam sobie, że Friendly naprawdę myśli, że może uratować śledzionę Squillantego, a nie ograniczy się do jej podwiązania i usunięcia.

Ponieważ jeśli ją ocali, nie będzie musiał zgłaszać tego, że wystąpiły komplikacje z powodu jej nacięcia. W monitorze ciśnienia krwi rozlega się alarm.

- Weźcie go jakoś i połatajcie! - krzyczy anestezjolog.

Zasłaniając się ramieniem, na wypadek gdyby Friendly znów coś burczał, ponownie zabieram się do arterii śledzionowej i tym razem zamykam ją jakiś cal od tętnicy. Wyciek krwi ze śledziony się zmniejsza i alarm ciśnienia krwi milknie.

- Szew i igła - mówi Friendly przez zaciśnięte zęby.

Friendly zaczyna szyc zmaltretowaną śledzionę Squillantego, robiąc z niej paskudną bryłkę. W połowie roboty łamie mu się igła.

- Stacey! - krzyczy Friendly. - Powiedz tym chujom, jak się robi szwy, albo zaraz jadę do Glaxo!

- Tak, panie doktorze - mówi Stacey, jakby przebywała gdzieś daleko stąd.

Kolejny szew trzyma się lepiej albo też Friendly nie szarpie nim jak poprzednio.

- Czy mogę teraz odzyskać moje żyły? - pyta mnie.

- Nie wytrzyma - mówię.

- DAWAJ MI, KURWA, ŚLEDZIONOWĄ!

Odkleszczam zacisk, który zamyka arterię śledzionową. Śledziona z wolna napełnia się krwią.

Nagle pęka wzdłuż obu stron zaszytego nacięcia i krew tryska po całej sali. Friendly rzuca z rozmachem zacisk o ścianę, a ja ponownie zamykam arterię śledzionową.

- Zacisk na podłodze - mówi od niechcienia instrumentariusz.

- Wycinam śledzionę - oświadczam.

- Pierdol się. Ja to zrobię - mówi Friendly.
- Domagam się transfuzji - odzywa się anesteziolog.
- Nie ma sprawy! - wrzeszczy Friendly. - Podłącz go, Konstancjo.

Konstancja otwiera lodówkę Coleman, na której napis mazakiem informuje: „Friendly”, i wyciąga dwie torebki z krwią.

- Czy sprawdziliście to gównno? - pyta anesteziolog.
- Rób swoje i nie gadaj - gasi go Friendly.

Razem, Friendly i ja, usuwamy śledzionę Squillantego. Zajmuje to mniej więcej półtorej godziny. Następnie Friendly nakazuje jednemu z moich studentów zabrać ją na patologię, żeby później mógł twierdzić, że usunął ją celowo, szukając raka. Co, muszę przyznać, byłoby niezwykle przypadkiem regeneracji organu.

Później sama resekcja żołądka przebiega w żółtym tempie, ale odbywa się mechanicznie. Już i tak przeoraliśmy się przez połowę żył w jamie brzusznej Squillantego. Nie ma z czego krwawić. Ma szczęście, że w wątrobie i okrężnicy wciąż zostało trochę krwi.

Ponowne połączenie przelyku z żołądkiem jest irytujące, jak zszywanie dwóch kawałków ugotowanej ryby. Ale nawet to nam się udaje.

- No dalej, zamykaj - mówi w końcu do mnie Friendly. - Ja zacznę pisać raport.

Zamknięcie zajmie przynajmniej godzinę i jestem tak zmęczony jak chyba nigdy w życiu. Do tego palcami mojej prawej

dłoni szarpnię skurcze, tak że ledwo mogę nimi poruszać.

Ale wolę sam zakończyć operację niż w towarzystwie Friendly ego. W ludzkim ciele jest tyle warstw, że nawet dobry chirurg może zapomnieć zaszyć kilka z nich, jeśli operacja się przedłuży. Jeśli zszyje się te najbliższe powierzchni, to pacjent i tak nie poczuje różnicy. Dopiero później strzela.

Ale ja chcę zespolić Squillantego jak najściślej. Żeby był zamknięty i szczelny jak płaszcz przeciwdeszczowy.

Kiedy w końcu wypelzam z sali operacyjnej, Friendly stoi w korytarzu z puszką dietetycznej coli w ręce, drugą głaszcząc po tyłku jakąś przerażoną pielęgniarkę.

- Pamiętaj, mały, siłą i godnością osobistą – zwraca się do mnie.

Nawet nie wiem, czy to jawa czy sen. Przez ostatnie pół godziny obiecywałem sobie, że walnę się gdzie bądź, kiedy tylko skończę. Więc może się wałnąłem i teraz śnię.

- Chyba cię popierdoliło - mówię.

- Widzę, że w takim razie mam szczęście, że tu nie ma demokracji - zauważa. - Tu rządzą podwładni, całując w dupę przełożonych. A w tym ustroju ja jestem królem.

Ostatnie zdanie kieruje do pielęgniarki. Mam to gdzieś.

Już przetaczam się koło niego i idę korytarzem.

Budzę się. Słyszeć alarm jak w cofającej się ciężarówce. Poza tym jakieś głosy.

Leżę na łóżku szpitalnym. Nie mam pojęcia dlaczego ani gdzie. Wszystkie ściany poza tą z tyłu są zasłonięte parawanem.

Nagle alarm w zegarku oraz biper równocześnie się włączają i przypominam sobie: położyłem się na dwudziestominutową drzemkę. W sali pooperacyjnej. W łóżku obok Squillantego.

Skaczą na równe nogi i odgarniam energicznym ruchem parawan dzielący mnie od jego łóżka.

Wokół niego stoją jacyś ludzie. Pielęgniarki, lekarze, ale także grupa cywili. Jak sądzę, to agresywni członkowie rodziny przyszli zobaczyć, jak wyszło. Poziom hałasu jest nie do wytrzymania.

Ponieważ Squillante kona.

Na moich oczach sygnał EKG przestaje podskakiwać i zmienia się w linię ciągłą, wywołując kolejny alarm. Personel medyczny krzyczy i przerzuca się strzykawkami, które następnie wbijają w różne części jego ciała.

- Prądem go! Prądem! - drze się jeden z cywili.

Nikt nie razi go prądem. Nie ma sensu. Stosuje się to u ludzi, którzy mają zakłócony rytm serca, a nie u takich, którzy go nie mają w ogóle. Dlatego nazywają to defibrylacją, a nie fibrylacją.

Tak czy inaczej, Squillante jest zimnym trupem. W końcu kretyni z reanimacji dają za wygraną i wypychają cywili z sali, by przejść do innych zadań.

Staram się dociec, który z nich to Jimmy, facet, którego zadaniem jest dostarczyć wiadomość na mój temat Davidowi Locano

w Beaumont Federal Correctional Complex w Teksasie. Stawiam na faceta w trzyczęściowym garniturze, który już wyciąga komórkę i wychodzi z sali pooperacyjnej. Ale są też inni. Jest ich zbyt wielu, żeby coś z tym zrobić.

Podchodzę więc do wezłowania łóżka i wydzieram wydruk z EKG. Wykres jest całkowicie normalny aż do chwili przed ośmioma minutami, kiedy to zaczyna się rwać i skakać.

Te zygzaki nie wyglądają naturalnie. Układają się w litery „M” i „S”, jakby ktoś chciał napisać MORDERSTWO. Podnoszę czerwony kosz z „niebezpiecznymi materiałami organicznymi” i niosę za kotarę, za którą spałem. Wyrzucam wszystko ze środka na łóżko.

W zalewie tych wszystkich zużytych strzykawek i zakrwawionych gazików bez trudu odnajduję dwie puste ampułki z nalepką firmy Martin-Whiting Aldomed.

Ampułki, w których był potas.

Obydwie żony Lesa Karchera miały na imię Mary, chociaż młodsza była również znana w rodzinie pod czułym przydomkiem „Cycatka”. Gliniarze i ratownicy znaleźli Starszą Mary przed budynkiem, gdzie zostawiliśmy ją z Napletem. Miała przedziurawioną czaszkę, najprawdopodobniej za pomocą rusztu znalezionego koło jej ciała. Na pręcie (według fedryli) znajdowały się zamazane odciski palców, ale też sporo mózgu Starszej Mary. Cycatka, podobnie jak Karcherowie, po prostu znikła\*. W odróżnieniu od nich ta nie zostawiła żadnych śladów krwi. [Słuchajcie, przykro mi, że mówię o niej Cycatka, ale wszyscy ją tak nazywali. Raz powiedział tak nawet pan prokurator w sądzie, chociaż w tajemniczy sposób nie znalazło to odzwierciedlenia w protokole.]

To, że fedryle oskarżyli mnie o morderstwo na Marych, a nie o zamordowanie Chłopaków Karcherów, jak zaczęto ich nazywać, miało sens. Obie Mary były po chuju fajne i miłsze niż oni, a poza tym federalni mieli jedno z ciał. A jeśliby ta sprawa nie wypaliła, zawsze mogli mnie później oskarżyć o zabicie chłopaków\*\*. [Pogląd, że w USA nie można sądzić kogoś dwa razy za to samo przestępstwo, nie jest wart funta kłaków. Można trafić do sądu na podstawie tego samego oskarżenia - raz w sądzie federalnym i drugi raz w stanowym - i można zostać skazanym wielokrotnie za to samo przestępstwo. Na przykład mój proces federalny opierał się na następujących zarzutach (razy dwa): morderstwa z premedytacją, zabójstwa, morderstwa



popelnionego z bronią w ręku ze szczególnym okrucieństwem przy udziale wątku narkotykowego, morderstwa z kidnappingiem, morderstwa na zlecenie, morderstwa z próbą wymuszenia okupu, morderstwa ze szczególnym udręczeniem ofiary, morderstwa powiązanego z procederem przestępczym i handlem narkotykami czy też morderstwa związanego z narkotykami i zabójstwem federalnego, stanowego czy też miejscowego przedstawiciela prawa, morderstwa związanego z wykorzystywaniem seksualnym nieletnich oraz morderstwem mającym na celu uniemożliwienie złożenia zeznań świadkowi, ofierze czy informatorowi. Duża ilość zarzutów miała na celu wskazanie sędziemu, że trzeba mnie za coś posadzić i zwiększyć odsiadkę do czterocyfrowej liczby. Ale nawet przy tych oskarżeniach federalni niechętnie rozważali możliwość postawienia mi innych zarzutów czy wydanie stanowi na pożarcie.]

Z drugiej strony, sądenie mnie za morderstwo na Marych było pod każdym innym względem złym posunięciem, ponieważ ja naprawdę ich nie zabiłem. Wszelkie dowody na to przedstawione przez prokuraturę będą albo sfabrykowane, albo źle dobrane i nie będzie można dopuścić ich „alternatywnej interpretacji” - ta cała Cycatka po piekle, jakie przeszła w tym domu, rozwalila łeb Starszej Mary i uciekla z kwotą dwustu tysięcy dolarów, która to, jak podsłuchała jedna z Ukrainek, znajdowała się w domu.

À propos, muszę coś powiedzieć:

Cycatko, jeśli stało się tak, jak myślę, nie mam do ciebie żalu. Nawet jak byłaś gdzieś tam przez cały czas mojego procesu, czytałaś o nim w „New York Post” i zaśmiewałaś się do rozpuku, że mogłaś mnie ocalić, ale nie miałaś najmniejszego zamiaru - w co wątpię - twoje postępowanie było całkowicie zrozumiałe.

Chociaż nie mogę przysiąc, że odbierałbym to tak samo, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

Mój „zespół obrońców” został zebrany przez firmę Moradaya Childe’a. W jego skład wchodził przede wszystkim Ed Louvak - Trójstanowy Johnnie Cochran - i Donovan Robinson - jedyny członek twego zespołu obrońców, który będzie odbierał telefony od ciebie, mimo że wszyscy inni wykasowaliby cię na jakieś czterysta pięćdziesiąt dolców za godzinę, w zaokrągleniu, za to, że muszą odsłuchiwać sekretarkę automatyczną.

Donovan, który teraz jest specjalnym radcą biura burmistrza San Francisco - Sie masz, Donovan! - jest o pięć lat ode mnie starszy, czyli wtedy miał jakieś dwadzieścia osiem lat. Ostry był, ale wyglądał na głupa - Sorka, Donovan! Wiem, jak to jest! - czyli właśnie taki, jaki powinien być obrońca. Robił, co mógł, żeby mi pomóc, i chyba wierzył, że jestem niewinny. Przynajmniej w tej sprawie.

Na przykład Donovan jako pierwszy zauważył, że to dziwne, iż oskarżono mnie o morderstwo z udziałem tortur, ponieważ nie było na to żadnych dowodów, natomiast istniały bezpośrednie zeznania kilku ukraińskich dziewcząt, że Starsza Mary, jeśli nawet nie bezpośrednio, to uczestniczyła, a przynajmniej pomagała w kilku strasznych sesjach. Nie był to więc wątek, który chciałby kontynuować prokurator.

Pewnego dnia Donovan przyszedł do mnie do więzienia - dziwne, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek odwiedził mnie Ed Louvak - i powiedział:

- Mają coś na ciebie. Co to jest?
- Co masz na myśli? - zapytałem.
- Mają jakiś dowód, o którym nas nie poinformowali.
- Czy to nie jest sprzeczne z prawem?
- Teoretycznie tak. Zgodnie z zasadami muszą nam pokazać wszystko, co mają, w „stosownym momencie”. Ale jeśli jest to coś smacznego, sędzia dołączy to do materiałów dowodowych nawet w ostatniej chwili. Możemy na tej podstawie próbować unieważnić postępowanie, ale jak znam życie, to się nam nie uda. Więc jeśli masz jakieś pojęcie, o co może chodzić, zastanów się, czy nie byłoby lepiej mi o tym powiedzieć.
- Nie mam bladego pojęcia - odparłem. I była to prawda.

Tak w ogóle to David Locano za wszystko płacił, chociaż nie bezpośrednio. Nie chciał, żeby były między nami jakiegokolwiek oficjalne powiązania, a pewnie chciał też mieć możliwość odcięcia się ode mnie, gdyby coś zagroziło jemu lub Napletowi.

Ale w tym stadium nic nie wskazywało na to, żeby tak miało się stać. Wszyscy wiedzieliśmy, że federalni wstrzymają się z postawieniem Locano w stan oskarżenia, zanim nie udowodnią, że rzeczywiście kogoś zamordowałem. A Naplet nawet nie był podejrzanym.

Locano starał się, jak mógł, żeby Naplet był czysty. Zakazał mu rozpowiadać o swoim udziale w zabójstwie aż do chwili, kiedy będzie już luz. A on sam ani razu nie wspominał o jakichkolwiek powiązaniach Napleta z zabójstwem Karcherów poza łaźnią parową przy Dziesiątej Ulicy.

Niestety, był nieco bardziej gadatliwy, jeśli chodziło o mnie. Fedryle mieli jakieś osiem godzin nagrań rozmów telefonicznych, w których określał mnie mianem „Polaczka”. Jak w zdaniu: „Nie martw się braćmi K. Głupi Polaczek odwiedzi ich w przyszłym tygodniu”. Ale to przynajmniej dawało Locano mocny bodziec, by mnie wyciągnąć z tej matni.

Federalni poinformowali nas o taśmach na samym początku, żeby zachęcić mnie do wydania Locano. Powiedzieli nam też, że mają jakiegoś już osadzonego mafiosa, który jest gotów zeznać, iż tak w ogóle jestem zabójcą, o którym wiadomo, że pracuje dla Locano.

Ale jeśli Donovan miał rację, federalni trzymali w rękawie Tajemniczy Dowód do ostatniej chwili.

Tymczasem gnilem w pudle.

Wendy Kaminer, geniusz w spódnicy, twierdzi, że jeśli konserwatysta jest liberałem, na którego napadnięto, to liberał jest konserwatystą, który został aresztowany. Można by pomyśleć, że nie można tej tezy rozpatrywać na przykładzie zabójcy na usługach mafii i że chuj ze mną, ale pozwólcie, że naświetlę wam kilka rzeczy.

Po pierwsze, kiedy jest się oskarżonym - uwaga, oskarżonym - o zbrodnię, nie można wyjść za kaucją. Ja przebywałem w Federal Metropolitan Correctional Center dla Northeast Region (FMCCNR) na wprost ratusza na Manhattanie przez osiem miesięcy, zanim w ogóle zaczął się mój proces.

Po drugie, jeśli nie jest się przerażającym, znanym cynglem, jak ja, to, co się dzieje z człowiekiem w areszcie śledczym, jest po prostu gorsze niż to, czego ja doświadczyłem. Na przykład nie musiałem spać obok aluminiowego klopa bez klapy, który miał przez cały czas idealny menisk wypukły moczu, gówna i rzygów, przelewający się niemal za każdym razem, kiedy ktoś z niego korzystał. Nigdy nie musiałem robić tego, co nazywają „wynoszeniem prania”, ani też znosić żadnej z tysiąca innych niezwykle wymyślnych szykan, jakie osadzeni wymyślają, by zademonstrować swoją siłę wobec siebie nawzajem i zwalczyć nudę. Nawet klawisze całowali mnie w dupę.

I pamiętajcie: to nie było więzienie. To był areszt. Miejsce, do którego kierują ludzi z domniemaniem niewinności. W Nowym Jorku wysłanie na Rikers Island (gdzie bym powędrował, gdyby moje zarzuty nie były federalne) oznaczało, że postępowanie trwa.

I możecie sobie pomyśleć, że tam nie traficie, bo jesteście biali, bo system działa na waszą korzyść, nigdy nie paliliście trawy, nie oszukiwaliście na podatkach ani też nie zostawiliście żadnej luki, dzięki której ktoś was może skrzywdzić - ale nie znaczy to, że jesteście bezpieczni. Człowiek popełnia błędy i wtedy na ogół wpada w Maszynę Wymiaru Sprawiedliwości.

A nawet w Nowym Jorku, bez względu na pochodzenie, płeć i rasę, prawdopodobieństwo aresztowania jest sto pięćdziesiąt razy większe niż tego, że ktoś was napadnie.

Do tego jeszcze - uwaga - więzienie jest chujowe.

Tak jak mówią, jest głośne. W schronisku dla psów jest głośno, bo hałas powyżej dziewięćdziesięciu pięciu decybeli jest dla zwierzaków bolesny, więc wszystkie psy zaczynają szczekać i harmider rośnie. W więzieniu jest tak samo. Zawsze znajdzie się jakiś świr, który się drze, zawsze słyhać te jebane radyjka, ale to tylko część prawdy.

Ludzie w więzieniu wciąż mówią. Czasami żeby kogoś przekręcić. W więzieniu nawet ci, którzy są tak głupi, że zastanawiasz się, czy potrafią samodzielnie oddychać, wstawiają gadkę na okrągło. Ponieważ są duże szanse, że znajdą kogoś głupszego od siebie: kogoś bardziej spiętego czy wkręconego w prochy czy też takich, których matki, będąc z nimi w ciąży, chlały wodę na całego.

Ale ludzie w więzieniu gadają również dla samego gadania. W takim chaosie informacja jest podstawową sprawą, bez względu na jakość.

Jednak prawdziwa wartość więziennej konwersacji polega na tym, że odciąga ludzi od g ł ó w k o w a n i a . Nie ma innego sposobu, by to wyjaśnić. Więźniowie będą rozmawiać z kimś z czwartej celi na prawo, zamiast zamknąć na dwie minuty pierdolone mordy. Jakby nie wystarczał hałas, jaki robi koleś obok dźgający nożem bądź gwałcący kogoś czy też ten, który ostrzy starą igłę od strzykawki o ścianę. Ludzie zagrożeni ś m i e r c i ą są niezwykle gadatliwi.

Mają nadzieję, że skołowany bezsensownością tego miejsca rozmówca chlapnie coś, czego nie powinien, a co będzie można potem sprzedać klawiszowi. Ludzie w więzieniu przez cały czas

gadają, jak to nienawidzą k a p u s i ó w, jak to ludzie nie powinni k a p o w a ć i że przepraszają nas na chwilę, bo muszą iść i sprzedać kość komuś, kto z a k a p o w a ł. K a p u ś to ich ulubione słowo\*. [Angielskie *snitch* brzmi jeszcze lepiej w zestawieniu z *bitch* (suka), które jest ich drugim ulubionym słowem.] Ale w s z y s c y ci okurwieńcy, bez względu na to, ile razy by powtarzali, jak nienawidzą kapowania, większość czasu węższą, by móc kogoś podpierdolić. Żeby zmniejszyć wyrok, podlizać się komuś czy zabić nudę.

Kolejnym ulubionym tematem w więzieniu jest to, gdzie kogo przypiszą.

Jako że byłem facetem z mafii i kilerem, było jasne, że zostałem wysłany do jednego z dwóch zakładów, które mają Poziom 5, najwyższy poziom bezpieczeństwa w systemie federalnym. Pozostawała tylko kwestia - Leavenworth czy Marion.

Co ciekawe, to że choć Leavenworth i Marion były jedynymi w kraju więzieniami o Poziomie 5, czyli dwoma najgorszymi, to różniły się od siebie diametralnie. W Leavenworth drzwi cel były otwarte szesnaście godzin na dobę, podczas których więźniowie mogli się ze sobą „mieszać”. Faktycznie mieszały się szczególnie intensywnie od czerwca do września, bo wtedy strażnicy wyłączyli światła na górnych piętrach. Musiało tak być - w Leavenworth robiło się tak gorąco, że więźniowie niszczyliby żarówki, żeby wyeliminować ciepło, jakim emanowały.

Tymczasem w Marion zasady były zupełnie odmienne. Osadzonego poddawano segadminowi, czyli segregacji administracyjnej, co wiązało się z pobytem w malutkiej, białej, pojedynczej celi z fluorescencyjną, nigdy niewyłączaną żarówką, która jest tam jedyną rzeczą, na jaką można patrzeć. Więzień spędza w tym pomieszczeniu dwadzieścia trzy godziny na dobę, a pozostałą godzinę poświęca na prysznic, wychodzi samotnie na czterometrowy spaceriak albo zdejmuje i nakłada kajdany na nogi i ręce - łańcuchy trzeba nosić za każdym razem, kiedy się z celi wychodzi. W celi człowiek zaczyna mieć wrażenie, jakby unosił się we fluorescencyjnej, białej nicości i że nie ma niczego poza tym.

Jeśli Leavenworth to ogień, to Marion jest lodem. To piekło Hobbesa kontra piekło Benthama. Kutafony, z którymi siedziałem, mówiły, że Leavenworth jest lepsze, bo w Marion się wariuje. Mówiły też, że w Leavenworth byłoby mi szczególnie dobrze, bo jako człowiek mafii miałbym s z a c u n . Przynajmniej dopóki byłbym wciąż na tyle młody i sprawny, żeby się bronić.

A propos „szacunek” to trzecie najczęściej powtarzane słowo w więzieniu. Tak jak w zdaniu, które naprawdę powiedział do mnie klawisz. „Chcesz robić dym, brachu? Nie możesz mówić do tej cipy Carlos - to brak szacunku!!! Musisz do niego mówić Rosita, brachu. No bo nie szanujesz ludzi, którzy są f a c e t a m i na bloku!”

Z tego, co mówili, wołałbym już Marion. Ale nie przejmowałem się tym zbyt, ponieważ nie do mnie należał wybór, gdzie spędzę resztę życia - w Leavenworth czy w Marion. Co



dziwniejsze, nikt nie podejmuje takiej decyzji. Jest ona podejmowana losowo, w zależności od wolnych miejsc\*.

A poza tym miałem zamiar wymigać się od jednego i drugiego. Kapując czy też robiąc, co będzie trzeba. [Kiedyś mafioso z Brooklynu powiedział mi, że mogło mu się trafić Leavenworth na zasadzie „czyszczenia łóżka”, czyli po sprzątnięciu kogoś. Ale myślę, że podpierdała.]

Byłem gotów powiedzieć fedrylom wszystko, co wiem, o mafii w ogóle i o Davidzie Locano w szczególności. To prawda, kiedyś kochałem Napleta jak brata. Jego rodzice byli mi bliżsi niż moi. Jest również prawdą, że tak bardzo kochałem Magdalenę, że sprzedałbym rodzinę Locano i wszystkich, o których cokolwiek bym wiedział, w jednej sekundzie, za jedną godzinę z nią, bez względu na miejsce.

Nie wiedziałem tylko, jak długo z tym czekać. Gdyby się okazało, że mnie wypuszczą, szaleństwem byłoby zadzieranie z mafią bez potrzeby. Ale jeśli będę czekał zbyt długo, jeśli mnie skazają, to dużo trudniej będzie liczyć na złagodzenie wyroku.

Kolesie Locano nie byli tak głupi, by bezpośrednio grozić Magdalenie czy też mnie, bo wiedzieli, że jeśli to zrobią, to zaczęną myśleć, jak im dopierdolić, i nic mnie nie powstrzyma. Ale nie musieli wiele mówić. Byłem w klatce, a oni byli na wolności, tam gdzie ona. Ci, którzy przychodzili na widzenia, cały czas wymieniali jej imię: „To dęta sprawa. Syfioza. Za chwilę wrócisz

do swej niuni. Jak jej było? Magdalena. Ładne imię. W pytę panna. Niedługo się z nią spotkasz. Podesłemy jej coś od ciebie”.

Magdalena natomiast odwiedzała mnie cztery razy w tygodniu.

Zasady odwiedzin w areszcie są luźniejsze niż w więzieniu - ponieważ człowiek - ej, jest niewinny! - i najwyraźniej jeszcze luźniejsze u federalnych niż u stanowych. Nie można się dotykać, ale można siedzieć po dwóch stronach metalowego stołu, na którym nie ma przepierzenia, pod warunkiem że aresztowany trzyma dłonie na widoku. Odwiedzający może trzymać dłonie, gdzie mu się podoba, i robić z nimi, co chce, tak że po kilku tygodniach nawet nie zauważa się strażników. I kiedy jest się dostatecznie szybkim, można wstać w tej samej chwili, można ją pocałować albo ona może ci włożyć palce w usta, zanim odciągną ciebie, ją wyrzucą, a ciebie po widzeniu zbada dentysta, czy ukochana nie włożyła ci czegoś do ust. Groźba, że zakazą jej wizyt, to gówno prawda. A klawisze, biedne gnoje, kłamią dla ciebie jak z nut.

Zakochiwałem się w Magdalenie coraz mocniej z każdą wizytą i z każdym jej dziwnym listem utrzymanym w oficjalnym tonie. „W kwartecie wszyscy mówią, że gram nierówno. Tak, ale to dlatego, że myślę o Tobie. Ale dzięki temu gram lepiej, a nie gorzej, bo jest żywiej i nie sądzę, żebym szkodziła tym kolegom. Najlepiej gram z serca, a moim sercem jesteś Ty. Kocham Cię”.

Nawet jeśli wydaje się wam, że to jeden z tych więziennych romansów, kiedy to tłuste baby piszą do znanych żonobójców,

mam to gdzieś. Ratowało mi to życie i zdrowie psychiczne. Jej wizyty zacierają świadomość beznadziei tego spracza, w którym utkwilem.

Magdalena rozmawiała z Donovanem częściej niż ja. Później zasugerował nam dwojgu z osobna, że moglibyśmy się pobrać, gdyby chcieli ją wezwać na świadka\*. Magdalena powiedziała mi, że oczywiście za mnie wyjdzie. Że zrobi wszystko, co będzie trzeba. [I tak mogłaby zostać zmuszona do złożenia zeznań dotyczących przestępstw popełnionych przeze mnie przed zawarciem ślubu, ale sędziom przysięgłym wciąż się wydaje, że jest to sprzeczne z prawem, więc prokuratura nie lubi tego robić.]

Odparłem jej, że nie chcę, żeby to się tak odbyło, ponieważ chcę się z nią ożenić naprawdę. Odpowiedziała: „Nie bądź głupi”. Pobraliśmy się naprawdę trzeciego października.

Zostawię to wam pod rozwagę. Przypominałoby to próbę opisaną powierzchni słońca.

Nikt jednak nie wierzył, że powołają Magdaleny na świadka. Ot, tak skruszyłyby serca przysięgłych.

Przynosiła mi książki, które trudno mi było czytać z powodu hałasu. Wtedy przyniosła mi zatyczki do uszu.

I nic mi nie mówiąc, zaczęła się starać, by przyjęto ją na strażniczkę więzienną w więzieniu federalnym, żeby mieć choćby nikłą szansę bycia blisko mnie, gdyby sprawy potoczyły się źle.

Na początku lata 2000 roku zostałem zabrany z celi i sprowadzony do biura FMCCNR, w którym nigdy wcześniej nie byłem.

Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ co kilka tygodni odbywała się „wstępna rozmowa” czy też „przesłuchanie przedprocesowe”, czy jak to tam zwał, żeby zweryfikować, czy jestem tym, za kogo się podaję, czy też tym, o którego chodzi federalnym, i że w ogóle doszło do jakiegoś przestępstwa. Ale tym razem strażnik zostawił mnie w biurze i wyszedł. Było to bardzo dziwne uczucie, mimo że miałem skute nadgarstki i kostki.

Od razu zacząłem poszukiwania telefonu, żeby zadzwonić do Magdaleny. Nie było tu aparatu. Drewniany stół, podobnie jak półki na książki, był pusty. Drewniane krzesło miało odchylone oparcie starego typu. Za oknem ciągnął się parapet i jeśli chciałbym uciec, był to najodpowiedniejszy moment. Rozważyłem taką możliwość minutę czy dwie i kiedy drzwi się otworzyły, a do środka wszedł Sam Freed, wciąż wyglądałem przez okno.

Miał wtedy grubo ponad sześćdziesiątkę i od razu można było go polubić w tym wygniecionym, szarym garniturze. Kiedy zacząłem okrążyć stół, uniósł tylko dłoń i powiedział:

- Siadaj.

Usiadłem więc na krześle, a on przysunął sobie jedno z tych, które stały przy ścianie.

- Nazywam się Sam Freed - przedstawił się.

Nigdy o nim nie słyszałem.

- Pietro Brnwa. - Było w nim coś takiego, że w jego towarzystwie człowiek nawet w kajdanach i pomarańczowym ubranku czuł się jak istota ludzka.

- Pracuję dla Departamentu Sprawiedliwości - kontynuował. - Chociaż jestem już jedną nogą na emeryturze.

Tak właśnie powiedział. Nie stwierdził na przykład: „Jestem twórcą WITSEC”, chociaż byłyby to prawda. Nie mówił: „Złamałem kark mafii, dając podejrzanym immunitet, co zredukowało poziom recydywy do niespotykanych dotąd rozmiarów”.

Oczywiście nie powiedział również, że był jednym z najbardziej nienawidzonych ludzi w aparacie prawa. Naturalnie zadał mafii śmiertelny cios, ale kosztem tego, że grupa łajdaków dostała szansę na nowe życie, co większość gliniarzy i federalnych uważała za występki nie do wybaczenia.

Był też Żydem. Któż inny walczyłby tak zażarcie o sprawiedliwość w sposób, który uczynił z niego pariasa? Jego ojciec pracował na targu rybnym Fulton, opłacając się czterdziestoma procentami zysków Albertowi Anastasii.

Jak mówiłem jednak, wtedy jeszcze nie słyszałem o Samie Freedzie.

- Taa? - wystękałem.

- Słyszałem o tobie od Baboo Marmoseta\*. [„Baboo”, które to przezwisko jest bardzo popularne wśród najmłodszych chłopców z rodziny indiańskiej, nie jest imieniem profesora Marmoseta. Na imię ma Arjun.]

- Nie wiem kto to taki - odparłem.

- Indianin. Lekarz. Długie włosy. Robił ci kilka miesięcy temu badania.

- A, jasne. - Teraz go sobie przypomniałem, chociaż jedynie ktoś z pokolenia Freeda mógł powiedzieć, że facet miał długie włosy. Marmoset rozmawiał przez telefon i wypełniał moją kartę, jednocześnie mnie badając.

W końcu powiedział. „Zdrów jak byk”. Byłem więcej niż pewien, że stanowiło to kres naszej znajomości.

- Jestem zdziwiony, że mnie pamięta - powiedziałem. - Wydawał się nieco rozkojarzony.

Freed zaśmiał się.

- Zawsze taki jest. Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego byłby zdolny, gdyby się na czymś skupił. Opowiem ci coś o nim.

Freed położył nogi na stole.

- Razem z żoną lubimy chodzić na kolację do restauracji, gdzie dają też przedstawienia - zaczął. - Na spektakle w chińskich restauracjach, gdzie aktorzy odgrywają zbrodnie, a klienci mają znaleźć rozwiązanie kryminalnej zagadki. To kretynstwo, ale my możemy coś przekąsić, aktorzy mają na chleb i tak to wygląda.

Czasami zabieraliśmy Baboo. Wydaje się, że na nic nie zwraca uwagi. Zwykle przychodzi z jakąś panną. Cały wieczór wtula się w jej cycuszki albo sprawdza pocztę głosową. Jednak pod koniec wieczoru, kiedy trzeba odgadnąć, kto popełnił zbrodnię, nigdy się nie myli.

- Bez jaj - zdziwiłem się.

- Żadnych jaj - odparł Freed. - Jest doskonały w ocenianiu ludzkich charakterów. Nie znam lepszego, a paru znałem.

Nie powiedział: Jak Jacka i Bobby'ego Kennedych, a mógł.

- Baboo nazwał cię ciekawą i możliwą do uratowania jednostką. - Przez co, jak mniemam, miał na myśli nie tylko to, że należy ci się druga szansa, ale również to, że masz wystarczająco dużo informacji, by je na nią wymienić.

Pokręciłem głową. Już wiedziałem, że Freed jest osobą, której

nie chciałem zawieść, ale też nie chciałem go okłamywać.

- Zamieniłem dwa słowa z tym facetem. I nie będę zeznawał - powiedziałem.

- Dobra. Ja poczekam. Ale też nie za długo. Przemyśl to sobie. Szansa nie będzie na ciebie czekać w nieskończoność.

- Nie potrzebuję ochrony, chyba że będę do tego zmuszony. Nie jestem jeszcze gotów.

- Nie jestem taki pewien - odparł Freed. - Nie myślisz poważnie o ochronie. Nie chcesz się stać kimś innym. Chodzi o to, byś stał się tym, kim chciałeś być od dawna.

- To dla mnie trochę zbyt wydumane - stwierdziłem.

- Nie wierzę - powiedział. - Pomyśl, czego chciałby twój dziadek.

- Mój dziadek?

- Przepraszam, że wchodzę na prywatny grunt. Ale myślę, że wiem, co by myślał o tobie i o tym, gdzie się znajdujesz, i sądzę, że ty też to wiesz.

- Zawsze pan to robi potencjalnym świadkom? - zapytałem.

- Wręcz przeciwnie - odparł. - Ale Baboo Marmoset myśli, że zniesiesz to po męsku.

- Ależ on mnie w ogóle nie zna! Freed wzruszył ramionami.

- Ten człowiek ma dar. Zna cię pewnie lepiej niż ty sam.

- Nie jest to znów takie trudne - uznałem.

- Nie, nie jest, twardzielu - odparł Freed. Zdjął nogi z blatu i wstał. - Ale sądzę, że wiesz, ile są warte te typy. Kilku knypków całuje cię w dupę, bo im płacisz i się ciebie boją, ale przez to nie

masz nic więcej. To dotyczy również twojej dziewczyny.

W przedziwny sposób, kiedy Sam Freed to powiedział, nie byłem zaniepokojony. Ale rozum podpowiadał mi coś innego.

- Wkręca mnie pan - stwierdziłem.

- Trafiła kosa na kamień - powiedział. Otworzył drzwi, ale odwrócił się przed wyjściem. - A wiesz, że gdybym cię rzeczywiście wkręcał, spytałbym: Dlaczego mafia chciała śmierci Karcherów?

- Nic nie wiem na ten temat.

Zignorował to.

- Widziałeś, w jakim żyli odosobnieniu. Kogo mogli wsypać? Myślisz, że znali tych, co stali dużo wyżej?

Tylko na niego popatrzyłem.

- Nie znali. Znali tych, którzy byli pod nimi. Dlatego mafia chciała ich wykończyć. Żeby interes kręcił się dalej, tylko z innym podwykonawcą.

Później się z tobą skontaktuję. Ale gdybym cię wkręcał, to chciałbym, żebyś się nad tym zastanowił, no nad tym, co dziadek by na to powiedział.

Freed oczywiście miał rację co do Karcherów. Setki razy dochodziłem do takich samych wniosków.

Ale tej nocy spałem bez zatyczek, żeby się nad tym dokładnie zastanowić.



O samym procesie wiecie wszystko, wy, dzieci kanału Fox News. Ale nie macie pojęcia, jak cholernie był nudny, nawet dla mnie. Fedryle przeprowadzali akcję „Operacja Matrioszka” przez kilka miesięcy, odkrywając po kolei karty, zanim wstałem i wszystko im spierdoliłem, bo pojawiły się setki dokumentów finansowych, o których każdy, kto był w stanie dostać pracę w sektorze prywatnym, wiedział, że nie należy ich pokazywać ławie przysięgłych. I nie miało to nic wspólnego z włoską mafią. Albo też, jak to mówią w FBI, LCN.

Skrót LCN oznacza *la cosa nostra* - nasza sprawa albo sprawa nas wszystkich. Nigdy nie słyszałem, żeby w mafii ktokolwiek używał terminu *la cosa nostra*, a już na pewno nie LCN. Prawda? Byłoby to tak, jakby francuscy kryminaliści mówili o sobie LJNSQ – *le je ne sais quoi*\*.[Zdaje się, że od agentów FBI wciąż się wymaga, by mówili LCN, bo kiedy J. Edgar Hoover wyjaśniał przed komisją McClellana, dlaczego od tak dawna zaprzeczał, że istnieje coś takiego jak mafia - pomimo na przykład nagrań na taśmach samego Hoovera, na których Sam Giancana przez telefon wydaje polecenia amerykańskim senatorom - starał się przedstawić wszystko jako semantyczne nieporozumienie. Jak wszyscy inni używał błędnego terminu.]

Tak czy inaczej, proces włókł się niemiłosiernie. I nagle, dzień po rozpoczęciu postępowania - tuż po tym jak odtworzono mój telefon pod 997 ze stacji benzynowej, o którym ekspert od ludzkiej mowy powiedział, że ma „jakieś osiemdziesiąt pięć procent pewności”, że to ja dzwoniłem - prokuratura przedstawiła Tajemniczy Dowód i cała sprawa nabrała tempa.

Tajemniczy Dowód okazał się oskórowaną, odciętą dłonią, o której prokuratura mówiła, że może dowieść, iż należała do Czaczi.

Dłoń była obrzydliwa. Trzeba przyznać, że wyglądała tak delikatnie i krucho, iż mogła należeć wyłącznie do kobiety, choć zarazem była za duża, by można ją przypisać do nastoletniej Ukrainki. Wystarczyło jednak, że federalni zeznali, iż znaleźli ją poza ogrodzeniem, tuż obok miejsca, w którym zaparkowano samochód, co miało być dowodem, że to ja tam parkowałem i stamtąd odjechałem. Do tego ślady noża na Dłoni świadczyły o tym, że została odarta ze skóry, a nie na przykład ogryziona przez, dajmy na to, łasicę\*. [À propos, angielski termin medyczny na całkowite okężne oddzielenie skóry, celowe czy przypadkowe, brzmi *degloving* (dosłownie: zdjęcie rękawiczki), ale można oskórować każdą część ciała. Na przykład na Erce ulubionym członkiem są kutasy wkładane do rury odkurzacza.] Była to potworna rzecz. Szczególnie kiedy fedryle wyświetlili powiększenie na oczach przysięgłych.

Oczywiście Ed Louvak zgłosił protest, ale Donovan mógł mieć rację - chociaż taka procedura stała w sprzeczności z precedensem w sprawie Brady kontra stan Maryland i prokuratura ukryła dowód, to sędzia i tak dołączył go do materiału dowodowego, z uwagi na jego makabryczny charakter oraz dlatego, że prasa i tak by to wyciągnęła. Poza tym, jak sądzę, dlatego że był to jedyne solidny dowód mogący doprowadzić do wyroku skazującego.

Musicie zrozumieć, że - z zachowaniem wszelkich proporcji - czerwiec 2000 był wspaniałym okresem dla rozpraw o morderstwo.

Pięć lat wcześniej proces O.J. Simpsona umniejszył znaczenie dowodów poszlakowych, które do tego momentu stanowiły podstawę niemal wszystkich procesów zakończonych wyrokiem skazującym w historii sądownictwa. Dowody poszlakowe to wszystko poza dowodami rzeczowymi i zeznaniami bezpośredniego świadka wydarzeń. Kiedy ktoś kupuje sobie kuszę i mówi wszystkim w barze, że idzie kogoś zastrzelić, po czym wychodzi i wraca bez belta - to jest właśnie dowód poszlakowy. W procesie O.J. Simpsona nawet dowody rzeczowe wyglądały podejrzanie, ponieważ wszelkie luki w „łańcuchu dowodowym” mogą być zinterpretowane tak, że policja coś przy tym majstrowała.

Zeznania naocznego świadka w tym właśnie okresie znajdowały się pod ostrzałem krytyki jako niewiarygodne. Bo takie są. Chociaż w moim procesie niewiele ich było - zeznawał tylko Mike, dostawca, o tym, co mógł lub czego nie mógł zobaczyć we wstecznym lusterku.

Tymczasem federalni nie mieli żadnych innych dowodów rzeczowych poza Dłonią. Na Farmie było pełno błota, ale żadne ślady stóp nie były tak duże jak moje\*. [A było tak dlatego, że wyciąłem podeszwy z butów mniejszych o trzy numery i przykleiłem je do moich, dlatego też w świetle stosunku rozmiaru śladów i głębokości odcisków federalni musieli stwierdzić, że zostawił je facet o wzroście metra sześćdziesięciu, ważący sto pięćdziesiąt kilo. Nie pochlebiam sobie, że oszukałem detektywów, ale niech spróbują to wyjaśnić jakiemuś przysięgłemu.]

Dlatego też bronili tej Dłoni jak własnego życia i nie spuszczały z niej oka, odkąd ją znaleźli. Głupie to. No bo niby kto miał to robić? Tak siedzieć z bronią przy lodówce? Ale musieli.

Federalni nawet nie sprawdzili DNA Dłoni - nie mogli, bo nie mieli próbki DNA Cycatki, żeby porównać. Badanie DNA podczas procesu OJ. zyskało niechlubną sławę spisku kutasów, którzy coś zachachmęcili, myśląc, że przysięgli to durnie. Natomiast obrona mogła przebadać DNA Dłoni, jeśli chciała - i stanąć oko w oko z dyplomowanymi mądralińskimi, w wyniku czego przysięgli i tak zignorowaliby wyniki - ale prokuratura nie miała takiego zamiaru.

Wszystko to wywołało u mnie kurewski zamęt w bani.

No bo, proszę bardzo. Dłoń. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy Cycatka miała długie paznokcie. Ale była to czyjaś dłoń. Skoro nie odcięli jej Karcherowie, to ktoś to jednak zrobił, co skłoniło mnie do podejrzeń, że ktoś chce mnie upierdolić.

Ale kto? I dlaczego?

Prokuratura cały czas odwoływała się do Dłoni, bez względu na to, jaki kit wciskano w tym temacie. Tak jak w przypadku taśm z podsłuchów, które miały takie zakłócenia, że musiano się podpierać zapisami, przez co połowa obecnych na sali sądowej - i dwie trzecie przysięgłych - zasypiała. Aż w końcu prokurator stwierdził:

- Proszę pamiętać, że mówią o tak brutalnym kryminaliście, który potrafił zrobić to kobiecie. - I ponownie wyświetlał zdjęcie Dłoni, żeby wszystkich obudzić.

Zaczął się robić ciekawie, kiedy prokuratura pokazała zdjęcia Farmy, łącznie z piwnicą, a potem wezwała Mike'a Dostawcę, by opowiedział, jak wiózł nas na miejsce zbrodni. Mike był nad wyraz poważny i zdołał rozbawić wszystkich, kiedy stwierdził:

- Tyle widziałem, że równie dobrze to yeti mógłby siedzieć z tyłu na pace.

Prokurator również zaczął się spinać, zapowiadając wezwanie skruszonego bandziora, co mogło być bardzo interesujące.

Ale, jak wiecie, zanim to zrobili, proces się zakończył.

Pewnego wieczoru Sam Freed odwiedził mnie w celi. O północy. Nie rozmawiał ze mną, dopóki klawisz nie zaprowadził nas do tego samego biura, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Słuchaj, mały - powiedział mi od razu. - Coś się wydarzy. Nie powiem ci co, bo chcę, żebyś się skoncentrował na tym, co mam ci do powiedzenia. A kiedy się dowiesz, nie będziesz w stanie skupić się na niczym.

- Niech mi pan nie pierdoli - odparłem.

- Będę ci pierdolił i łykniesz to bez popity. Więc słuchaj. Złożyłem ci propozycję, być może najlepszą w twoim życiu. Mogłeś zostać jebanym lekarzem, jak twój dziadek. Mogłeś być, kim chciałeś. Chcesz zostać członkiem country klubu? Mogę cię zrobić WASP-em. Słyszysz, co mówię?

- Nigdy nie chciałem być WASP-em.

- Słuchasz mnie?

- Tak.

- Zrobię wszystko, by ponowić propozycję, kiedy sprawa ucichnie - powiedział. - Ale przez jakiś czas będzie szum i zamieszanie. Pamiętaj tylko, że ludzie w końcu mądrzeją. Dla Departamentu

Sprawiedliwości twoje zeznania przeciwko Davidowi Locano zawsze będą sporo warte. Rozumiesz?

- Nie jestem pewien. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
- Dowiesz się jutro rano, uwierz mi. Więc pomyśl sobie przez noc o tym, co ci powiedziałem - o tym, że możesz dobić ze mną targu. Za twoim pozwoleniem zadzwonię do twojej dziewczyny i dam jej mój numer. Mogę?
- No... tak, ale...
- Zrozumiesz wszystko jutro rano - powtórzył. - I kiedy to już stanie się faktem, na miłość boską, pomyśl trochę.

O ósmej następnego dnia sędzia oddalił wszystkie stanowe i federalne zarzuty na podstawie tego, że w świetle precedensu sprawy Brady kontra stan Maryland dowód w postaci Dłoni powinien jednak zostać odrzucony. Sześć godzin później wypuścili mnie z aresztu. Przyszedł Donovan i zabrał na lunch, żeby opowiedzieć mi, co się stało.

Mój zespół obrońców zarządził przebadanie Dłoni pod kątem DNA. Pomyśleli, że publika nie będzie już tak durna jak w sprawie O.J. i takie badanie nie zaszkodzi. Kiedy nadeszły wyniki, zlecili jeszcze badanie radiologiczne. Następnie zwrócili się do ekspertów od anatomii i zoologii.

Dłoń wcale nie była dłonią. Tylko łapa. Niedźwiedzia. Samca. I tak po prostu wszystko się skończyło.

Tego popołudnia prokuratura starała się utajnić proces. Nie miało to sensu. Nagłówki gazet już krzyczały:

UNIKNAŁ SZPONÓW,  
NIEDŹWIEDZIOLEGALNE,  
PROKURATURA Z ŁAPANKI.

Skurwysyny nie miały szans.

To nie było fair. Wszyscy kłapali o tym, jaka to wtopa i jak trzeba być głupim, żeby pomylić niedźwiedzią łapę z ludzką dłonią. Ale ja byłem na sali sądowej, podobnie jak wielu innych. I nikt z nas w ogóle tego nie kwestionował. Przynajmniej na zdjęciach trudno było to rozpoznać.

Nawet będąc już na studiach medycznych, byłem pod wrażeniem podobieństw niedźwiedzia po oskórowaniu - szczególnie po usunięciu pazurów - i człowieka. Niedźwiedzie to jedyne zwierzęta nienależące do naczelnych, które potrafią chodzić na tylnych łapach. Po zdjęciu skóry są tak podobne do ludzi, że plemiona Inuit, Tlingit i Ojibwa uważają, że niedźwiedzie po oskórowaniu mogą stać się ludźmi. Poza tym Indianie z tych plemion znają anatomię niedźwiedzia o wiele lepiej niż zapija-czony fedryl. Już nie mówiąc o dziennikarzach „New York Posta”.

Nieważne.

I tak, chłopcy i dziewczynki, otrzymałem przydomek Niedźwiedzi Pazur.

**S**toję przy odsłoniętym łóżku w sali pooperacyjnej przy łóżku Squillantego, obracając w dłoni puste fiołki po potasie. Powinienem obejść pacjentów, a potem wypierdalać ze szpitala. Albo też olać pacjentów i od razu przejść do fazy wy-pier-da-la-nia.

Nie powinienem natomiast tak stać, próbując dociec, kto wykończył Squillantego. No bo kogo to i jaka to różnica? Czy jeśli jakiś kiler wciąż czai się w szpitalu, to ktoś do niego zadzwoni i przekaże wiadomość: Poczekaj chwilę. Jak już tam jesteś, to może zechciałbyś jeszcze dać w czapę Niedźwiedziemu Pazurowi? Mało prawdopodobne. Miałem jakieś półtorej godziny.

Ale nikt wcześniej nie uziemił mi pacjenta i nie mogłem nad tym przejść do porządku dziennego. Wkurwiało mnie to jak nigdy.

Dałem sobie sto sekund do namysłu.

Pierwszym podejrzanym mógł być członek rodziny Squillantego. Ktoś, kto miał nadzieję, że Squillante zejdzie na stole operacyjnym, a później będzie sprawa o błąd w sztuce lekarskiej, ale



postanowił wziąć sprawy we własne ręce po tym, jak Squillante przeżył. A więc jakiś członek rodziny, który dostanie odszkodowanie\*.[Widzimy to codziennie - nie ludzi, którzy zabijają krewnych, ale tych, którzy są zawiedzeni, kiedy ich krewni przeżywają zabiegi. Zwykle przybiera to formę prośby o odłączenie aparatury podtrzymującej czynności życiowe, pomimo że operacja poszła świetnie, mamusia się przebudziła i tylko czeka na wypiszkę.]

Ale jest to również ktoś, kto wiedział, że trzeba wstrzyknąć dwie fiołki potasu. Mniejsza ilość pozwoliłaby Squillantemu przeżyć, ba, mogłaby mu pomóc. Większa dawka byłaby bez sensu, bo poszatkowałaby aortę, co od razu rzuciłoby się w oczy podczas autopsji.

Ale skoro ta osoba chciała ukryć fakt zamordowania faceta, to dlaczego podała potas tak szybko, że aż EKG się zagrzało? Nie spodoba się to firmie ubezpieczeniowej. Pieniądzy nie da się przejąć.

A może ten ktoś naprawdę chciał dobrze, ale nie miał czasu czy umiejętności, by zrobić to poprawnie.

No, ale w końcu kogo to, kurna, obchodzi? Dość tego rozmyślenia. Pójdę do pacjentów, którzy mogą kojfnąć, i zostawię resztę Akfalowi.

A potem ucieknę stąd.

Wiem: „Niezlomny. I pierdolić Pakistańca, co?” Ale może się do tego przyzwyczai, bo wątpliwe jest, żebym wrócił.

Jednakże w korytarzu przed salą pooperacyjną wpadam na Stacey. Wciąż ma na sobie kitel operacyjny i płacze. - Co się stało? - pytam.

- Pan LoBrutto zmarł - mówi.

- Och - wzdygam.

Zastanawiam się, jak to możliwe, że zna Friendly'ego i wciąż jest zdumiona, że mu pacjenci umierają. Po chwili przypominam sobie, że Stacey jest nowa w tej robocie. Obejmuję ją ramieniem.

- Trzymaj się, mała - pocieszam ją.

- Nie wiem, czy poradzę sobie w tej pracy - mówi.

Coś mi przychodzi do głowy. Mówię:

- Taa.

Później liczę do pięciu, słuchając jej szlochów. Odzywam się:

- Stacey, masz ze sobą próbki chlorku potasu?

Kiwa wolno głową, ale nie wie, o co mi chodzi.

- Tak... Zwykle nie mam, ale teraz trzymam dwie w torbie.

Dlaczego pytasz?

- A dlaczego teraz je masz, skoro zwykle ich nie zabierasz?

- Sama nie robię zamówień. Wysyłają mi wszystko kurierem, a ja przynoszę to do szpitala.

- Wysłali ci to kurierem do biura?

- Ja nie mam biura. Wysłali mi do mieszkania.

Jestem zdumiony.

- Pracujesz w d o m u ?

Kiwa głową.

- Tak jak moje współlokatorki.

- Czy wszystkie przedstawicielki pracują w domu?

- Chyba tak. W firmie pojawiają się dwa razy do roku, na przyjęcia z okazji Bożego Narodzenia i święta pracy.

Znów zaczyna szlochać.

Jezu, myślę sobie. Człowiek codziennie się czegoś uczy.

- Nie masz przypadkiem jeszcze trochę moxfane'u? - pytam.
- Nie - mówi przez łyż, potrząsając głową. - Skończył mi się.
- Idź do domu i walnij się do wyra, mała - mówię.

Ustawiam respirator u pacjenta, o którym nie wspominałem i już nie wspomnę, czas płynie jak krzepnąca jucha. Dostaję sygnał od Akfała. Oddzwaniam.

- Duposzczak ma żółtaczkę - mówi.

Coraz lepiej. Oznacza to, że jego wątroba tak źle funkcjonuje, że nie jest w stanie przetwarzać martwych krwinek. Z moim ramieniem już jest trochę lepiej. Ale on ma przejebane.

Powinienem to olać. Nie dlatego, że może poczekać, bo chyba nie może, ale dlatego, że nie wiem, co mógłbym dla niego zrobić, nawet gdybym miał na to czas. Wiem, że gdybym zadzwonił do WITSEC i powiedział:

- Muszę uciekać, ale mam pacjenta, u którego ból tyłka przerodził się w ciągu niecałych ośmiu godzin w niewydolność wątrobową z powodu nieznanego, rozprzestrzeniającego się patogenu - to powiedzieliby mi: - Zwiewaj. Przynajmniej kogoś uratujesz.

A może nie. WITSEC to nie jest stowarzyszenie miłych gości. Ich uniwersalnym określeniem świadka jest „gnida” - i pasuje do takich przestępców jak ja, ale nieco zgrzyta, kiedy mówią o młodej wdowie z dzieckiem, zeznającej przeciwko trzem

gangsterom, którzy weszli do niej do sklepu i na jej oczach zastrzelili męża.

I większość świadków ma dużo szczęścia, jeśli dano im pracę w Staples w stanie Iowa. Więc możecie sobie wyobrazić, jakie fedryle mieli podejście do mnie, skoro ich zdaniem pomykałem teraz na pole golfowe w złotym porsche, kupionym za pieniądze podatników, z rejestracją „JEBFBI”.

Ale ja zostałem umieszczony w dwuletnim programie na Bryn Mawr, za który sam zapłaciłem. Ale tylko dlatego, że Sam Freed wstawił się za mną. Jeśli znów mnie przeniosą, będę malował hydranty w Nebrasce. Nigdy nie będę już pracował jako lekarz.

Oczywiście mogłem uciekać bez formalnego przeniesienia. Uczestnictwo w WITSEC jest dobrowolne. Nawet jeśli człowiek zrobi coś, co im się nie spodoba, to wykopią go na zbity ryj i później „przypadkowo” wypnie się im coś na jego temat. Ale żeby zachować nazwisko i tym samym tytuł lekarza medycyny, będę musiał znaleźć sobie jakąś dziurę zabitą dechami na tyle daleko, żeby mafia nie była w stanie wysłać mi bomby pocztą. A nawet w takich miejscach mają niezwykle surowe przepisy dotyczące licencji. Lubią wiedzieć, kto ich leczy.

Dlatego jeśli opuszczę ten szpital i zostawię medycynę, to będzie to z całą pewnością na zawsze.

Sama idea mnie przeraża. Biegnę do sali Duposzczaka.

Kiedy mijam dyżurkę pielęgniarek, jamajska siostra woła za mną:

- Panie doktor!
- Słucham panią - mówię.

Irlandzka wiedźma śpi na klawiaturze komputera, śliniąc klawisze AS/ZX.

- Wciąż wydzwania jakaś pani i chce z panem mówić. Zostawiła numer - oznajmia Jamajka.

- Jak długo dzwoni?
- Od kilku godzin.

Więc to pewnie coś ważnego.

- Mogę dostać ten numer? - pytam.

Podsuwa mi go przez ladę, numer zapisany na recepcie.

- Dzięki - mówię. - Niech pani uważa, bo koleżankę prąd kopnie.

Przewraca oczyma, pokazując mi odłączony kabel od klawiatury.

- To przecież szpital - oświadcza.

Dzwonię. Jakiś kobiecy głos mówi:

- Halo?

W tle słyhać odgłosy z ulicy.

- Tu doktor Peter Brown.
- Jest pan lekarzem Paula Villanovy?
- Tak, proszę pani.
- Ugryzł go latający gryzoń.
- Jak to?

Słyszę odgłos, z jakim dzisiaj odkłada się słuchawkę.

Wchodzę do sali Duposzczaka.

- Jak się pan czuje? - pytam go.
- A jebaj się - rzuca.

Dotykam jego czoła. Wciąż jest rozpalony. Czuję się winny, bo ramię przestało mi doskwierać, a do palców wróciło czucie.

- Ugryzł pana kiedyś nietoperz? - pytam. Nietoperz nie jest gryzoniem - to rząd rękoskrzydłych Chiroptera. Ale czasami, by poprawnie wykonywać zawód lekarza, trzeba wcielić się w zwykłego człowieka.

Poza tym nauka nie zna przypadku pokąsania przez latającą wiewiórkę.

- Nie - odpowiada Duposzczak.

Czekam, aż rozwinie temat, ale milczy. Tylko zaciska powieki i się poci.

- Nigdy?

W końcu otwiera oczy.

- Co ty jesteś, debil jakiś? - warczy.
- Jest pan pewien?
- Taa, no to przecież bym pamiętał, co?
- Dlaczego? Nie pamięta pan nazwisk ostatnich czterech prezydentów.

To nim wstrząsnęło.

- Ani jaki jest dzień tygodnia.
- Czwartek - mówi.

Więc jednak mózgownica jeszcze działa. Moja natomiast ledwo funkcjonuje.

- Pan jest żonaty? - pytam.
- Nie. Noszę obrączkę, żeby modelki nie ocierały się o mnie w metrze.

- Gdzie jest pańska żona?
- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?
- Czy jest w szpitalu?
- Znaczy jako pacjentka?
- Widzę, że jest pan mistrzem ciętej riposty - mówię do niego.

Zamyka oczy i uśmiecha się mimo bólu.

- A kręci się tu gdzieś - rzuca.

Zasłaniam kotarę i sprawdzam, co u pana Mosbyego. Udało mu się rozpiąć pasy w nadgarstkach, ale te na kostkach zostawił w spokoju, pewnie z grzeczności. Śpi. Sprawdzam puls na kostkach i wychodzę.

Bazgrzę „Wykl. ugryzienie nietoperza przez żonę” w karcie Duposzczaka\* i kończę notatkę dwiema poziomymi liniami i jedną ukośną. Nawet się nie podpisuję. [„Wykl.” oznacza „wykluczone”, jak na przykład w zdaniu „Wykluczone, że dasz radę”.]

Bo teraz wpadam w dziwny stan czystości. Tak czy inaczej, „doktor Brown” przestaje istnieć, nie można będzie go pozwać czy nawet dopuścić do wyników z laboratorium. Może wyłącznie wykonywać proste medyczne czynności i to tylko wtedy, kiedy będzie to niezbędne.

A może tak mi się tylko wydaje. Sprawdzam tempo w dwóch kroplówkach z chemioterapią, a następnie przez pół minuty poprawiam opatrunek na brakującej czaszce dziewczyny.

Dziewczyna z Kolanem na łóżku obok jest blada jak ściana i

wpatruje się w sufit. Baniak na jej kolanie wypełniają krew i skrzepy.

Ma uniesione drugie kolano. Ściągam jej koszulę w dół, by zakryć cipę, z której wciąż wystaje niebieska nitka tamponu i którą może zobaczyć każdy, kto wchodzi do sali.

- A kogo to, cholera, obchodzi? - odzywa się. - Nikt już mnie i tak nie zechce.

- Gówno prawda - mówię. - Tysiące facetów będą się ustawiać w kolejce.

- Jasne. Frajerzy, którzy myślą, że się załapią na kadłubka. Oho. Bardzo sprytnie.

- Gdzieś tak się nauczyła pyskować? - pytam ją.

- Przepraszam - mówi z sarkazmem w głosie. - Żaden chłopak nie zabierze mnie na t a ń c e.

- Jasne, że zabierze - mówię. - Na podskoki na jednej nodze.

- Ty skurwielu! - krzyczy na mnie.

Wycieram jej łzy z policzków.

- Muszę iść.

- Pocałuj mnie, gnoju.

Całuję.

Wciąż całuję, gdy słyszę, że za moimi plecami ktoś chrząka. To dwóch sanitariuszy, którzy przyjechali z wózkiem, żeby ją zabrać na operację odcięcia nogi.

- Cholera, jakiego mam pietra - mówi, kiedy kładą ją na wózek.

Wciąż trzyma mnie spoconą dłonią.

- Nic ci nie będzie - pocieszam ją.

- Pewnie utną mi nie tę, co trzeba.

- To prawda. Ale kiedy będą cięli drugi raz, to trudniej będzie im coś spierdolić.



- Pierdol się.

Odjeżdżają.

Kiedy otrzymuję sygnał od lekarza z Erki, myślę sobie: Nie ma sprawy.

To po drodze do wyjścia.

Tuż przed Erką mijam chuja, który rano mnie napadł. Jeszcze go nie zbadano, ponieważ długie oczekiwanie ma zniechęcić tych nieubezpieczonych do przychodzenia na pogotowie. Ma twarz pokrytą krwią i trzyma się za złamaną rękę. Kiedy mnie widzi, podskakuje na wózku i chce uciekać, ale tylko mrugam do niego w truchcie.

W mniej ekstremalnych okolicznościach uwielbiam przebywać na Erce. Ludzie, którzy tam pracują, są powolni i spokojni jak fikusy. Muszą tacy być, boby coś co chwilę pierdolili, albo by się wypalili. A w izbie przyjęć Manhattan Catholic zawsze można odnaleźć lekarza, który cię wzywał, ponieważ teraz, od czasów znanego incydentu, o którym nie chcielibyście usłyszeć, jest to jedna duża sala\*.[No już dobrze. Okazało się, że jeden pielęgniarz wiązał pacjentów i dawał im środki uspokajające, po czym „eksperymentował” na nich.]

Lekarka opatruje pacjentowi ranę od noża na plecach. Ten wierci się i bezgłośnie krzyczy, przytrzymywany przez kilku pielęgniarzy.

- Co się dzieje? - pytam ją.

- Ta Erka to, kurwa, jakiś koszmar - mówi spokojnie.

- Przepraszam, nie mam czasu na uprzejmości. W czym mogę pomóc?

- Mam motocyklistę po wypadku, z pokiereszowanymi jądrami.

- No dobra.
- I jest niemy.
- N i e m y jest?
- No właśnie.
- A słyszy?
- Tak.

Więc raczej nie jest niemy.

Spoglądam na zegarek, a ten jakby chciał mi powiedzieć: Dziesięć minut do przybycia kilerów.

- Niech pani mi pokaże.

Odkłada rozpylacz i prowadzi mnie.

Motocyklista nie jest jakimś osłem jeżdżącym w weekendy na harleyu. Jest prawdziwym członkiem gangu motocyklowego, jak w *Gimme Shelter*. Ma zielone tatuaże i w izbie przyjęć pogotowia nosi okulary przeciwsłoneczne. Na kroczu ma torebki z lodem, a spod nich wyziera sinoczarna, napuchnięta moszna.

- Słyszysz mnie pan? - pytam.

Kiwa głową.

Palcami ściskam mu nos. Wygląda na zaskoczonego, ale nie aż tak, jak kiedy uświadamia sobie, że nie jest na tyle silny, by zedrzeć moją dłoń z twarzy.

W końcu otwiera usta, żeby zaczerpnąć oddechu, a ja wyjmuję z nich torebkę heroiny.

Rzucam ją lekarce.

- Pasuje? - pytam.
- Dzięki, Peter - mówi.
- Zawsze do usług - mówię, pragnąc, żeby to była prawda.

Wychodzę z budynku przez rampę dla karettek.

**P**o wyjściu z więzienia nie obchodziło mnie nic poza Magdaleną.

Przeprowadziliśmy się do mieszkania w Fort Greene, w pobliżu, choć nie za blisko, mieszkania jej rodziców i cały czas spędzaliśmy razem. Kiedy miała występ, podwoziłem ją i czaiłem się nieopodal.

Dwa razy w tygodniu jechaliśmy z wizytą do jej rodziny. Jej rodzice zachowywali się poprawnie, ale rozklejali się za każdym razem. Rovo, brat Magdaleny, był we mnie wpatrzony jak w obraz, co było powodem mego zażenowania i dumy zarazem.

Unikałem natomiast mojej drugiej rodziny, Locano, jak tylko mogłem. Byłem ich dłużnikiem, tak jak oni byli moimi dłużnikami, ale poza tym wszystko legło w gruzach. Nie wiem, ile waszych przyjaźni by przetrwało, gdybyście usłyszeli, jak niedawno jeszcze bliscy przyjaciele mówią o was w zarejestrowanej rozmowie „głupi Polaczek” i pakują was bez zmrżenia oka w jedno wielkie gówno. Nie wiem, ile waszych przyjaźni wytrzymałoby taką próbę, gdyby „przyjaciele” też wiedzieli, że słyszeliście to

nagranie. Zaczęliśmy rozluźniać nasze stosunki, na wszelki wypadek powoli.

Tymczasem Naplet chodził jak oczadziały. To, co przeszliśmy na Farmie, było dla niego całkowicie bezużyteczne. Co miał robić, ujawnić się teraz i odpowiedzieć, że sprzątnął Karcherów? Że pomógł sprzątnąć Karcherów? Że strzelił rannemu czternastolatkowi w głowę, kiedy ja poszedłem sprowadzić samochód?

Wszystko na nic i teraz czułem już z jego strony nie tyle zażenowanie, ile zazdrość. Nawet po tym jak wyszedłem z więzienia, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Najgorsze było to, że nie mogłem uniknąć spotkań z szerzej rozumianą mafią. W „społeczności LCN” oraz tych, którzy się przy nich kręcili, zyskałem najgorszy rodzaj sławy - taki, kiedy ludzie, których zupełnie nie znasz, natychmiast rozpoznają w tobie maniakałnego zabójcę i uwielbiają cię za to. Te gnidy zapłaciły za moją obronę i są drażliwe, próżne, niepewne swego i niebezpieczne. Mogłem odmawiać ich zaproszeniom, ale nie wszystkim. Moja wzdarda wobec nich miała granice.

Przynajmniej faceci z mafii nie chcieli, żebym wrócił do zabiwania. Rozumieli, że mit, iż jestem kuloodporny, ponieważ władze są zbyt zażenowane, żeby mnie kiedykolwiek o coś oskarżyć, ma dużo większą wagę, kiedy nie trzeba go weryfikować\*. [Okres między okrzyknięciem Johna Gottiego „Teflonowym Johnem” a orzeczeniem wyroku dożywocia - osiemnaście miesięcy.] Ale, kurwa mać, te gnoje chciały się ze mną zaprzyjaźniać. Mniej więcej wtedy poznałem Eddy’ego „Consola” Squillantego. Wśród wielu, wielu innych.

Tak serio to określenie „gnoje” nie oddaje wiernie ich osobowości. Skurwysyny były odrażające. Głośnie i głupie, a do tego fizycznie odpychające, całkowicie przekonane, że ich gorliwość w wynajmowaniu zbirów, by wycisnęli pieniądze z osoby, która ciężko na nie pracowała, wymaga geniuszu i podwieszenia się pod starą tradycję. Jednak za każdym razem, kiedy pytałem ich o tę tradycję - jedyna rzecz, o której bym coś posłuchał od tych pluskiew - od razu się zamykali. Nie dowiedziałem się, czy to dlatego, że ślubowali milczenie, a może też nic o tym nie wiedzieli. Ja jednak wciąż pytałem, ponieważ to, że się zamykali, było zwycięstwem samym w sobie.

Naplet zaprosił mnie kilka razy na imprezę w swoim nowym mieszkaniu w Upper East Side. Przychodziłem, kiedy wiedziałem, że będzie tłumek, odciągałem gospodarza na bok, witaliśmy się i wychodziłem. Zdaje się, że powiedział coś takiego: „Tęsknię za tobą, stary”, na co ja odparłem: „Ja za tobą też”. I w pewnym sensie była to prawda. Tęskniłem za czymś, ale cokolwiek to było, dawno już zniknęło.

W rzeczywistości gdybym tylko kierował się tym przekonaniem - wiedział, w co zmieniają się takie martwe układy - być może wszystkich nas bym uratował.

Stało się to dziewiątego kwietnia 2001 roku. Byłem w domu i Naplet zadzwonił na moją komórkę. Późno wieczorem. Czekałem, aż Magdalena wróci z występu na jakimś rocznicowym przyjęciu. Niedawno kupiłem jej samochód.

Naplet zadzwonił do mnie i powiedział:

- Słuchaj, kurwa, stary, wpadłem w prawdziwe kłopoty. Mam przejebane. Potrzebuję twojej pomocy. Mogę po ciebie przyjechać?

- Bo ja wiem - mruknąłem. - Czy wyląduję w pierdlu?

- Nie - odparł. - Nic z tych rzeczy. To nic nielegalnego. Jest o wiele gorzej, kurwa mać.

A ponieważ nie rozstaliśmy się jeszcze ostatecznie, zaproponowałem:

- Dobrze. Przyjedź po mnie.

Przez całą drogę na Coney Naplet obgryzał paznokcie i brał kolejne działki kokainy, zanurzając palce w pudełku po alto-idach, wdychał proszek, a resztę wcierał w dziąsła, jakby mył zęby.

- Nie mogę ci powiedzieć. Muszę ci to pokazać - wciąż powtarzał.

- Pierdolisz. Powiedz mi.

- Proszę cię, stary. Proszę. Wyluzuj. Sam zrozumiesz.

Miałem wątpliwości. Rozmowa z Napletem przypominała mi tę, którą odbyłem z Samem Freedem przed wycofaniem oskarżenia przez federalnych. Tylko że tym razem wiedziałem, iż nie będę zachwycony niespodzianką.

- Chcesz trochę koki? - zapytał.

- Nie - odparłem.

Nie brałem już narkotyków. W więzieniu trochę ćpałem, ale to badziewie w porównaniu z biegiem na sześć mil z Magdaleną,

już nie mówiąc o kontakcie z jej chłodnym, spoconym ciałem po biegu, nie miało kopa. Jednak ilość koki, jaką Naplet miał w sobie i jaką wciągał podczas jazdy, była imponująca i przerażająca.

Zawiózł nas na Coney i zaparkował w tym samym miejscu, co dwa lata wcześniej. Następnie tak samo jak wtedy przeszliśmy pod promenadą, choć tym razem Naplet miał większą latarkę.

Przeszliśmy przez dziurę w płocie i skierowaliśmy się wprost do zbiornika z rekinami. Wyglądał mniej okazale, niż pamiętałem. Drzwi już były otwarte.

Myślałem wtedy, że Naplet skłamał, mówiąc, że nie jest to nic sprzecznego z prawem, i że zabił kogoś i potrzebuje mojej pomocy, by ukryć ciało. Zamknął drzwi z łoskotem i poprowadził mnie kręconymi, metalowymi schodami.

Kiedy przeszliśmy do pomieszczenia ze zbiornikiem, wyłączył latarkę i przez chwilę widziałem jedynie szarą poświatę ze świetlika w suficie i jej odbicie w czarnej toni.

Nagle usłyszałem hałas - wysokie mmmmmmm!

Najlepiej wyobrazić sobie dźwięk, jaki wydaje ktoś, kto próbuje krzyżeć z taśmą na ustach. Taśma knebłowała usta Magdaleny.

Od razu wiedziałem, że to ona. Adrenalina rozszerzyła mi źrenice. Nagle przejrzałem na oczy.

Na galerijce stało jakieś pół tuzina śmieci z mafii, mniej więcej. Trudno prowadzić skrupulatne wyliczenia w takich okolicznościach. Kilku z nich rozpoznałem. Wszyscy mieli spluwy.

Zdjęto linę zabezpieczającą i opuszczono rampę nad powierzchnię wody. Magdalena i jej wielki, niezdarny brat Rovo stali przy końcu rampy. Ich ręce, nogi i usta były nieporadnie sklezione taśmą - przypominało to sieci, które plotą pająki, kiedy testuje się na nich toksyczne środki chemiczne. Gnojek ze spluwą stał za nimi.

Przez czaszkę przebiegł mi gwałtowny impuls. Z a b i ć . W całym pomieszczeniu kolana, oczy i gardła rozświeciły się jak na strzelnicy.

Ale nie namierzyłem Napleta. Mogłem wierzgnąć piętą i wbić ją tak mocno w mostek, że zmiażdżyłbym mu serce. Ale wciąż jakoś nie mogłem uwierzyć, że bierze w tym udział. Tak, wiedział o tym. Ale może zmusili go, by mnie tu przywiózł. Albo j a k o ś t a k . Więc oszczędziłem go i zacząłem zabijać innych.

Kutas po mojej lewej nie miał szczęścia. Celował we mnie z glocka. Ruszyłem po zewnętrznej stronie, omijając lufę, i na pamięć uderzyłem barkiem w klatkę piersiową, dociskając mostek i płuco w stronę łopatki. Szarpnąłem palcami za grdykę i wyrwałem mu pistolet. Wolną dłonią zgarnąłem latarkę Napleta i oślepiłem dwóch kolejnych skurwieli. Strzeliłem im prosto w piersi.

Ale Naplet po raz pierwszy był szybki. Ponieważ tym razem wystarczyło, żeby czmychnął, a w tym był ekspertem. Kiedy już się znalazł poza zasięgiem, krzyknął:

- Strzelajcie!

Zastrzeliłem jeszcze dwóch, zanim otworzyli ogień. Chuj za Magdaleną i Rovo zaczął ich spychać z rampy. Strzeliłem kutasowi prosto w czoło i przeskoczyłem przez barierkę.



Nie zdążyłem. Zobaczyłem, że Magdalena i Rovo poza tym, że są spętani taśmą, to jeszcze są związani razem. Ledwie kilkoma splotami, ale to wystarczyło. Poruszałem się tak wolno w stronę wody, że aż chciało mi się krzyżeć. Dla zabicia czasu zastrzeliłem kolejnego bandziora, kiedy jego brzuch pojawił się między barierkami.

Ktoś inny zaczął do mnie pruć. Widziałem, jak na galeryjce jakby w zwolnionym tempie rozkwita ognisty kwiat, ale już nie słyszałem.

W końcu walnąłem w wodę i zaczęło się.

Zetknięcie z wodą zawsze jest szokiem dla człowieka, ale ja już byłem w szoku, więc prawie tego nie zauważyłem, kiedy przedzierałem się do miejsca, w którym, jak sądziłem, zniknęli Magdalena i Rovo. Walnąłem kolanem w coś oślizłego, co z początku poddało się jak skórzany worek, po czym ożyło i oddało mi z nawiązką.

Miałem tyle szczęścia, że złapałem Magdalenę za włosy. Coś pacnęło mnie na odlew po karku. Chwyciłem za kawałek taśmy i ruszyłem ku powierzchni. Wdychałem powietrze, które okazało się wodą, i zakrztusiłem się, ale w końcu wystawiłem głowę. Cały czas kopałem coś pod powierzchnią. W pewnym momencie coś stawiało opór jak kawałek skały i niewiele brakowało, żebym skrzył sobie kostkę.

Nie miałem jednak czasu się nad tym dłużej zastanawiać. Nie mogłem znaleźć głowy Rovo. W końcu wpadłem na pomysł,

odwróciłem go osobno, niezależnie od Magdaleny, i po chwili obydwójce potwornie charczeli, łapiąc powietrze.

Znów dałem nura, wypychając ich wyżej. Coś otarło się o mój brzuch. Mocno. Rozpaczliwie potrzebowałem punktu podparcia. Zastanawiałem się, czy jest tu jakiś płytki brzeg, a jeśli tak, to gdzie go szukać.

Kiedy znów się wynurzyłem, by nabrać powietrza, ktoś zaczął strzelać z galeryjki. Nie było to jednak specjalnie ważne. Dawno już zgubiłem broń i latarkę. Musiałem natomiast usilnie utrzymywać całą naszą trójkę na powierzchni.

Coś walnęło mnie w plecy i zniosło nas w stronę jednej ze ścian. Wiergnięciem przybliżyłem nas do miejsca, w którym stykały się dwie heksagonalne ściany, i starałem się, wykorzystując tarcie o szkło, utrzymać Magdaleny i Rovo nad wodą. Kopałem i młóciłem ramionami, by odgonić rekiny. Chwilę po tym, jak przyniosło to spodziewany skutek, zdarłem taśmę z ust Magdaleny i Rovo.

Magdalena od razu zaczęła się krztusić. Musiałem też walnąć Rovo w klatkę piersiową. Za każdym razem, kiedy przestawałem wściekle kopać, coś ocierało mi się o nogi. Rovo i Magdalena zaczęli ciężko dyszeć, jakby się dusili.

- Oddychać! - krzyknąłem.

Fale zaczęły się uspokajać, choć trykanie od dołu nie słabło. Nie wiedziałem, dlaczego rekiny jeszcze nie zaatakowały, ale sądząc po tym, że stawały się agresywniejsze, kiedy moje wysiłki słabły, było jasne, że próbują.

I może jeszcze pomogły kule. Słyszałem, jak ktoś jęczał na galeryjce nad nami.

Po długiej chwili Naplet zawołał z drugiej strony:

- Pietro?

Zastanawiałem się, czy odpowiedzieć. Było jasne, że nas nie widzi. Ja w każdym razie nie widziałem go wcale, jedynie przyćmione, pokratkowane światło wprost nad naszymi głowami, a gdybym się odwrócił i spojrział przez ramię, dostrzegłbym fragment świetlika. Tak więc Naplet mógł nie wiedzieć, czy żyjemy, i mógł próbować zlokalizować nas po głosie. Trochę chlupotałem, ale równie dobrze mogły to być rekiny.

Wiedziałem jedno:

Byłem głupi, że nie zabiłem go tam, na górze. To on i nikt inny był sprawcą tego, co się stało.

Ale był również naszym jedynym ratunkiem. Wiedziałem, że to odrażające i bezsensowne, ale musiałem mu przemówić do rozumu.

- Naplet! - krzyknąłem. Mój głos zabrzmiał chrapliwie i słabo.

- Jak się czujesz? - zapytał. Jego głos niósł się echem po całym budynku. Echo przynajmniej uniemożliwiało precyzyjną lokalizację.

- Co ty, kurwa, wyrabiasz? - zawołałem.

- Wykańczam cię.

- Dlaczego?

- Mój tata się dowiedział, że to ty zabiłeś Kurta Limmego.

- Gówno prawda! To twój stary go zabił. Albo zapłacił za to jakiemuś Ruskiemu.

- W to nie uwierzę.
- Czemu miałbym to robić? Chuj mnie on obchodził. Wyciągnij nas stąd!
- Trochę na to za późno.
- Za co, Naplet? Wiesz, że mówię prawdę!
- Nie sędzę, żebyś poznał prawdę, nawet gdyby ugryzła cię w dupę, stary. Co, jak sędzę, właśnie się dzieje.

- Naplet! - krzyknąłem.

Zamilkł na kilka chwil. Po czym powiedział:

- A wiesz, że mój tata wynajął Virzich, żeby zabili twoich dziadków?

- Co takiego? - wykrzyknąłem.
- Dobrze słyszałeś. A wiesz dlaczego?
- Nie! I gównu mnie to obchodzi!

Naprawdę tak było. Nie wiedziałem, czy to prawda, nie wiedziałem, co to miało znaczyć, gdyby to była prawda, i nie chciałem, żeby Naplet kontynuował.

- To była przysługa dla jakichś rosyjskich Żydów - wyjaśnił.  
- Twoi dziadkowie nie nazywali się Brnwa. Byli Polakami. Jako piętnastolatki pracowali w Auschwitz.

Jego głos utonął w nicości, kiedy woda dostała mi się do uszu. Napierałem teraz na obie szklane ściany, starając się trzymać Magdalenę i Rovo w rogu. Ale wciąż ześlizgiwali się po moim ciele.

- Prawdziwi Brnwa tam zginęli - mówił dalej Naplet. - Twoi dziadkowie podszyli się pod nich, żeby po wojnie wyjechać z kraju. W Izraelu spotkali jednego Rosjanina, który ich rozpoznał i znał też prawdziwych Brnwów. Jego kumpel zadzwonił do mojego ojca.

Nie mogłem o tym nie myśleć. Miałem poczucie, że muszę sobie pewne sprawy przemyśleć i że nie będą to specjalnie radosne przemyślenia.

Jeśli będę żył, powiedzmy, za tydzień.

Teraz chciałem, żeby Naplet się zamknął i nas wyciągnął.

- No i co z tego? - krzyknąłem.
- Więc widzisz, że gówno wiesz.
- Doskonale! - zawołałem. - Wybaczam ci! Wybaczam twojemu tacie! Wybaczam moim jebanym dziadkom! Wyciągnij nas stąd!

Naplet nie zareagował. Po chwili powiedział:

- No nie wiem, stary. Zabiłeś moich kumpli.
- To akurat dobrze - odparłem. - Nikt o tym nie wie. No dalej! - Kiedy znów się nie odezwał, dodałem: - Jak chcesz, żebym pomógł ci kogoś zabić, to nie ma sprawy!

- Taa. Jak ostatnio? - zapytał. - Dziękuję, ale myślę, że wezmę to, co mam bez łaski. Czyli ciebie. Dosłownie.

- Nie popełniłem błędu na Farmie. Wiesz przecież!

Zacząłem panikować. Ramiona i nogi płonęły żywym ogniem. Coś żywego kłębiło mi się wokół kostek. I za nic nie wychodziło mi odplątywanie Magdaleny i jej brata z tej cholernej taśmy. Mogłem się tylko wpatrywać w ich przerażone oczy, czując ich gorące oddechy na twarzy.

- Jak sobie chcesz, stary - stwierdził Naplet. - Może powinienem życzyć rekinom „smacznego”. Pora karmienia.

Facet, który konał nad nami, upuścił pistolet do wody. Spadł jakiś metr ode mnie, ale nie mogłem nic zrobić. Naplet wystrzeżił kilka pocisków na chybił trafił, kiedy usłyszał plusk.

- Będę musiał teraz wytargać stąd te trupy - powiedział, kiedy echo ucichło. - A wiesz, że chciałem przynieść trochę mięsa na wypadek, gdyby ryby nie chciały brać. Chyba nie będzie to potrzebne.

Domyśliłem się, że planuje wrzucić jedno z ciał do wody, i zastanawiałem się, czy może nam to pomóc: może rekiny porównają kąski i dojdą do wniosku, że my jednak nie jesteśmy pożywieniem.

Wtedy poczułem na ustach coś, co smakowało jak miedź. Spojrzałem w górę i duża kropla krwi wpadła mi do oka. Zapiekło. Była ciepła.

- Przynajmniej wyciągnij stąd Magdalenę i chłopaka! - wydarłem się do Napleta. - Nic ci nie zrobili!

- Ofiary wojny, stary kumplu. Wybacz.

Dwie sekundy później rekiny przypuściły atak.

Rekiny miały do wyboru mnie albo Rovo, ponieważ kiedy tylko się zorientowałem, co się dzieje, zakryłem sobą ciało Magdaleny.

Rovo dużo mniej energicznie niż ja rozdzielał ciosy. Powierzchnia wody zakotłowała się i rekiny ruszyły na niego.

Ludzie czasem mówią, że rekiny tylko pływają i zabijają, ale to przesada. Wykorzystują pracę tych samych mięśni bocznych do obu czynności. Zaciskają na czymś szczęki, po czym miotają się na prawo i lewo, aż oderwą kęs. Później, jeśli czują, że mogą sobie na to pozwolić, wracają, aż ofiara wykrwawia się w końcu na śmierć.

Rekiny z Coney Island nie miały takiej możliwości i wiedziały o tym. Było ich za dużo. Ten zbiornik był ohydny, skondensowanym organicznym piekłem, napakowanym rybami, które w naturalnym środowisku przepływają setki mil dziennie i trzymają się od siebie, kurwa mać, daleko. Tutaj, jak ugryzą i się wycofają, po chwili nie będą miały po co wracać. Więc ten, który zaatakował Rovo, oderwał go od ściany, ciągnąc za nim Magdalenę i mnie.

Czułem się, jakbyśmy zostali porwani przez prąd w wielkiej rynnicy. Pod wodą, obejmując Magdalenę nogami, odszukałem taśmę na jej rękach i rozerwałem ją zębami. Wyszarpnąłem sobie przy tym lewy dolny kiel i naruszyłem sąsiedni ząb, ale uwolniłem Magdalenę.

Na powierzchni jednak wyrwała się mi i ruszyła w stronę Rovo, którym rekiny szarpały we wszystkich kierunkach, a w świetle padającym z góry widać było, jak krew tryska z niego jak z fontanny. Chwyciłem taśmę na nogach Magdaleny i wciągnąłem ją na powrót w mrok w chwili, w której Naplet znów zaczął strzelać.

Myślę, że właśnie te strzały zabiły Rovo. Mam przynajmniej taką nadzieję, kurwa.

Zaciągnąłem Magdalenę do jednego z rogów i zakryłem jej usta dłonią. Myślę, że widziała wszystko za moimi plecami. Nie musiała patrzeć. Woda ożyła i słychać było odgłosy rozszarpywania i kłapania szczęk rekinów walczących o skrawki ciała jej brata.

Nie pamiętam, jak długo tak trwaliśmy. Przytrzymałem nas między dwiema ścianami zbiornika, kopałem wodę, by utrzymać nas na powierzchni, i niemal mdlałem ze strachu za

każdym razem, kiedy czułem, jak coś ociera mi się o stopy czy nogi. Czyli przez cały czas.

Wydawało mi się, że minęło kilka godzin. Z czasem potyczki stawały się mniej gwałtowne i rzadsze, aż w końcu pletwy przestały mącić wodę. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie jeszcze kawałki Rovo wciąż warte były walki. Wszystko zaczęło się uspokajać.

Nagle na górze rozległ się czyjś głos.

- Panie Locano, kurwa jebana mać.

Odezwał się też ktoś inny:

- Ja cię pierdołę!

- No właśnie - skwitował Naplet. - Po prostu tu posprzątacie, dobrze?

Ktoś zaczął ciągnąć ciała. Mozolnie im to szło. Obijające się o kratkę buty mafiosów wydawały metaliczne polifoniczne odgłosy.

W końcu im się udało. Naplet omiółł zapasową latarką pomieszczenie i zbiornik, ale ja zanurzyłem się na chwilę z Magdaleną.

- Pietro? - spytał.

Nie odpowiedziałem.

- Fajny był z ciebie kumpel.

Poszedł, wcześniej wyciągając rampę.

Kiedy teraz sobie to przypominam, mam wrażenie, że połowę czasu spędzonego z Magdaleną przeżyliśmy tej właśnie nocy.



Poruszaliśmy się maksymalnie wolno wokół brzegów zbiornika. Trzymałem ją, jak najwyżej się dało, przyciskając do szyby, a ona szukała czegoś na ścianach, jakiegoś punktu podparcia, kranu albo czegośkolwiek, o co można by się zahaczyć i podciągnąć. Ja również szukałem stopami skały, o którą uderzyłem wcześniej. Nie mieliśmy szczęścia. Kratka galerijki znajdowała się metr siedemdziesiąt nad naszymi głowami, ale równie dobrze mogła być sto metrów wyżej.

W narożnikach można było trochę odpocząć, opierając się o dwie szklane ściany, mimo że kąt był szeroki. Odepchnąłeś się za mocno - odklejałeś się od szyby, za słabo - zaczynałeś spadać. Ramiona i kark bolały mnie jak wszyscy diabli.

I oczywiście pojawiły się inne, bardziej trywialne problemy. Sól, która wypychała nas nieco nad powierzchnię, dostawała się do oczu i ust, wywołując pieczenie. Woda miała jakieś dwadzieścia pięć stopni, co na początku dawało nam ciepło, ale w miarę upływu czasu stawała się tak zimna, że mogła zabić.

Jednak ratując Magdalenę, miałem niespożyte siły i byłem nieczuły na wszelki ból. Opracowałem specjalną technikę. Posadziłem sobie Magdalenę na ramionach, twarzą do mnie, tak że mogłem trzymać ją jak najwyżej nad wodą. Trwaliśmy w tej pozycji godzinami, tak mi się wydaje. W końcu zdjeliśmy jej ubranie, ponieważ tak było jej cieplej. I w końcu pozwoliła mi się tam pocałować, chociaż nie przestała płakać, nawet kiedy doszła.

Możecie mnie oceniać, ile wlezie. Ale nie ważcie się oceniać jej, bo porozpierałam wam łby. Dowiedcie się wszystkiego o

pierwotnych instynktach, kiedy zapukają do waszych drzwi. Bliskość ciała Magdaleny, ciarki, które wędrowały mi po krzyżu, nieczułym na inne bodźce, sprawiały, że ocean nie miał szans. Było to samo życie\*.[Ludziom się wydaje, że ocean to życie i wolność. Ale plaże to najtrudniejsze do przejścia naturalne zapory. Ludzie otaczają je czcياً, podobnie jak kosmos czy śmierć, czy też cokolwiek lub kogokolwiek, kto mówi im „nie” i nie chce ustąpić.]

W nocy słyszeliśmy parskanie, co jakieś piętnaście minut. Kiedy świetlik pojaśniał, najpierw z wolna, a potem idiotycznie szybko, zacząłem dostrzegać, jak na powierzchni pojawia się mała główka z błyszczącymi czarnymi oczami, by wydmuchnąć wodę z gadzich nozdry.

Kiedy widziałem już cyferblat zegarka, minęła szósta. Trzęśliśmy się z zimna i mieliśmy zawroty głowy. Kiedy tylko byliśmy w stanie zobaczyć rekiny w wodzie, stały się bardziej agresywne. Najwyraźniej lubiły zmierzch i świt. Podpływały błyskawicznie jak cienie odbijanej piłki.

Ale nie wykorzystały szansy. Dostawały tylko kopa w ryj. W zbiorniku robiło się coraz jaśniej. Wiedzieliśmy już, że parskające zwierzę to olbrzymi żółw morski i prawdopodobnie to jego wziąłem za skałę. Później zobaczyliśmy, że są dwa. Jeszcze później dostrzeżliśmy, że w zbiorniku aż roi się od zwierząt.

Pływał tu przynajmniej tuzin rekinów wielkości człowieka (dwadzieścia minut później naliczyłem, że jest ich dokładnie czternaście), dwóch gatunków, ale nie znałem ani jednego, ani drugiego. Obydwa były brązowe i wyglądały, jakby zostały zrobione z aksamitu oraz miały zaskakująco dużo odrażających

płatw bocznych. Jeden z gatunków miał cętki\*.[Były to rekin tygrysie czy coś w ten deseń. A kogo to, kurwa? Każdy rekin tych rozmiarów zaatakuj człowieka, jeśli wydaje mu się, że ujdzie mu to płazem. I wszystkie rekiny płytkowodne są brązowe z wierzchu i białe pod spodem, tak żeby ryba nad nimi myślała, że to piasek, a ta pod nimi, że niebo.]

Wolna, sunąca płynnie raja nabijana, która wyglądała, jakby jej ktoś ogon odgryzł, płynęła tuż nad cementowym dnem zbiornika. Trochę wyżej ławica papugoryb, długości jakichś trzydziestu centymetrów, opływała i skubała szczątki ciała Rovo, ciągnąc je po zakamarkach zbiornika, i wyglądało to tak, jakby biedak tańczył w jakimś upiornym *dance macabre*.

Niewiele z niego zostało: rozszarpana głowa, kręgosłup, kości ramion. Dłonie miał porozrywane, a ścięgna zwisały jak festony. Od czasu do czasu rekin szarpał włókniste szczątki mięśni, tak że koziółkowały w wodzie, ponownie dostając się we władanie innych ryb. W pewnym momencie sięgnąłem i złapałem je, kiedy przepływały obok nas, myśląc, że jeśli ryby nie będą go szarpać, to Magdalena przestanie tak nerwowo łapać powietrze. Ale rekiny stały się wtedy bardzo agresywne, poza tym dotknięcie rozszarpanego trupa wywracało mi żołądek na lewą stronę. Jedynym miejscem, za które można było przytrzymać zwłoki, była ostra, śluzowata podstawa kręgosłupa, tuż obok wyszarpanych nerek. Puściłem więc wolno ciało i zakazałem Magdalenie na nie patrzeć. Pomimo to patrzyliśmy obydwójce.

Około siódmej trzydzieści rekiny odpłynęły od nas, jakby usłyszały jakiś sygnał, i pojawił się karmiciel.

Miał jakieś dwadzieścia lat, ogoloną głowę i baki. Był ubrany w żółte, gumowe spodnie. Stał i patrzył na skurczone sutki Magdaleny. Była naga. Przynajmniej dzięki temu skurwysyn nie zauważył Rovo.

- Wyciągnij nas stąd - wychrypiałem.

Podszedł i opuścił rampę, a ja odbiłem się od ściany z Magdaleną w ramionach, gotów zdrowo dopierdolić każdemu rekiniowi, który miałby ochotę teraz z nami zadrzeć. Wypchnąłem ją na górę i sam się podciągnąłem. Był to dla mnie taki wysiłek, że na chwilę straciłem wzrok.

- Dzwonię po gliny - powiedział chłopak.

- Jak? - zapytałem. - Nie masz nawet komórki.

- A pewnie, że mam - odparł, wyjmując telefon.

Skurwiel. Walnąłem aparatem tak mocno o barierkę, że rozsypał się na kawałki, które wpadły do wody. Potem posłałem chłopaka na deski.

Dwadzieścia cztery godziny, które rozpoczęły się w tej chwili, były najgorsze i zarazem najważniejsze w moim życiu. W tym czasie - chociaż nie było go dużo - przejechałem w sumie dwa tysiące mil, żeby w końcu z powrotem wylądować w Nowym Jorku dzień po tym, jak wypełziliśmy z Magdaleną z wody.

A dokładniej na Manhattanie, gdzie portier Napleta rozpoznał mnie i wpuścił do budynku. Dwóch zbirów w mieszkaniu Napleta zabiłem szklaną ławą.

Samego Napleta, wciąż pobudzonego i nabuzowanego koka, wziąłem za biodra, tak jak brałem Magdalенę. I wyrzuciłem go, mimo że się wyrywał i wrzeszczał, głową przez okno w salonie.

Niemal od razu chciałem go mieć z powrotem, żeby zrobić to jeszcze raz.

Już z dołu, gdzie zbierał się tłumek, zadzwoniłem do Sama Freeda i po raz drugi tego dnia poinformowałem go, skąd może mnie odebrać.

**N**a ulicę wychodzę jako zwykły obywatel. Wolny. Rzuciłem to wszystko. Nie będę już leczył ludzi. I cokolwiek znaczył w moim życiu lekarski kitel czy tytuł przed nazwiskiem, teraz nie będzie to miało żadnego znaczenia. Opuściłem stan kapłański, nie molestowałem ministrantów.

Powinienem się czuć fatalnie. Wiem. Siedem lat poświęciłem temu, żeby zostać lekarzem. A teraz nie mam nic. Nie mam roboty. Nie mam nawet bezpiecznego lokum.

Ale mroźny wiatr siekający w twarz lodem z chodnika smakuje jak nocne wiosenne powietrze, pełne robaczek świętojańskich i pijanych bab na grillowym przyjęciu.

Bo wcale nie czuję się źle.

Jestem w Nowym Jorku. Mogę iść do hotelu i stamtąd zadzwonić do WITSEC. A potem pójść do m u z e u m czy do kina. Mogę przejechać się promem na Staten Island. Prawdopodobnie jednak nie powinienem, bo każdy mężczyzna na Staten jest albo mafiossem, albo gliną, ale mogę to zrobić. Mogę kupić sobie jebaną książkę i przeczytać ją w kawiarni.

I niech mnie chuj strzeli - jak ja nienawidziłem być lekarzem.

Nienawidziłem tego od akademii. Niekończącego się cierpienia i śmierci pacjentów, których życie miałem ratować, ale albo nie można było, albo ja nie byłem na tyle dobry. Syfu i korupcji. Do tego dzikich godzin pracy.

Szczególną nienawiścią darzyłem tę nowojorską Gwiazdę Śmierci, tę fluorescencyjną Morię znaną jako ManCat.

Pozostawałem lekarzem tak długo, jak mogłem. Jestem coś winien, wiem, i doceniam to, że fach lekarski zmusił mnie do spłaty długu, dając mi możliwość spełniania codziennych dobrych uczynków, tak że nie musiałem ich szukać.

Ale mogę płacić tylko wtedy, kiedy mam czym. Dać się zabić po siedmiu latach harowy - to bez sensu. Niepotrzebna strata. Nie mam już czego szukać w tym zawodzie.

Co znów nie jest takim końcem świata. Może kiedy się już dokąds przeprowadzę, będę mógł pracować w kuchni charytatywnej. Z pewnością w tym fachu ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej nie będzie aż tak duże.

Przypominam sobie określenie doktora Friendly'ego - Potencjalny Pieniacz Sądowy - i wybucham śmiechem.

Nagle wpada mi do głowy coś jeszcze i zatrzymuję się, jakby ktoś mi przybił stopę do ziemi. Niemal się przewracam.

Zastanawiam się, żeby się zorientować, co jest nie tak.

Wciąż myślę.

Ale to bez sensu.

Wiem, jak ocalić nogę Dziewczyny z Kolanem.

Stojąc na wicherze w śnieżnej zawierusze, staram się dozwonić na chirurgię z komórki.

Nikt nie odbiera.

Ortopedia. Zajęty.

Akfał. Pojawia się symfonia *Z Nowego Świata* Dworzaka, co oznacza, że zabrał pacjenta na zabieg.

Tymczasem na końcu przecznicy przede mną zatrzymują się dwie limuzyny i wysiada z nich sześciu mężczyzn, którzy nie mówią do siebie ani słowa.

Wszyscy mają długie płaszcze, żeby można było ukryć broń. Jeden jest ciemnowłosy, a jeden wygląda na Latynosa, ale pozostali wyglądają na Amerykanów ze Środkowego Zachodu. Dżinsy i buty sportowe. Twarze poorane gęstymi zmarszczkami od długiego przebywania na ranchach w Wyoming i Idaho, o których ich zdaniem nikt nie wie.

Odwiedziłem parę takich miejsc. W interesach, wiecie, o czym mówię.

Zabójcy rozdzielają się na rogu, żeby zablokować wszystkie wyjścia. Spoglądam do tyłu. Kolejne dwa auta.

Mam jakieś pół sekundy, by zdecydować, czy przejść na drugą stronę ulicy czy wrócić do szpitala.

Jestem kretynem. Wybieram szpital.

Pędzę do wind do sal operacyjnych. Jeśli ci na zewnątrz są pierwsi, dadzą mi trochę czasu, bo pewnie będą przeczesywać budynek od dołu do góry.

Jeśli.



Przemykam przez salę pooperacyjną, gdzie ludzie z reanimacji wciąż przeszukują przepierzenie, w którym zmarł Squillante, starając się dociec, gdzie się podziały wydruki z EKG. W końcu informatycy powiedzą im, jak wydrukować nowe. Za jakiś miesiąc.

W szatni chirurgii znajduje się płaski monitor na ścianie, na którym widać rozkład zabiegów operacyjnych. Jest tu informacja, że Dziewczynie z Kolanem usunięto nogę trzy godziny temu. Co jest niemożliwe, bo widziałem ją. Jest przynajmniej numer sali, piętro wyżej.

Jednakże kiedy tam docieram, jakiś szmondak w kitlu i masce myje podłogę mopem i nikogo innego nie widać. Co prawdopodobnie oznacza, że pomyłono sale, chociaż gwarancji nie ma.

- Kiedy jest następna operacja? - pytam faceta z mopem.

Wzrusza tylko ramionami. I nagle, kiedy odwracam się, żeby wyjść, ciska mopa na ziemię i zarzuca mi garotę nad głowę.

Milutko. Facet pewnie czaił się tu na mnie od momentu, w którym podsłuchał przed salą Dziewczyny z Kolanem, jak z nią rozmawiam. I do tego jest fanatykiem garoty.

Łatwo zrobić garotę, łatwo się jej pozbyć i łatwo ukryć nawet pod kitlem. Ale tylko świr używa garoty. Któż inny chciałby być tak blisko ofiary? Ledwo zdążyłem włożyć rękę i osłonić krtań, zanim ją zacisnął.

Wiem już, że to mnie nie zabije. Przynajmniej nie od razu. Przy mojej dłoni osłaniającej krtań i przewodzie mojego stetoskopu, który dostał się pod linkę z obu stron, psychol nie może przeciąć mi arterii nawet po skrzyżowaniu linki na karku. Może

naciąć żyły, które są bliżej skóry niż arterie, ale to jedynie zatrzyma krew o p u s z c z a j ą c ą mój mózg. Już czuję narastające gorąco i ciśnienie. Ale jeszcze przez chwilę nie zemdleję.

Nagle facet wykonuje taki ruch, jakby coś piłował, przechyla się w lewo, w prawo, na tyle szybko, że nie mogę tego wykorzystać, i linka wrzyna się głęboko w dłoń i kaleczy szyję. Psychol wplótł coś w garotę - szkło czy metal. Końcówka stetoskopu pęka, leci w dół i turla się po podłodze.

Najwyraźniej jednak zabije mnie to szybko.

Staję mu mocno na stopie. Ma buty z blachami. Oczywiście, że tak - jest fanatykiem garoty. Spodziewał się tego. Końcówka buta zapada się trochę i facet nawet jęczy, kiedy przygniatał mu lekko palucha, ale niezbyt zmienia to jego plany. Po butach z blachą można przejechać samochodem.

Dlatego pcham nas obu do tyłu, mocno. Ale tego też się spodziewał i z łatwością zakleszcza nas nogami przy stole operacyjnym.

Ale ja tu rządę, to moje terytorium. Walę piętą w pedał zwalniający hamulce stołu i tym razem, kiedy lecimy w tył, widać, że jest zaskoczony. Łąduję na nim na podłodze. Słysząc miły dla ucha jęk, kiedy uchodzi z niego powietrze. Ale nie puszcza linki.

Dlatego wolną ręką sięgam za siebie i łapię go za kępkę włosów - którą kretyn sobie zostawił - po lewej stronie głowy. Następnie siadam, podrywając go do góry i jednocześnie skręcając.

To może zadziałać tylko wtedy, kiedy psychol jest praworęczny, albo przynajmniej kiedy jego prawy nadgarstek krzyżuje się od góry z lewym. Ale brakuje mi już pomysłów.

Udało się - linka już nie otacza mej szyi, a on przelatuje przede mną.

Psychol wali ciężko o podłogę, gubiąc po drodze włosy, z twarzą zwróconą w moją stronę. Nie mam najmniejszych problemów z okładaniem jego ryja na przemian łokciami i otwartymi dłońmi - w tył, w przód, w tył, w przód - aż traci przytomność i na potylicy pojawia się krew.

Wstaję chwiejnie na nogi.

Wybrałeś sobie zły dzień na jazdę na mopie, pojebusie.

W korytarzyku łączącym sale operacyjne zamykam ranę na dłoni za pomocą zszywacza. Ból jest oszłamiający, ale przynajmniej ręka będzie jako tako sprawna. Zawijam bandaż na szyi. Nie mogę zrobić wiele więcej, bo jej nie widzę, a przedmiot, który najbardziej przypomina lustro, to taca na narzędzia chirurgiczne.

Przebieram się w świeży kitel i zauważam półkę z zestawami, na której stoją stalowe pudła z instrumentami do różnych operacji. Widnieją tam etykiety z napisami „KLATKA PIERSIOWA, OTWARCIE” i „PRZESZCZEP NEREK”.

Wyciągam pudełko z napisem „PRZECINANIE KOŚCI KOŃCZYN DOLNYCH”. Wybieram nóż, który z wyglądu przypomina maczetę z usuniętą rękojeścią, i za jego pomocą rozcinam bok moich nowych spodni. Następnie taśmą chirurgiczną przymocowuję go do zewnętrznej strony uda.

Kiedy wychodzę i idę do umywalki, żeby zmyć krew, widzę pielęgniarkę drapiącą się pod pachą cieniutką kamerą laparoskopu, którą później lekarze ubrani w księżycowe kombinezony będą wpychać pacjentowi do brzucha.

Rzuca mi spojrzenie i znika.

Chodzę od sali do sali po całej chirurgii, aż odnajduję Dziewczynę z Kolanem. Tak jest najszybciej. Kiedy wchodzę do sali, jest już pod narkozą, a anestezjolog przytrzymuje jej maskę przy twarzy.

Leży naga na stole. Stażyści kłócą się o to, kto ma ogolić jej cipkę, co w ogóle nie jest konieczne przy takiej operacji.

Pielęgniarz otwiera szeroko oczy, kiedy mnie widzi.

- Pan nie ma maski! Ani czepka! - krzyczy.
- Nieważne - mówię. - Gdzie jest chirurg?
- Wynocha z mojej sali operacyjnej!
- Mówże, człowieku, kto operuje.
- Żebym nie musiał zawołać ochrony!

Klepię go po kitlu operacyjnym, zanieczyszczając go, aż wydaje głośny skrzek. Jeśli dojdzie do operacji, to właśnie wydłużyłem ją o pół godziny.

- Gadaj, gdzie jest ten jebany chirurg - rzucam.
- Tutaj jestem - mówi lekarz za moimi plecami.

Odwracam się. Ponad maską widać prawdziwego wielmożę. -  
Co, do diabła, robi pan na mojej sali operacyjnej?

- Ta kobieta nie ma kostniakomięsaka - oświadczam.

Jego głos wciąż nie zdradza emocji.

- Nie? A co ma?

- Endometriozę. Kolano krwawi tylko wtedy, kiedy ona ma miesiączkę.

- Ale ma guza na kości udowej. Na końcu kości udowej. -  
Spogląda na mój bandaż na szyi, który, jak sądzę, zaczyna prze-  
ciekać. Boli mnie jak cholera. - Pan jest lekarzem?

- Tak. To przesunięta błona śluzowa macicy. To jest możli-  
we. Były takie przypadki.

- Niech pan wymieni chociaż jeden.

- Nie potrafię. Słyszałem o tym od jednego profesora.

Naprawdę słyszałem o tym od profesora Marmoseta, kiedy  
razem lecieliśmy samolotem. Mówił mi, jakich bzdur trzeba się  
uczyć w akademii medycznej, kretynizmów, z którymi nie będzie  
się już nigdy w życiu miało do czynienia.

- To najgłupsza teoria, jaką słyszałem.

- Mogę znaleźć jakiś przypadek na Medline\* [Medyczna baza  
danych] - mówię do niego. - Dziewczyna ma błonę śluzową maci-  
cy w przedniej jamie mięśnia czworogłowego, przytwierdzoną  
do okostnej. Może ją pan wyjąć. Jeśli zamiast tego utnie jej pan  
nogę, patologia zda sobie sprawę, że miałem rację, i będzie miał  
pan przejebane. Rozpierzdolą wszystkich na tej sali. Już ja tego  
dopilnuję.

Rozglądam się wokół i wpatruję się w każdą napotkaną parę oczu.

- Hmmm - mruczy lekarz.

Zastanawiam się, czy będę musiał pomacać również jego kitel.

- No już dobrze, proszę się uspokoić - mówi w końcu i sam ściąga z siebie kitel operacyjny. - Pójdę teraz i poszukam w Mdlina.

- Dziękuję panu.

- A z kim mam przyjemność rozmawiać? Tak na wszelki wypadek, żeby było kogo wywalić z roboty, gdyby się pan pomylił.

Powodzenia, kutasie.

- Niedźwiedzi Pazur Brnwa - oznajmiam mu na odchodnym.

Podest windy jest jednak obstawiony - dwóch kilerów po bokach i dwóch jadących na kolejne piętro.

Kurwa - myślę sobie. - Ilu tu się naszło tych facetów?

Mam chwilę nostalgii za Rambo i zastanawiam się, czy nie wyrwać podajnika na alkoholowy żel Purella ze ściany i nie wykorzystać go jako napalmu, ale wiem, że spalenie szpitala z pacjentami w środku byłoby już lekkim przegięciem. Przyspieszam tylko na schodach przeciwpożarowych, które rozbrzmiewają odgłosami szukających mnie ludzi, i jak najciszej przeskakuję po trzy stopnie w drodze na internę.

Kieruję się z powrotem do środka mej jaskini.

Co ma swoje plusy. Jak na przykład schowany rewolwer tego pojeba, który próbował mnie napaść.

Muszę go tylko znaleźć.

Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ja wtrynąłem tę spluwę. Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę tylko mgłę chemicznego wyczerpania.

Postanawiam wykorzystać trik profesora Marmoseta.

Według profesora Marmoseta człowiek nie powinien nigdy próbować sobie przypomnieć, gdzie co położył. Powinien natomiast wyobrazić sobie potrzebę położenia tego czegoś w tym momencie. I pójść w to miejsce. No bo niby czemu miałby wybrać inne miejsce, niż to zrobił wcześniej? Osobowość ludzka jest bardzo stabilna. Nie budzimy się przecież codziennie jako inni ludzie. Tylko nie ufamy sobie.

Próbuję więc. Używam Mocy. Wyobrażam sobie siebie o wpół do szóstej rano z bronią, którą muszę schować, i o praktycznie wolnym od trosk umyśle.

Prowadzi mnie to do sali pielęgniarek za dyżurką interny. Do starożytnych podręczników, które stoją na biegnącej wokół sali górnej półce i kurzą się od chwili wynalezienia internetu. Do wielkiego niemieckiego podręcznika na temat ośrodkowego układu nerwowego.

Za nim znajduję rewolwer.

Kolejny punkt dla profesora Marmoseta.

Przed dyżurką pielęgniarek widzę dwóch zbirów przeszukujących sale po dwóch stronach korytarza. Idą w moją stronę.

Gdybym chciał wdać się w strzelaninę, mógłbym przejść do równoległego korytarza po drugiej stronie dyżurki i zacząć do nich walić stamtąd. Co oprócz zastrzelenia nieznannej liczby postronnych osób sprowadziłoby wszystkich uzbrojonych ochroniarzy w szpitalu. Myślę nad tym przez chwilę i zarzucam pomysł. Widziałem już tych ochroniarzy.

Chowam się do sali chorych za plecami. Wiem, że jest pusta, bo tuż przed operacją Squillantego wypisałem jedną pacjentkę, która w niej leżała, a drugą pacjentką była kobieta, którą znalazłem martwą rano. Nic w szpitalu nie dzieje się na tyle szybko, żeby ktoś się pofatygował tak od razu i zmienił pościel.

Przeszukuję szafki. Największa szpitalna koszula, jaką udaje mi się znaleźć, ma rozmiar średni. Zrzucam chodaki i kitel w łazience, naciągam na siebie ten mały, zimny ciuszek i wskakuję do łóżka, w którym zmarła kobieta.

Kilka minut później dwaj kilerzy wchodzą do sali.

Leżę na plecach. Gapią się na mnie. Ja gapię się na nich. Gówniana spluwa, którą w nich celuję pod prześcieradłem, prawie rozpuszcza mi się w dłoni. Wagę zawdzięcza głównie pociskom.

Staram się nie patrzeć im w oczy. Pomimo tego zdaję sobie sprawę, jak muszę wyglądać po tym, jak przeszukali wszystkie sale. O wiele za zdrowo, nawet z tym głupim bandażem na szyi. Oszust zwykły.



Jednocześnie sięgają do kieszeni marynarek. Celuję rewolwerem pojecha w najbliższego i pociągam za spust.

Kurek klika, ale nic się nie dzieje. Znów pociągam za spust. Kolejny suchy trzask. W ciągu dwóch sekund wypróbuję wszystkie sześć komór i język spustowy zaczyna się giąć. Tu nie chodzi o kule, ale chyba o iglicę.

Pierdolona tandeta. Ciskam w nich tą spluwą i sięgam po nóż przy udzie.

Chyba mnie rażą paralizatorem elektrycznym.

Budzę się.

Leżę w korytarzu wyłożonym wykładziną w szachownice, twarzą do dołu. Dwaj faceci, którzy trzymają mnie za ręce, wiedzą, co robią: przynajmniej jeden z nich opiera stopę na moich plecach, żebym nie mógł zrobić przewrotu w przód i się uwolnić. Noża nie ma. Widzę tylko but. Słyszę tylko śmiech.

- No to, kurwa, kończmy z tym - odzywa się ktoś. - Rzygać mi się chce.

- To precyzyjna robota - mówi ktoś inny i znów rozlega się śmiech.

Rozglądam się wściekle na boki. Na ścianie po mojej lewej stronie znajdują się wyszczotkowane aluminiowe drzwi. Chłodnia. Wciąż jestem w szpitalu.

Przez ramię widzę faceta, który kuca za mną z wielką plastikową strzykawką, pełną jakiegoś brązowego płynu.

- Słyszeliśmy, żeś sobie wcześniej dał coś paskudnego, ale cię to nie zabiło - mówi. - Pomyśleliśmy więc, że teraz zaaplikujemy ci coś jeszcze paskudniejszego.

- Nie chcę tego słyszeć - udaje mi się powiedzieć.

Ale on dodaje:

- Jeśli wcześniej było jako tako, to teraz masz naprawdę przejebane.

Perły humoru. Boki zrywać. Wciąż jestem w tym kurewskim ubranku, które ktoś rozwiązał z tyłu i odchylił poły. Facet wbija strzykawkę w mój lewy pośladek i wstrzykuje mi tę palącą breję. Przynajmniej wcześniej usunął pęcherzyki powietrza ze strzykawki.

- Będiesz w sam raz, kiedy Naszczep się zjawi - oświadcza.

I chyba znów mnie rażą paralizatorem elektrycznym.

Wyjechaliśmy z Magdaleną z Akwarium zielonym subaru hatchbackiem należącym do karmiciela rekinów. Musiałem się położyć na kierownicy, żeby prowadzić. Nie mogłem wyciągnąć ramion.

Magdalena miała na sobie jeden z tych żółtych płaszczy przeciwdeszczowych z metalowej szafki. Siedziała z podwiniętymi nogami na fotelu pasażera. Była tak zdruzgotana, z czerwoną i mokrą od łez twarzą, że kiedy pierwszy raz się do mnie odezwała, nie uświadomiłem sobie, czy też nie zrozumiałem, co do mnie mówi.

Powtarzała:

- Zatrzymaj się.
- Nie możemy się zatrzymać - powiedziałem.

Miałem rozpalone i opuchnięte dziąsła po utraconych dwóch zębach.

- Musimy powiedzieć moim rodzicom.

Przemyślałem to. Jej rodzice musieli wyjechać. Kiedy tylko Naplet się dowie, że wciąż żyją, ruszy za nimi. Trzeba było ich ostrzec.

Ale musieli też zachować spokój. Jeśli zadzwonią po gliny, zanim federalni otoczą ich ochroną, to Naplet znajdzie ich szybciej.

- Nie możesz im powiedzieć o Rovo - powiedziałem.

- Co masz na myśli? - zapytała Magdalena.

Obydwoje mówiliśmy zachrypniętymi głosami. Groteskowymi.

- Musisz im powiedzieć, żeby wyjechali. Wynieśli się z Nowego Jorku. Wyjechali ze Wschodniego Wybrzeża. Pojechali do Europy. Ale jeśli im powiesz, że Rovo nie żyje, to albo spanikują, albo zostaną, albo jedno i drugie.

- Muszą o tym wiedzieć - oświadczyła Magdalena.

- Malutka, nie można - zaproponowałem.

- Nie mów do mnie „malutka” - powiedziała. - Nigdy tak do mnie nie mów. Tu jest budka. Zatrzymaj się.

Zatrzymałem się. Nawet jeśli mnie nienawidziła, do czego miała pełne prawo, to nie było innych powodów do zmartwień.

Myślę, że jednak nakłamała rodzicom o Rovo. Bo płakała podczas rozmowy z nimi, ale po cichu, a jej piersi falowały z emocji.

Cokolwiek im powiedziała, zrobiła to po rumuńsku.

Za co jestem jej do zgonnie wdzięczny.

Była już noc, kiedy wjechaliśmy do Illinois. Była tam taka restauracja całkiem wysoko nad autostradą, w długim paśmie moteli stojących dość daleko od siebie. Nazywała się Czyjeś Tam Placki, czy coś takiego. Należała do sieci.

Rozdygotana Magdalena weszła ze mną do środka, by coś zamówić. Głupotą było pokazywać się razem, ale nie mogłem spuścić jej z oczu. Czułem się tak pozbawiony korzeni, jakbym w ogóle nie istniał.

Wiedziałem, że to, co Naplet powiedział o moich dziadkach, było prawdą. Zbyt wiele pasowało do siebie: wieloletnie unikanie innych Żydów, brak wypowiedzi na temat ich rodzin sprzed wojny, niewłaściwe tatuaże na przedramionach. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć, o ich próbie życia życiem innych ludzi, ale zdawałem sobie sprawę, że miałem jedną jedyną więź łączącą mnie teraz z człowieczeństwem: Magdalенę.

Niewiele pamiętam z restauracji, w której się zatrzymaliśmy. Jestem pewien, że miała pomarańczowo-brązowy wystrój, jak wszystkie restauracje przy autostradzie. Zjedliśmy w samochodzie. Później Magdalena zasnęła na złożonych fotelach, a ja wymknąłem się, zadzwoniłem do Sama Freeda i oznajmiłem mu, że jesteśmy gotowi do współpracy.

- To może potrwać chwilkę - stwierdził. - Nie wiem, komu mogę zaufać w tej sprawie. - Zastanawiał się przez kilka chwil. - Nie chcę dzwonić do kogoś, do kogo nie muszę, ale możemy nie mieć wyboru. Wezmę kilku ludzi i sam tam przylecę. Nie powinno to potrwać dłużej niż sześć godzin.

Obudziłem się z tyłu subaru, a obok spała odsunięta ode mnie, zwinięta w kłębek Magdalena.

Wciąż było jasno, ale w zamglonej tylnej szybie pojawił się cień czyjejs głowy w świetle padającym od alejki przy restauracji.

Głowa nie miała czapki policyjnej. Nie usłyszałem radia ani nie zobaczyłem światła latarki. Właściciel głowy robił, co mógł, by poruszać się jak najciszej, okrążając samochód. Kiedy cień przesunął się do prawych tylnych drzwi, otworzyłem je kopniakiem, trafiając gościa w żołądek, i wyskoczyłem.

Facet zrobił chwiejnych pięć kroków w bok, po czym padł, a ja na niego. Nylonowa kurtka szurała o asfalt, kiedy ciągnąłem go za śmietnik z dala od światła.

Nie poznałem go. Miał dwadzieścia kilka lat. Chudy, w okularach, biały. Cisnąłem go ryjem w pojemnik na śmieci.

- Jesteś od federalnych? - zapytałem.

Był zbyt wymoczkowaty, żeby być zabójcą.

- Nie, stary! Myślałem, że to mój wóz!

- Gówno prawda. - Znów go walnąłem.

Zaczął płakać.

- Myślałem, że będziecie się pieprzyć - powiedział.

- Co takiego?

- Chciałem popatrzeć!

Łkał na całego. Przeszukałem mu kieszenie, ale nie było w nich nic poza portfelem zapinanym na rzepy. Miał prawo jazdy z Indiany.

I rozpięty rozporek.

- Jezu - wykrzyknąłem.

Ruszyłem do Magdaleny, by jej powiedzieć, że wszystko w porządku. Siedziała z tyłu subaru.

I nagle oświetliły ją reflektory samochodu, a ja usłyszałem pisk opon.

Szyby w furgonie były już pewnie opuszczone wcześniej. Wypłuły salwę z pistoletu maszynowego i gładko-lufowej strzelby, ponownie oświetlając subaru - pojawiły się za szybko, żeby były zasunięte.

Potem furgon skoczył do przodu i zniknął mi z oczu, jakbym wypchnął go dłońmi na bok. Słyszałem, jak mija z piskiem samochodu i wypada z parkingu.

Dotarłem do subaru. Wyglądał, jakby ktoś na nim stanął, miał cały bok rozerwany kulami. W powietrzu unosiły się drobi-ny szklanego pyłu, czuć było zapach kordytu i krwi.

Drzwi od samochodu rozpadły mi się w rękach. Głowa Magdaleny zwisała na bok, kiedy wyciągnąłem ją ze środka i padłem obok niej na ziemi.

Miała zapadniętą kość policzkową, rozwaloną jak bok samochodu, i widać było na niej krew. Oczy były zupełnie czerwone, lewe z raną w poprzek było zalane idealnie czystym śluzem, który ściekał po boku twarzy.

Kiedy chwyciłem i uniosłem jej twarz do mojej, poczułem kości, których nie byłem w stanie dostrzec przez skórę.

Kiedy Bóg jest naprawdę zły, nie wysyła aniołów śmierci.

Przysyła Magdaleny.

A potem je zabiera.

**B**udzę się. To trudne. Próbuję kilka razy. Jest mi tak niewyobrażalnie zimno, że wolę spać dalej, niż dowiedzieć się, dlaczego tak jest.

W końcu jednak staram się przewrócić na bok i fakt, że mój członek przylega mocno do podłoża, momentalnie rozwiewa resztki snu. Na początku myślę sobie, że przybili mi go do podłogi, ponieważ jest taki zdrętwiający, że przypomina kawałek wyprawionej skóry, trzymający mnie w miejscu. Dotykam go i myślę, że został przyklejony. Ale po chwili uświadamiam sobie, że po prostu przymarzył do stalowej podłogi.

Pluję na lewą rękę - przewracam się na bok, bo nie chcę znów leżeć na brzuchu, nawet przez chwilę - i śliną odmrażam preze-sa. Wymaga to paru ruchów. I przypomina nieco walenie konia.

Kiedy to robię, pojawia się ślepotą w wyniku narastającej paniki. Nic nie widzę. Plując i nacierając, jednocześnie pocieram oczy kłykciami wolnej dłoni. Pojawia się dziwaczny, wielokolorowy kwiat złożony z barwnych punktów, dzięki czemu mogę stwierdzić, że wciąż działają nerwy wzrokowe. Poza tym, ponieważ moje oczy reagują na dotyk, dochodzę do wniosku, że znajduję się



w egipskich ciemnościach.

Czyli w ogóle gdzie? W tej samej chwili, kiedy mój wacek zostaje uwolniony, skaczą na równe nogi. Moja szpitalna koszulka, wcześniej zmierzwiona na wysokości piersi, spada na dół i tak jak ustawa przewiduje, zakrywa trzy czwarte mego ciała. Jednakże nie mam już bandaży na szyi i dłoni.

Sięgam przed siebie. Natrafiam na stalową ścianę o jakiś jard przed sobą. Robię krok w jej stronę i walę przednimi zębami o coś twardego i metalowego. Półki. Wodzę po nich dłońmi, jakby były powiększoną wersją brajla. Odnajduję kilkanaście worków z lodem, w których tkwią plastikowe torebki krwi do transfuzji.

Próbuję z innej strony, potem z tyłu. To samo. Z przodu wyczuwam metalowe drzwi, z klamką, która nie chce drgnąć ani na milimetr.

Znajduję się w chłodni wielkości więziennej celi. Chłodni na krew.

W jakim celu?

Oczywiście mogłem tu skończyć. Mogłem również dostać uszkodzenia mózgu, jak kucharz, którego kiedyś wsadziłem na całą noc do chłodni w jego restauracji. Ale to absurdalne, żeby ktoś właśnie w takim celu wsadził człowieka do chłodni. To tak, jakby Joker wepchnął Batmana do maszyny do wytwarzania śniegu i nie chciał sobie pooglądać, co się z nim stanie.

Jednakże wstrzykiwanie odchodów w czyjś tyłek również wydaje się nieco dziwne, kiedy się nad tym zastanowić.

Rozmyślałam o tym przez chwilę, bo to naprawdę ohydne. Później ruszam do działania. Gdybym miał umrzeć od szoku toksycznego, to już by się to stało\*. [Szok toksyczny jest reakcją odpornościową, wywołaną przez zanieczyszczenia krwi, takie jak bakterie - które tworzą 20 procent ludzkiego kału i hodowane są w ludzkich wnętrznościach. W trakcie szoku żyły się rozszerzają, by wypuścić białe ciała krwi do tkanek w celu zwalczania infekcji, a płyn, który z nimi wycieka, powoduje gwałtowny spadek ciśnienia krwi.] A jeśli chodzi o konsekwencje długofalowe, to sam się przekonam, bo łyknąłem wszelkie możliwe antybiotyki. Dziękuję pięknie, Duposzczaku: nie mam bladego pojęcia, co ci jest, ale będę postępował zgodnie z zaleceniami twojego leczenia.

Nagle uświadamiam sobie, dlaczego się tu znalazłem.

Nie próbują mnie zabić. Próbują mnie tylko osłabić, jak sześciu różnych palantów w *Byczku Fernandezie*, którzy dźgają byka niemal na śmierć, zanim torreador wyjdzie na arenę.

Żeby mógł się pojawić Naplet i wykończyć mnie własnoręcznie.

Zapewne nożem. Gdzie to się szkolił, jak mówił Squillante? W Brazylii? W Argentynie? Staram się przypomnieć sobie, czy słyszałem coś o stylach walki nożem w tych krajach. Nie mogę.

Wiem tylko, że istnieją dwie podstawowe filozofie walki na noże: szkoła realistyczna, która zakłada, że za każdym razem kiedy walczy się z kimś, kto wie, co robi, to nie da się uniknąć pochlastania, więc trzeba się na nie przygotować (to ci faceci, co owijają przed walką przedramiona skórzanymi kurtkami), oraz

szkoła idealistyczna, według zasad której należy włożyć maksimum energii w to, żeby nie dać się pociąć. Na przykład nigdy nie wysuwa się jakiegokolwiek części ciała przed nóż.

Obie szkoły mają podstawowe zasady. Trzeba pamiętać, by kopać i bić, kiedy nadarza się okazja, bo noże są tak przerażające, że ludzie zapominają o tym, że mają jeszcze inne części ciała. I jeśli ma się nóż z ostrzem, a nie sztylet, należy pamiętać, żeby nim nie dźgać. Dźganie to frajerskie posunięcie. Podczas dźgania odkrywa się zbyt wiele ciała w zamian za niewielką potencjalną szkodę, jaką może ono wyrządzić. Tymczasem cięcie powinno zostać wykonane na każdym dostępnym fragmencie ciała (na przykład kłykciach trzymającej nóż dłoni przeciwnika), ale najlepiej po wewnętrznej stronie ramion i nóg, którędy biegają większe arterie. Żeby przeciwnik się wykrwawił, jak zwierzęta zaatakowane w naturalnym środowisku przez rekina.

Dla zasady - i dlatego, że mam kusą szpitalną koszulę zamiast skórzanej kurtki - wybieram szkołę idealistyczną. Oczywiście wolałbym mieć też przy okazji nóż, ale na razie go nie mam. Dlatego mam zamiar zmienić ten stan.

Po pierwsze, muszę dokładnie zbadać chłodnię. Na suficie wisi tylko oprawka bez żarówki. Jest tu mnóstwo produktów związanych z krwią.

Może uda mi się ulepić bałwana z posoki i Naplet porzyga się na śmierć.

Same półki są do niczego. Zostały przyspawane do ramy, na którą składają się sztaby w kształcie litery L, zespawane z kolei z

żelaznymi płytami tych samych rozmiarów co półki, przytwierdzone nitami do podłogi i sufitu. Nity są za grube, żeby je rozpierdolić, szczególnie teraz, kiedy tracę czucie w koniuszkach palców, nawet w tych, których nie oplułem, a moja przecięta dłoń zaczyna powoli sztywnieć. Walenie w półki, co jest trudne, bo nie ma miejsca, żeby unieść nad nimi pięść, wywołało więcej hałasu, niż potrzeba, i nawet ich nie wygięło. Klamka w drzwiach nie daje się odłamać, nawet po zaparciu się obiema stopami.

Zastanawiam się, jakby wyglądała walka jedynie przy użyciu dłoni i stóp, które zaczynają przypominać poście mięsa przywiązane do końcówek moich członków. Rozważam strategię: czy powinienem stanąć koło drzwi czy nie i tak dalej.

Ale rozmyślanie w bezruchu zaczyna mnie znów otepiać. Dokonuję kolejnego przeglądu pomieszczenia. Trudno jest mieć pewność, czy się sprawdziło wszystkie półki, kiedy nic nie widzę, a mój zmysł dotyku jest tak skopany, że zaczynam badać wszystko przedramieniem. Jest tu mniej końcówek nerwowych, ale krążenie krwi to nadrabia.

W końcu odkrywam przy podstawie jednego z prętów płytę, która ma ostrą krawędź. Płyta ma jakieś sześć cali kwadratowych i jest gruba na ćwierć cala. Gdyby udało mi się ją wyrwać z wciąż przytwierdzonym do niej prętem, to miałbym niezłą broń. Znów próbuję się zaprzeć stopą o ścianę. Nic z tego. Unaocznia mi to tylko, że jestem słabszy niż pół godziny temu.

Opieram się o półki, by zaczerpnąć oddechu. Pierdolę to, że metal zaczyna przylepiać mi się do czoła, wyciągając ze mnie ciepło.

Muszę się zastanowić, co mam robić.

Czy w ogóle coś robić.

A jaka to różnica? Jeśli z tego wyjdę, David Locano znów mnie znajdzie i zabije. A stanie się to, kiedy będę harował na stacji benzynowej w Nevadzie. Będę tam stał jak jakiś ciołek, bo nikt już na stacjach nie korzysta z pomocy pracownika i tylko przeciąga kartą przez czytnik przy dystrybutorach.

Jeśli jednak tutaj zginę, to zawsze jest szansa, że rację miała Magdalena, która mówiła o życiu po śmierci. Jest szansa, że ktoś mnie zajebie i znów ją zobaczę.

Zaczynam jednocześnie wpadać w przygnębienie i bzikować. Wszystko staje się abstrakcyjne i traci na znaczeniu. Odpuszczam sobie.

Nie mogę sobie odpuścić.

Muszę coś wymyślić.

Walę głową o krawędź półki. Ból mnie otrzeźwia. Przynajmniej pozwala myśleć o czymkolwiek.

O czymś tak wariackim i głupim, tak niewyobrażalnym, że w życiu bym nie poszedł w tym kierunku, gdyby nie niosło to ze sobą iskielki nadziei.

Czymś takim, że sama próba wykonania tego wywoła niewyobrażalne cierpienia.

Tak wielkie, że jeśli się uda i przeżyję, to może nawet sobie na to zasłużyć.

Jeśli trzymając piętę na ziemi, uniesiesz rozczapierzone palce stopy do góry (nie jest to łatwe, wiem - musisz wtedy przyznać, że jesteś ssakiem naczelnym), pojawi się wyraźna bruzda między mięśniami golenia i mięśniami łydki. Mam zamiar wciąć się w tę bruzdę.

Kłękam przy metalowej płycie i dociskam do niej prawą goleń tak, że ostra krawędź półki dźga mnie tuż poniżej kolana. Wolałbym robić to z lewą golenią, ale trudno by mi było do niej sięgnąć prawą ręką. Tak więc to prawą goleń dociskam do rogu krawędzi.

Nic z tego. Ledwo się zadrapałem. Musiałem zwolnić nacisk w ostatnim momencie, podświadomie nie dopuszczając do rozerwania skóry.

Pocieram goleń zamrożoną krwią, by zdrętwiała, i tym razem, kiedy napieram nią na zaostroszoną krawędź półki, dociskam łydkę prawą dłonią, żeby mi noga nie odskoczyła. Taa, noga robi, co może. Ale tym razem za słabo i ostrze rozdziera mi skórę.

Z bólu przewracam się na plecy i przyciskam kolano do pierśsi, starając się nie rozedrzeć na głos. Ale ze stopą w tej pozycji czuję, że góra momentalnie odrętwiała, z wyjątkiem powierzchni między paluchem i kolejnym palcem. To wspaniała wiadomość: zrobiłem tak głębokie nacięcie, że rozerwało nerw biegnący tuż pod skórą.

Czekam jakąś minutę, żeby sprawdzić, czy nie uszkodziłem przypadkiem arterii, która biegnie wzdłuż nerwu - czyli czy nie zabiłem się sam i czy mogę już się wyluzować w ostatnich chwilach życia - i ostrożnie wodzę palcem po otwarciu, by się upewnić, że jest wystarczająco długie. Jest: biegnie w trzech czwartych łydki w stronę stopy. Przekręcam się więc na bok ku lodowatej

podłódze, by uśmierzyć nieco ból i zahamować krwawienie. Naprawdę nie wiem, czy się uda.

Nieważne, liczy się tylko terażniejszość. Siadam na tyłku. Moje krocze, i tak już ściśnięte, kurczy się tak, że mam wrażenie, iż jądra wędrują mi do czaszki. Zatapiam palce obu dłoni głęboko w ranę.

Przeszywa mnie nowy rodzaj bólu, tym razem docierając do biodra, i uświadamiam sobie: Nie będę w stanie spróbować tego jeszcze raz. Wpycham więc końcówki palców między żyłaste i gorące mięśnie.

Które, śliskie jak nie wiem co, gną się jak stalowe pręty, niemal łamiąc mi palce.

- A pierdolić to! - krzyczę.

Rozdzielam je siłą, zagłębiając dalej palce prawej dłoni. Pod kłykciami czuję pulsowanie arterii.

I wtedy docieram do celu: Dotykam prawej kości strzałkowej.

Kość strzałkowa i kość piszczelowa, o czym, jak sądzę, już wspominałem, są odpowiednikami dwóch równoległych kości przedramienia. Ale w odróżnieniu od przedramienia, mniejsza z nich - kość strzałkowa - nie pełni właściwie żadnej pożytecznej funkcji. Jej górna krawędź składa się na mały fragment kolana, a jej dolny koniec zatapia się w kostce skokowej. Pozostała część jest całkiem bezużyteczna. Nawet nie podtrzymuje ciężaru ciała.

Wkładam więc palce w membranę między piszczel i strzałkę, po czym chwytam kość. Jest jakieś trzy razy grubsza od ołówka, ale nie ma cylindrycznej budowy. Za to ma ostre krawędzie.

Teraz muszę ją złamać. Najlepiej byłoby skrócić kostkę lub kolano. Na samą myśl odchyłam głowę i wymiotuję na lewą pierś. Niewiele ze mnie wychodzi, ale hej - to jest ciepłe. Za żadne skarby jednak nie puszcę strzałki.

Jak mam jednak ją złamać, do chuja pana? Jest tak twarda, jakby była zrobiona z kamienia. Przy uderzeniu mogłaby się potrzaskać. Rozważam kopnięcie w ostrą krawędź najniższej półki, ale w ten sposób ucierpi piszczel, która podtrzymuje całą łydkę.

Wtedy wpadam na pomysł. Pochyłam się i delikatnie wkładam goleń pod półkę, jak najbliżej kostki. Chwytam się mocniej za kolano. Następnie gwałtownym ruchem szarpię za kość, rozrywając jej dolną część tuż nad kostką i wyjmując górną część ze splotu podtrzymujących kolano ścięgien.

O Bólu.

O Bólu.

Kiedy jesteś w chłodni i pokrywa cię pot, wiesz, że mogłeś przesadzić.

Ale trzymasz nóż, który właśnie zrobiłeś z własnej kości.

W końcu drzwi się otwierają i ktoś mówi:

- Wyłaź.

Nie ruszam się. Opieram się o półkę na tylnej ścianie chłodni, starając się jak najszybciej dostosować załzawione oczy do światła, które teraz przypomina ryczące wnętrze pieca hutniczego. Ukrywam swój nóż za jego kuzynami w prawym ramieniu.



Pojawia się sylwetka faceta ze spluwą, który rzuca:

- Powiedziałem: Wyła... Jezu Chryste! - Po chwili dodaje: - Ocknął się. Ale jest cały we krwi, panie Locano.

Za nim pojawia się tłumek innych facetów, którzy chcą zajrzeć do środka:

- O żeż kurwa jego mać - mówi jeden z nich.

Wtedy odzywa się Naplet. Rozpoznaję jego głos, chociaż jest bardziej chropawy niż dawniej. Zarówno głębszy, jak i pełen nowych, gwizdzących tonów.

- Dawać go tutaj - mówi.

Nikt ani drgnie.

- To tylko zapalenie wątroby - wyjaśniam. - Myślę, że nie powinniście się zarazić od dotyku.

Wszyscy cofają się od drzwi.

- Pierdolę was wszystkich - oświadcza Naplet.

Pojawia się. Nie widzę go zbyt dokładnie, tylko jego sylwetkę, bo moje oczy wciąż wariują. Ale nie wygląda dobrze. Wygląda tak, jakby Adamowi Locano ktoś dał do zabawy małego chemika, kiedy miał cztery lata, a zestaw był raczej dla dziewięciolatków. Jego łeb przypomina rąbankę.

Powinienem coś powiedzieć. Jestem nagi i wysmarowany krwią. Moją krwią i tą, którą wycisnąłem z torebek i którą się umazałem, aby odciągnąć uwagę od prawej nogi i opaski uci-skowej ze szpitalnej koszuli. W pomieszczeniu jest pełno krwi.

Nie jestem w stanie stwierdzić, czy niepokoi to Napleta. Podchodzi do mnie, wymachując nożem z ostrzem skierowanym do

siebie. Samo ostrze ma kształt płomienia z jakimś wzorem na boku, więc pewnie pochodzi z Indonezji.

Nieżył jest ten Naplet. Utrzymuje nóż w ciągłym ruchu, tworząc chmurę stalowej zapory. Idealistyczna szkoła na całego. Ale kiedy widzi mój nóż - twór z mego ciała i kości - zatrzymuje się zaskoczony i wzdryga ze strachu, odsłaniając cały prawy bok.

- Jezu, Naplet - mówię.

Dźgam go tuż pod klatką piersiową z prawej strony, kierując ostrze w naturalną nieckę przepony, i wbijam końcówkę kości strzałkowej w aortę po drodze do jego bijącego serca.

To znaczy, bijącego do tej pory.

Z tego, co pamiętam, w następnej chwili się budzę. A potem myślę sobie: Jak na kolesia, który narzeka, że nie może się wy spać, stanowczo za często się budzę.

Leżę w łóżku szpitalnym. Profesor Marmoset siedzi na krześle z blatem u wezglowia łóżka, czytając i zakreślając fragmenty jakiegoś artykułu w czasopiśmie.

Jak zwykle jestem pod wrażeniem jego młodzieńczego wyglądu. Profesor Marmoset jest w nieokreślonym wieku, co wynika z bycia mądrzejszym i lepiej poinformowanym niż na przykład ja oraz posiadania naprawdę gęstych włosów. Ale nie może być wiele starszy ode mnie.

- Profesorze Marmoset! - krzyczę.
- Ishmael! Obudziłeś się - mówi. - To dobrze. Muszę zaraz iść.

Siadam. Czuję zawroty głowy, ale siedzę dalej, choć podpieram się ręką.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - pytam.
- Nie tak długo, jak myślisz. Kilka godzin. Wsiadłem w samolot od razu po naszej rozmowie. Powinieneś się położyć.

Kładę się. Odkrywam koc. Moją prawą nogę spowijają bandaż. Wciąż mam na sobie plamy zaschniętej krwi.

- Co się stało? - pytam.

- Jesteś lepszy z chirurgii, niż sądziłem - orzeka profesor Marmoset. - Imponująca była ta diagnoza u dziewczyny przed amputacją nogi. Możesz o tym napisać do „New England Journal”. A przynajmniej do wydania dla świadków federalnych.

- Co się stało z tymi typami?

- Ze zbirami?

Kiwam głową.

- Syna Davida Locano dźgnąłeś w serce. Resztę zastrześliłeś pistoletem syna Davida Locano. Poza jednym, którego głowę przytrzasnąłeś kilkakrotnie drzwiami chłodni. Ale on też nie przeżyje.

- Jezu, nic z tego nie pamiętam.

- Będiesz musiał trzymać się tej wersji wydarzeń.

- Dlaczego? Jestem aresztowany?

- Jeszcze nie. Trzymaj, kciuki. - Zbiera papiery. - To dobrze, że nic ci nie jest. Naprawdę nie mogę zostać dłużej.

Zmuszam się, by zadać to pytanie.

- Wyrzucą mnie?

- Z Manhattan Catholic? Oczywiście.

- Z zawodu.

Profesor Marmoset patrzy wprost na mnie, jak sobie uświadamiam, może pierwszy raz w życiu. Ma nieco jaśniejsze brązowe oczy, niż zapamiętałem.

- To zależy - mówi. - Czy uważasz, że twoja kariera lekarska się zakończyła?

Zastanawiam się nad tym.

- Nawet nie jestem w połowie - mówię. - A szkoda.
- Więc coś wymyślimy - oświadczam. - Tymczasem może przydałby ci się jakiś grant na badania. Gdzieś daleko stąd. Polecam Uniwersytet Stanu Kalifornia w Davis. Zadzwoń do mnie i powiedz, jak to widzisz.

Wstaje.

- Niech pan poczeka - mówię. - A co ze Squillantem?
- Wciąż nie żyje.
- Kto go zabił?
- Twój studenci.
- Co? - Jestem w szoku. - Dlaczego?
- Miał migotanie komór. Chcieli to powstrzymać, podając mu potas. Myśleli, że go ratują.
- To moja wina. Zostawiłem im zbyt wiele swobody.
- Tak właśnie teraz twierdzą.
- Spałem, kiedy się to stało.

Spogląda na zegarek.

- Ale oni nie spali. I chcieli sobie sami poreanimować. Nie ważne, to nie nasz problem: albo ich wyrzuca, albo nie.
- Skąd się pan dowiedział, że to oni?

Profesor Marmoset wygląda na zmieszanego.

- To było... oczywiście. Coś jeszcze?
- Jeszcze tylko jedna sprawa - mówię. - Miałem pacjenta z licznymi ropieniami. Dostałem anonimowy telefon, w którym poinformowano mnie, że ukąsił go nietoperz. ..

- Facet od twojej strzykawki.

- Właśnie. Co u niego?

Profesor Marmoset wzrusza ramionami.

- Firma ubezpieczeniowa nie zgodziła się, żeby go tu dłużej trzymać, więc przenieśli go do zakładu stanowego.

- Ale co mu było?

- A kto to może wiedzieć? Możesz spróbować do nich zadzwonić, jeśli chcesz. Jednak jestem prawie pewien, że już o nim nie usłyszymy. Twoje wyniki krwi są w porządku. To kolejna sprawa, która cię już nie dotyczy.

Klepie mnie po zdrowym kolanie.

- Jest tak, jak mówią alkoholicy. Za każdym razem kiedy możesz odróżnić to, co możesz z tym zrobić, od tego, czego nie możesz, powinienesz dziękować Bogu. Zwłaszcza jeśli dotyczy to czegoś, na co nie masz wpływu.

Przekręcam się i odzywa się ból w nodze, ale po chwili znika. Mam lekką głowę i lekki żołądek od środków przeciwbólowych.

- Dziękuję, że mnie pan odwiedził - mówię.

- Nie mogłem tego przegapić. Zadzwoń do mnie.

- Zadzwonię.

Wychodzi. Ja zasypiam.

Nie mam żalu - ma sporo na głowie.

Ja nie mam.

## Ostrzeżenie

**C**ała książka, z wyjątkiem tego akapitu, podziękowań i dedykacji, jest fikcją. Nawet motto. Przekonanie, że jest inaczej, szczególnie jeśli chodzi o fragmenty dotyczące medycyny, może poważnie zaszkodzić zdrowiu czytelnika.

# Podziękowania

## NAUCZYCIELE

Stanley i Doris Tanz, Marvin Terban, Gilbert i Barbara Millstein, Martin Martel, Wendi Dragonfire, Arnold Weinstein, Michael Wilkes.

## POMYSŁODAWCY

Susan Dominus, Markus Hoffman, Reagan Arthur, Michael Pietsch.

## ŹRÓDŁA ZASŁUGUJĄCE NA SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ Z POWODU WIEDZY NIEDOSTĘPNEJ GDZIE INDZIEJ

*Cause of Death: A Leading Forensic Expert Sets the Record Straight* Cyrila H. Wechta, Marka Curridena i Benjamina Wechta; Gina Marie; Jonathan Hayes; Guy Shochat; Office of the Chief Medical Examiner, City of New York; New York Aquarium; *WITSEC: Inside the Federal Witness Protection Program* Pete'a Earleya i Geralda Shura.



#### WSPARCIE NOWOJORSKIE

Rodzina Bazellów, Benjamin Dattner, Joanna Fried, rodzina Friedów, Erie Grode, Marc Leonardo, Linda Lewis, C-Lo and the Gang, Marcia Lux, Elizabeth O'Neill, Joseph Rhinewine, Scott Small, David Sugar, Susan Turner, Jason White, Jesse Zanger, Sam Zanger.

WSPARCIE Z SAN FRANCISCO Joseph Caston, Robert Daroff, Ellen Haller, Cassis Henry, Tamar Hurwitz, Marc Jacobs, Yunnice Lee, Peri Soyugenc, moi koledzy z UCSF.

#### WSPARCIE Z INNYCH REJONÓW

Michael Bennett, Edward Goljan, rodzina Gordonów, Mary Victoria Robbins, Lawrence Stern.

#### WSPARCIE KYNOLÓGICZNE

Lottie.

#### WSPARCIE W KAŻDYM MIEJSCU OD URODZENIA

Moja siostra Rebecca Bazell.

